

WSPOMNIENIA KOSZALIŃSKICH PIONIERÓW

Mnie to miasto od innych droższe...



Stowarzyszenie Przyjaciół Koszalina
Klub Pioniera Miasta Koszalina
Koszalińska Biblioteka Publiczna

Mnie to miasto od innych droższe...

*„Przeszłość – jest to dziś, tylko cokolwiek dalej”
C. K. Norwid*

Zespół redakcyjny:

Zenon Kasprzak (przewodniczący),
Maria Rudecka, Janina Stolec

Redakcja:

Jerzy Banasiak

Wydawca:

Stowarzyszenie Przyjaciół Koszalina
Klub Pioniera Miasta Koszalina
Koszalińska Biblioteka Publiczna im. J. Lelewela

Pracę wydano przy udziale finansowym oraz pod patronatem
Prezydenta Miasta Koszalina przy wsparciu:

- Agencji Ochrony LEX-CRIMEN
- Miejskiej Energetyki Ciepłej w Koszalinie
- Miejskiego Zakładu Komunikacji Sp. z o.o. w Koszalinie
- Miejskich Wodociągów i Kanalizacji w Koszalinie
- Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej Sp. z o.o. w Koszalinie
- Telewizji Kablowej MAX
- Wielkopolskiego Operatora Systemu Dystrybucji Gazu Oddział Koszalin

Materiał fotograficzny:

Kronika Klubu Pionierów,
ze zbiorów prywatnych autorów,
z Muzeum w Koszalinie,
z Cechu Rzemiosł Różnych

Projekt okładki:

Piotr Witkowski

www.przyjaciele.koszalin.pl

ISBN 978-83-87317-85-0

Druk:

Zakład Poligraficzny „Polimer” w Koszalinie
ul. Szczecińska 34, tel. 94 342 02 20, www.drukarniapolimer.pl

Spis treści

Od redakcji – Zenon Kasprzak	5
Klub Pionierów Koszalina w latach 2010 – 2013 – Janina Stolc	7
Jest w mojej pamięci (wspomnienie o Karolu Mytniku)	
– Zofia Korczyńska – Szrubka	19
Moja całkiem osobista historia gazety w Koszalinie – Zofia Banasiak	25
Pani Renia (wspomnienie o Reginie Nowickiej) – Joanna Janik	41
„Mnie to miasto od innych droższe ...” – Zenon Kasprzak	45
Zofia i Wacław Witczyńscy – Zenon Kasprzak	79
O pionierach koszalińskiego rzemiosła – Zenon Kasprzak	87
Daleka droga do mojego Koszalina – Genowefa Krudos	109
Józef Baran – Chrzęszczyński – Wacław Nowicki	117
Takie były początki – Mikołaj Praczuk	127
Henryk Roszak – pierwszy stolarz – Danuta Roszak – Paszke	137
Szkoła i morze (wspomnienie o Wandzie Wojdyło, pionierce koszalińskiej oświaty) – Maria Rudecka	145
Koszalin – miasto mego dzieciństwa – Janina Wojtowicz	155
O mojej pracy w byłej delegaturze NIK w Koszalinie – Henryk Żudro	161

Od redakcji

Oddajemy koszalinianom kolejną książkę o pionierach naszego miasta (tom III). W publikacji zawarliśmy zbiór kilkunastu wspomnień koszalińskich pionierów, ukazujących różne drogi i etapy ich życia, sięgających do wydarzeń historycznych i powojennych przemian, a także do różnych miejsc i ludzi. Relacje te pokazują m.in. pełne refleksji postawy i przeżycia pionierów. Bohaterowie wspomnień, pochodzący z kresów i różnych stron Polski centralnej, w Koszalinie znaleźli swój dom, swoją Małą Ojczyznę, a wielu z nich po „przejściu na drugi brzeg” spoczywa na koszalińskiej nekropolii.

Wspominają ludzie różnych zawodów i w różnym wieku, których łączy to, że większą część swojego życia, często najpiękniejsze i twórcze lata, poświęcili Koszalinowi, jego odbudowie ze zniszczeń wojennych, organizowaniu w nim różnych form życia gospodarczego i intelektualnego. Wspominają też ludzie, którzy przybyli tu, w wieku dziecięcym bądź młodzieńczym, razem ze swoimi rodzicami i rodzeństwem, zaraz po wojnie i tu chodzili do szkół, założyli rodziny, doczekali się własnych dzieci i wnuków.

Kilku autorów pisze o pionierach, którzy odeszli, ale pozostali w ich pamięci. Dzieci wspominają rodziców, uczniowie swoich nauczycieli i wychowawców; wspomina się znajomych i przyjaciół, a także wspólne miejsca pracy, w których często pracowało się przez całe życie. Są to zawsze serdeczne wspomnienia.

Wspomina się tu tych, którzy stworzyli podstawy pięknie rozwijającego się w naszym mieście rzemiosła, szkolnictwa, administracji, dziennikarstwa, turystyki.

Są to relacje o ludziach, którzy przywrócili to miasto Polsce i przyczynili się do jego rozkwitu. Nigdy nie będziemy w stanie poznać siebie samych, dopóki nie poznamy historii tych, którzy byli przed nami w tym miejscu. Dlatego w tej publikacji pokazujemy dzieje koszalińskich rodzin, jak również historie życia koszalinian głęboko w to miasto wrosłych i w nim zakorzenionych, jak ten dąb w podwórzu koszalińskiego Milenium przy ul. 1 Maja.



Możemy o ich życiu powiedzieć słowami Wisławy Szymborskiej:

*„Nie ma takiego życia,
które by choć przez chwilę
nie było nieśmiertelne”*

W książce zamieściliśmy sporo fotografii, bo to one w ułamku sekundy zatrzymują czas i nie pozwalają mu płynąć, a pokazani na nich ludzie i miejsca uzyskują nieśmiertelność. Te zdjęcia są ilustracją do wspomnień i stanowić mogą cenny materiał informacyjny pozwalający „ocalić od zapomnienia” różne ludzkie historie.

Celem naszej publikacji jest kształtowanie koszalińskiej tożsamości, a jednym z jej elementów jest poznanie i zrozumienie przeszłości „Małej Ojczyzny”. Do lektury tej książki gorąco zachęcamy wszystkich mieszkańców miasta, a szczególnie młodych tu urodzonych i wychowanych, którym przypominamy, jak wrastali w tę ziemię ich dziadkowie i rodzice. Nie możemy wszak być ludźmi z wymazaną pamięcią, dla których istnieje tylko czas teraźniejszy.

Mamy nadzieję, że dzięki tym wspomnieniom uda się zachować żywą pamięć o ludziach, wydarzeniach i o naszym mieście.

Zenon Kasprzak



Janina Stolec
Wiceprezes Klubu Pionierów

Klub Pionierów w latach 2010 do 2013

Pionierzy?... Być może za jakiś czas ktoś tak to określi: „była to generacja, którą w większości cechowała odwaga cywilna, prawość, potrzeba naprawy świata i szybkich zmian zrujnowanego wojną otoczenia”. Pokolenie pionierów koszalińskich (mam tu na myśli nie tylko tych, zarejestrowanych w Klubie) ma za sobą wiele jeszcze nieodsloniętych kart, a przecież czas przemija tak szybko! Już tylu z nich, kiedyś pełnych inicjatywy i zapału, znalazło się na drugim brzegu.

Żadne pokolenie nie może uchylić się od zdawania sprawy z tego, co dokonywało się na jego oczach i w czym uczestniczyło bezpośrednio. Koszaliński Klub Pionierów, gromadząc tych, co pozostali, a czasem również ich następców, stara się ten zespół integrować, ocalić od zapomnienia to, jak pokonywali swój tor przeszkód życiowych, jak potoczyły się ich losy, jakie były ich dokonania w życiu, szczególnie tu na Ziemi Koszalińskiej, w najtrudniejszych, powojennych ale i późniejszych latach. Czy udało im się, przynajmniej w jakiejś mierze, osiągnąć ich własny Mont Everest? Co stanowiło największą trudność w tworzeniu polskiego życia na Ziemi Koszalińskiej?

W roku 2010, oprócz tradycyjnego spotkania 4. marca w ratuszowej sali konferencyjnej i grudniowego w Koszalińskiej Bibliotece Publicznej, miała miejsce uroczystość 65-cio lecia „Ekonomia” (dzisiejszego Zespołu Szkół Zawodowych nr 1), w czasie której odsłonięta została pamiątkowa tablica z nazwiskami pierwszych, najbardziej zasłużonych nauczycieli tej szkoły.





Uroczystość odsłonięcia tablicy pamiątkowej w Zespole Szkół Zawodowych nr 1 (niegdys Liceum Ekonomiczne) w 2010 roku z okazji 65-lecia placówki. Od lewej: Stefan Turowski, Tomasz Czuczak, Andrzej Jakubowski, Piotr Jedliński, Przemysław Krzyżanowski, Janina Stół, Maria Hudymowa, Lesław Mytnik.





*Druga część uroczystości 65-lecia „Ekonoma”.
Od lewej Janina Stolec, Joanna Janik, Maria Hudymowa.*

W roku 2011 były naturalnie tradycyjne spotkania Klubu Pionierów z władzami w marcu i grudniu, natomiast w dniu 21 lipca 2011 r. zdarzyło się coś, co nigdy dotąd nie miało miejsca w odniesieniu do naszego zespołu. Na specjalnej sesji w sali konferencyjnej ratusza nadano tytuł Honorowego Obywatela Miasta Koszalina pani Marii Hudyma – zasłużonej, cieszącej się atencją pionierce, która przybyła do Koszalina w roku 1947 i podjęła pracę w resorcie oświaty i ZNP a następnie w resorcie kultury. Dużą popularność pani Maria zdobyła również w wyniku swej społecznej działalności, między innymi współtworząc Klub Pioniera. Uroczystość cieszyła się dużym zainteresowaniem mediów a przede wszystkim przyjaciół i znajomych. Były serdeczne przemówienia, życzenia i kwiaty. Wszystko to ilustrują zdjęcia.



Pani Maria ogląda akt nadania tytułu Honorowego Obywatela Miasta Koszalina.



Maria Hudymowa składa podziękowania po otrzymaniu tytułu Honorowego Obywatela Miasta Koszalina (21 lipca 2011).





Dr Janina Stolt, wiceprezes Klubu Pioniera, mówi o 62 latach współpracy i przyjaźni z Panią Marią Hudymową.



Spotkanie w domu Marii Hudymowej, w trakcie którego poinformowano ją o złożeniu wniosku o nadanie tytułu Honorowego Obywatela Koszalina. Z lewej – przewodniczący Rady Miasta Władysław Husejko, z prawej – radny, przewodniczący Komisji Kultury, Ryszard Tarnowski.



Skan artykułu z 4 marca 2012 roku zamieszczonygo na łamach tygodnika „Miasto” pt. Oni budowali polski Koszalin.

Zgodnie z tradycją, pionierzy spotkali się w dniu 4. marca 2012 r. w sali konferencyjnej ratusza. Tygodnik „Miasto” z 9-15 marca 2012 r. w jednym z artykułów zamieścił trzy zdjęcia pod ogólnym tytułem „Oni budowali polski Koszalin”.

Uroczystość zakończyła się jak co roku złożeniem kwiatów pod pomnikiem „Byliśmy - Jesteśmy - Będziemy”.

Inną częścią naszej działalności jest współpraca z zaprzyjaźnionym Klubem Pionierów w Kołobrzegu. Pierwsza nasza wizyta miała miejsce już w styczniu 2010 r. Następnie p. Krystyna Gawlik, prezes kołobrzесьkiego Klubu Pionierów, gościła u nas na jednym z wigilijnych grudniowych spotkań. W dniu 31. maja 2012 r. nasza delegacja brała udział w uroczystości odsłonięcia na cmentarzu obelisku poświęconego pionierom kołobrzесьkim. Na przebieg uroczystości złożyły się przemówienia przedstawicieli władz miejskich, organizacji społeczno-politycznych, w tym prezesa Klubu Pioniera Krystyny Gawlik. Chór Klubu Pioniera zaprezentował specjalnie przygotowany program. Następnie wszystkie delegacje składały wiązanki kwiatów. Całość imprezy miała świetną oprawę i była znakomicie przygotowana. Druga część odbywała się w sanatorium Koral Live, gdzie prezes koszalińskiego Klubu Pionierów p. Leszek Mytnik przekazał przyjaciółom kołobrzесьkim drugą edycję naszej książki noszącej tytuł: „Pionierzy Ziemi Koszalińskiej i ich wspomnienia”.



W książce tej zawarte zostały między innymi również wspomnienia o Edwardzie Łopuskim, który zginął w walce o Kołobrzeg a był jednym z 1229-ciu polskich żołnierzy poległych w czasie zdobywania tej twierdzy. Jedna z ulic kołobrzeskich nosi jego imię. W tej książce są również wspomnienia dotyczące dr Eugenii Rojszyk i jej męża, zasłużonych lekarzy kołobrzeskich.



Składanie kwiatów pod obeliskiem poświęconym Kołobrzeskim Pionierom. Od lewej: Maciej Sprutta, Janina Stolec, Maria Hudymowa i Lesław Mytnik (31 maja 2012 roku w Kołobrzegu).



Odstąpienie obelisku „Pionierom Kołobrzeskim” (31 maja 2012 r. w Kołobrzegu). Od lewej: Maria Hudymowa, Janina Stolec, Maciej Sprutta, Krystyna Gawlik i Lesław Mytnik.



Sprawą, w którą zaangażowała się większość koszalińskich pionierów, było odniesienie się do kolejnego projektu rewitalizacji Rynku Staromiejskiego w Koszalinie. W tymże projekcie, zgodnie z życzeniem władz miejskich, przewidziano usunięcie pomnika „Byliśmy - Jesteśmy - Będziemy” z placu przed ratuszem. Pomnik ten zbudowano w 20. rocznicę polskiego Koszalina. Jego autorem był rzeźbiarz Michał Józefowicz oraz koszalińscy architekci Andrzej Lorke i Andrzej Katzer.

Pionierzy w czasie walnego zebrania Stowarzyszenia Przyjaciół Koszalina podjęli uchwałę zawierającą protest. W następnych dniach zbierano podpisy (wraz z innymi organizacjami zebrano 4.000), uczestniczono w hepeningu przed ratuszem. Wśród wielu wypowiedzi padały słowa: „miejmy odwagę myśleć i żyć po swojemu”.



Skan fotografii z tygodnika „Miasto”. Na wiecu przed koszalińskim ratuszem w obronie pomnika „Byliśmy, Jesteśmy, Będziemy”. I-szy rząd od lewej: Janina Stolec i Maria Hudymowa, II rząd: Bogdan Dikolenko, Władysław Hombek, Maciej Sprutta i Ewa Adel – Adamczyk.

Kolejny problem, podjęty przez Klub Pionierów, dotyczy poszerzenia zespołu zgromadzonego w naszym Klubie o zgłaszających się członków rodzin Powstańców Wielkopolskich, mieszkających od lat powojennych w naszym mieście. Z zespołem tym podjął bliższą współpracę Maciej Sprutta. Na zdjęciu zamieszczonym poniżej znajduje się wśród nich. Drugie zdjęcia przedstawiają uroczystość na koszalińskim cmentarzu.



Maciej Sprutta wśród rodzin Powstańców Wielkopolskich.





Uroczystość na cmentarzu poświęcona poległym Powstańcom Wielkopolskim.



Uroczystość na cmentarzu poświęcona poległym Powstańcom Wielkopolskim.



Rok 2012 zakończył się w naszym Klubie spotkaniem wigilijnym, zorganizowanym i prowadzonym przez Leszka Mytnika. Te spotkania grudniowe cieszą się dużym zainteresowaniem, cechuje je prawie rodzinna atmosfera i przeważnie dobra frekwencja. Ostatnie takie właśnie spotkanie odbyło się 18 grudnia. Pionierzy mieli okazję wysłuchać wystąpienia biskupa Edwarda Dajczaka a także prezydenta Koszalina Piotra Jedlińskiego. Mogli złożyć sobie życzenia świąteczne i noworoczne i podzielić się opłatkiem. W czasie tego spotkania wystąpił także chór z Centrum Kultury 105, którym kierowała pani Teresa Słobodzian.

Ku zadowoleniu wszystkich zebranych chór zaprezentował najbardziej popularne kolędy, co stworzyło szczególnie miły nastrój.



Spotkanie wigilijne 18 grudnia 2012 roku. Na zdjęciu: chór dziewczęcy kierowany przez Ewę Turowską (Centrum Kultury 105).



Spotkanie wigilijne 18 grudnia 2012 roku. Rząd I od lewej: prezydent Koszalina Piotr Jedliński, ks. biskup Edward Dajczak, Janina Stolz; rząd II – stoją od lewej: Ludmiła Raźniak, Lesław Mytnik i Regina Adamowicz.



Spotkanie wigilijne 18 grudnia 2012 roku. Stoją od lewej: Jan Rosowski, Janina Stolz, Eugeniusz Zdrojewski, Zenon Kasprzak, Genowefa Poniecka.



Spotkanie wigilijne 18 grudnia 2012 roku. Od lewej: Jan Rosowski, Janina Stolz, Eugeniusz Zdrojewski, Barbara Płowczyk.

Pierwszym wydarzeniem w 2013 r. w środowisku koszalińskich pionierów były obchodzone uroczyste setne urodziny Marii Hudymy, Honorowej Obywatelki Miasta Koszalina. Oficjalna uroczystość z udziałem władz miejskich odbyła się



w Urzędzie Stanu Cywilnego w dniu 12 stycznia 2013 r. Były również spotkania w ZNP i Gimnazjum nr 6. Gratulacje i życzenia szczęśliwych dalszych lat w zdrowiu, wśród rodziny i przyjaciół składano bez końca. Patrząc na kondycję p. Marii, wielu pomyślało, porównując z zegarem swoich lat, że największą sztuką w jesieni życia jest umieć ją właściwie zagospodarować.



Spotkanie 12 stycznia 2013 roku. Od lewej: Lech Fabiańczyk, Alicja Leitgeber – Miziołek, Maria Buczak, Zenon Kasprzak. Obok Marii Hudymowej) Lesław Mytnik (z lewej), Maciej Sprutta (z prawej).

W dniu Pioniera 4. marca 2013 r., zgodnie z przyjętym obyczajem, w ratuszu odbyło się spotkanie koszalińskich pionierów z władzami miasta. Prowadził je prezes Klubu Lesław Mytnik. W imieniu władz miasta zabrał głos Andrzej Kierzek, zastępca prezydenta, dziękując za dokonania pionierów i życząc im zdrowia i zadowolenia z życia. Następnym mówcą był eurodeputowany poseł parlamentu europejskiego prof. Bogusław Liberadzki. W swej wypowiedzi wyraził głęboki szacunek dla tych wszystkich, którzy z gruzów podnieśli to



W domu Marii Hudymowej. Na zdjęciu gospodyni w towarzystwie Andrzeja Niskiego, senatora V kadencji, koszalińskiego radnego.



miasto i rozbudowali je tworząc zakłady pracy, mieszkania, szerząc oświatę i polską kulturę. Profesor Liberadzki wyraził swe oburzenie, że władze miasta nie doceniają tego wysiłku, jaki w najtrudniejszym okresie lat powojennych został włożony w przemiany, których symbolem jest zbudowany ze składek pionierów pomnik „Byliśmy - Jesteśmy - Będziemy”.

W dyskusji zabrał jeszcze głos poseł Stanisław Wziętek i wicemarszałek Sejmiku Zachodniopomorskiego Andrzej Jakubowski. W części artystycznej wystąpił zespół z Centrum Kultury 105 kierowany przez p. Ewę Turowską. Uczestnicy spotkania wysłuchali również wykładu dyr. I Liceum Ogólnokształcącego im. S. Dubois R. Janusa pt. „Koszalin w polszczyźnie – polszczyzna w Koszalinie”. Uroczystość zakończyła się złożeniem kwiatów przez władze i pionierów kosza-
lińskich pod pomnikiem „Byliśmy - Jesteśmy - Będziemy”.

Wielu z nas analizuje siebie i świat wokół, w ten sposób staramy się zrozumieć istotę życia i przemijania, stopniowe zbliżanie się do smugi cienia. Ważne, że w naszym zespole systematycznie pracujemy nad tym, by ocalić przynajmniej ślady naszej działalności w różnych dziedzinach tworzącego się życia polskiego Koszalina. Być może ta, trzecia już, książka posłuży też ocaleniu pamięci.



Rok 2010. Redaktorzy „Wspomnień Pionierów Koszalina” u pani Marii Hudymowej. Od lewej: przewodniczący kolegium redakcyjnego Zenon Kasprzak, Leszek Mytnik – prezes Klubu Pionierów Koszalina, Janina Stolec – członek zespołu redakcyjnego. Na pierwszym planie Maria Hudymowa.





*Dzień Pioniera – 4 marca 2013 r. Składanie wieńców pod pomnikiem „Byliśmy, Jesteśmy, Będziemy”.
Od lewej: Bolestaw Kryń, Lesław Mytnik, Andrzej Kierzek – zastępca prezydenta Koszalina, Andrzej Jakubowski – wicemarszałek zachodniopomorski.*



Dzień Pioniera – 4 marca 2013 roku. Na pierwszym planie od lewej: Andrzej Niski, Janina Stół, Danuta Mytnik – Krawczyk, Lesław Mytnik, Zenon Kasprzak, Ryszard Wieczorek.



Zofia Korczyńska-Szrubka

„Jest w mojej pamięci...” Wspomnienie o Karolu Mytniku (1906-1997)

Z ogromnym sentymentem i wzruszeniem wspominam Pana Karola Mytnika, z którym los mnie zetknął w 1962 roku. W tym roku rozpoczęłam pracę w charakterze nauczycielki języka polskiego w niepełnym wymiarze godzin w Szkole Podstawowej dla Pracujących w Koszalinie. Miałam zaszczyt pracować w tej szkole do 1972 roku pod kierownictwem wybitnego pedagoga Pana Karola Mytnika, który w 1945 roku organizował tę szkołę i którą prowadził aż do przejścia na emeryturę w 1973 roku.

Z wykształcenia był prawnikiem (studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu im. Jana Kazimierza we Lwowie), z umiłowania nauczycielem (ukończył Wyższy Pedagogiczny Kurs Nauczycielski), ale nigdy nie obnosił się ze swoją wiedzą, bo był bardzo skromny.

Spotkałam na swojej drodze wyjątkowego człowieka. Miałam przed nim respekt, bo sprawiał wrażenie nieprzystępnego, ale to tylko pierwsze uczucie.

Tak naprawdę miał złote serce. Zawsze znalazł czas, aby doradzić, pomóc.

Był dobrym człowiekiem, bo pomagając każdemu będącemu w potrzebie, nie oczekiwał rewanżu czy wdzięczności.

Doznałam jego życzliwości, kiedy miałam osobiste kłopoty. Wykorzystując



Karol Mytnik



swoją bogatą wiedzę prawniczą, łagodnie przeprowadził mnie przez niuanse paragrafów sądowych.

Dużą wagę przywiązywał do doboru nauczycieli różnych specjalności, którzy w przyszłości zasilili kadrę kierowniczą w administracji oświatowej i społecznej.

Byli to między innymi: Jadwiga Jankowiak wspaniała nauczycielka j. polskiego, metodyk; Adam Wirski – podinspektor szkolny, dyrektor Archiwum, wykładowca na WSP w Słupsku, Zbigniew Łubkowski – inspektor szkolny, Bogdan Binaś – dyrektor Szkoły Podstawowej nr 1, Tadeusz Piwowarski – sekretarz Związku Nauczycielstwa Polskiego, Romana Dziurla – dyrektor Szkoły Podstawowej nr 13, Józef Skrzypczyk – od 1973 roku dyrektor Szkoły dla Pracujących.

Wiele się w tej szkole nauczyłam, co z kolei pomogło mi w pracy organizacyjnej i pedagogicznej w Szkole Podstawowej nr 7 w Koszalinie, którą miałam szczęście prowadzić przez kilkanaście lat (1974-1988).

Praca w takim gronie kierowanym przez Pana Karola Mytnika była dla mnie ogromnym wyróżnieniem, ponieważ, jak wspomniałam, zawsze starannie dobierał sobie kadrę i zawsze mówił, że praca w tej specyficznej szkole wymaga od nauczycieli nie tylko wykształcenia, ale również wiedzy psychologicznej. Bardzo wymagający, ciągle dopingował nas do samokształcenia, pogłębiania swojej wiedzy w szczególności z zakresu andragogiki (kształcenie ludzi dorosłych).

Często nas hospitował. Jeżeli po dzwonku na lekcję nie było Go w pokoju nauczycielskim, to wówczas żartowaliśmy: „*Idź szybko do klasy, bo szef już tam jest...*” Był skromny w pochwałach. Jeżeli hospitowana lekcja podobała mu się, z uznaniem kiwał głową i mówił: „*Dobrze, dobrze*”, a jeżeli miał uwagi wówczas zapraszał delikwenta na dywanik, ale to było rzadkością. Bywało, że mieliśmy inne zdanie, że słyszeliśmy słowa krytyki, ale z perspektywy długich lat uważam, że słuszne. Czerpaliśmy z jego bogatych doświadczeń wiedzę, która nam się w przyszłości przydała.

Pan Karol Mytnik był skrupulatny. Nie rozstawał się z grubym, stukartkowym zeszytem, w którym były nie tylko uwagi z hospitowanych lekcji, ale również spostrzeżenia dotyczące naszej pracy. Ten zeszyt był obiektem naszego pożądania, chcieliśmy dotrzeć do tych zapisków, niestety nie udało się, bo był pilnie strzeżony.

Miał do nas taki stosunek, jaki ma mistrz do ucznia. Nigdy nie podnosił głosu i bardzo ładnie do nas się zwracał: „*pani koleżanko, panie kolego*”. Jeżeli ktoś myśli, że to była oznaka poufałości to się bardzo myli, to był raczej gest szacunku.

Kiedy po wojnie zajął się kształceniem dorosłych, posiadał już na tym polu duże doświadczenie pedagogiczne. Przed wojną został powołany na stanowisko instruktora oświaty dla dorosłych, a w czasie wojny zajmował się tajnym nauczaniem młodzieży i dorosłych z zakresu programu szkoły podstawowej i średniej. Wojna uczyniła ogromne spustoszenie edukacyjne w społeczeństwie. Obok mło-



dzieży do szkół przychodzili dorośli, którym wojna odebrała możliwość kształcenia się (wojsko, obozy koncentracyjne, praca przymusowa w Niemczech itp.)

Głód wiedzy był ogromny. Pan Karol Mytnik miał wiele szacunku dla ludzi dorosłych, którzy podejmując naukę w podstawowej szkole wieczorowej mieli dalekosiężne cele: naukę w szkole średniej, potem studia lub awans w zakładzie pracy. W stosunku do uczniów był bardzo wymagający, surowy, a jednocześnie pełen zrozumienia dla wychowanków, że pracując znajdowali czas na naukę. Szkoła cieszyła się dużym powodzeniem, ale uczniowie nie mogli liczyć na żadne pobłażanie. Końcowe egzaminy z zakresu programu szkoły podstawowej były znaczącym sprawdzianem nie tylko dla uczniów, ale również dla nas, nauczycieli. Przewodniczącym komisji był pan dyrektor, komisja składała się z nauczycieli różnych przedmiotów. Stopień wiedzy naszych uczniów był różny.

Wziąwszy pod uwagę, że byli to uczniowie pracujący, nie zawsze mieli czas na przygotowanie się do egzaminu, dlatego ze zdumieniem dowiadywałam się, że Mickiewicz napisał „Balladynę”, Słowacki „Ballady i romanse”, ksiądz Robak ukrywał pod sutanną Soplicę, Jan Kochanowski mieszkał pod lipą.

Egzaminatorzy starali się często pomóc podpowiadając, co spotykało się z ostrym sprzeciwem przewodniczącego komisji. W ostateczności większość zdawała, bo znaliśmy naszych uczniów i wiedzieliśmy ile wysiłku kosztowało ich przygotowanie do egzaminu i jak mocno go przeżywali stając przed surowym areopagiem.

Pan Karol Mytnik był zaangażowanym społecznikiem. Praca pedagogiczna była jego powołaniem, a działalność społeczna jego pasją. Aktywnie działał w Związku Nauczycielstwa Polskiego, w Towarzystwie Wiedzy Powszechnej, w Klubie b. Nauczycieli Tajnego Nauczania oraz Klubie Pioniera. Nie wiem jak znalazł czas, aby brać udział w tych organizacjach. Podziwiałam Go za energię i zaangażowanie na rzecz koszalińskiego społeczeństwa. Działalnością na rzecz pierwszych koszalinian zachęcił Swego syna Lesława, który z dużym powodzeniem prowadzi Klub Pionierów. Dwaj synowie Stanisław i Krzysztof poszli w ślady ojca – są nauczycielami.

Władze oświatowe i związkowe wysoko ocenili Jego działalność, o czym świadczą liczne odznaczenia państwowe, resortowe i związkowe.

Pięknie uczczono pamięć Karola Mytnika odsłaniając tablicę na budynku Szkoły Podstawowej nr 1 w Koszalinie (tu mieściła się również Szkoła Podstawowa dla Pracujących) upamiętniająca Jego oraz pierwszych nauczycieli.

Jeszcze jeden rys z bogatej osobowości Pana Karola to stanowczość w swoich poglądach i przekonaniach. Mimo częstych propozycji wstąpienia do partii (PZPR), kategorycznie odmawiał. Ceniliśmy Go za to, że nie sprzeniewierzył się Swoim ideałom. Cenny rys charakteru... Był uczciwy, prawy i sprawiedliwy. Niby normalne, ale w tych czasach to coraz rzadsze.



Kiedy w 1973 roku odchodził na emeryturę niejednemu z nas zakręciła się łza w oku. Szkoła bez Niego nie była już tą szkołą...

Swe długie i bogate życie rozpoczął w Tłumaczu na Kresach Wschodnich w 1906 roku i zakończył w wieku 91 lat w Koszalinie na Pomorzu. Tak daleko, a jednak blisko...

Przemijanie to zwykły porządek świata. Odchodząc człowiek pozostawia nam wspomnienia i dlatego w mojej pamięci Karol Mytnik po prostu jest...



Spotkanie z okazji przejścia Karola Mytnika na emeryturę w 1973 roku. Stoją od lewej: Bogdan Binaś (dyr. SP 1), Józef Skrzypczak (po odejściu K. Mytnika dyrektor Szkoły dla Pracujących), p. Molński – prac. Wydz. Oświaty, obok p. Mytnika Czesław Dudziński, osławiony woźny SP 1, dwie nauczycielki – biologii i matematyki (niestety nazwiska nie przetrwały w pamięci autorki), Romana Dziurla (dyr. SP 13), Tadeusz Piwowarski – sekretarz ZNP.

W dolnym rzędzie (od lewej): Adam Wirski – podinspektor Wydz. Oświaty potem dyrektor Archiwum Państwowego, obecnie pracownik naukowy Akademii Pedagogicznej w Słupsku, Jadwiga Jankowiak, osławiona, wspaniała polonistka na pełnym etacie i Zofia Korczyńska (j. polski, dyr. SP 7), p. Maria Romecka (sekretarka).





Tablica pamiątkowa odsłonięta z inicjatywy koszalińskich pionierów, poświęcona pamięci organizatorów i pierwszych najbardziej zasłużonych nauczycieli tej placówki, m.in. Karola Mytnika.



Budynek Szkoły dla Pracujących w Koszalinie (obecnie Szkoła nr 1).



Zofia Banasiak

Moja – całkiem osobista – historia gazety w Koszalinie

Zacząło się od tego, że chciałam zarobić parę dodatkowych złotych w korekcie nowopowstałej gazety. W banku, gdzie byłam kierownikiem działu planowania kredytowego, pracowałam od rana do trzeciej po południu, a potem do późnego wieczora – w korekcie, bo gazetę drukowało się w nocy.

Trwało to zaledwie miesiąc, od pierwszych do ostatnich dni września 1952, a wpłynęło na następne czterdzieści lat mojego życia: ówczesny naczelny, **Tadeusz Bartosz**, zaproponował mi przejście na etat dziennikarski i ja tę propozycję przyjąłam.



Autorka z jednym z pierwszych numerów Głosu. Gazeta miała inną, niż dziś winietę i mały format.





Przez okno w drukarni wygląda red. techniczny Aleksander Kaczorowski, zwany „Kocinka”. Pierwsza z lewej Joanna Melnik, pierwsza z prawej Zofia Banasiak – wtedy Chrabąszczewicz.

Nim jeszcze na zawsze rozstałam się z Oddziałem Wojewódzkim NBP, wzięłam urlop, pojechałam do Warszawy, żeby pójść na miejsce, gdzie kiedyś stał nasz warszawski dom, zobaczyłam ruiny i wróciłam do Koszalina. Też pełen był gruzów, które jednak mniej mnie bolały...

1 listopada 1952 r. byłam już dziennikarką Głosu Koszalińskiego. Był to trudny czas, tylko 7 lat po wojnie. Jej po-

dmuch jeszcze czuliśmy na plecach, ale chcieliśmy o niej zapomnieć, żyć normalnie. Dziś wspomnienia wracają. **Henryk Banasiak** mówił: przecież my wszyscy jesteśmy chorzy na wojnę – i nikt nas z tego nie wyleczy...

Był to także dopiero drugi rok od chwili wydzielenia ze szczecińskiego Zachodniopomorskiego dużego obszarowo województwa koszalińskiego, liczącego 460 tysięcy mieszkańców i obejmującego całe Pomorze Środkowe, aż po Złotów, Bytów, Człuchów, Szczecinek, o wielu bliższych powiatach nie mówiąc. O miasto stolicy województwa ubiegał się obok Koszalina także Słupsk, mniej zniszczony, bardziej uprzemysłowiony i dysponujący wtedy dużą grupą inteligencji. Potem – na krótko – „wybił się na niepodległość” w połowie lat siedemdziesiątych, przy okazji gierkowskiej reformy administracji. W 1950 roku wybór padł na Koszalin, a gazeta od nazwy miasta wzięła swój tytuł.

Przystępując do pracy w Głosie, o dziennikarskiej robocie nie miałam pojęcia, mimo, że równocześnie z prawem na UJ, studiowałam w krakowskiej WSNS i zaliczyłam dwa lata dziennikarstwa. Skończyłam jednak tylko prawo, bo dwa kierunki i półtęta w NBP Kraków, to było dla mnie za dużo. Zresztą jakież studia dają zawodową sprawność? Przynosi ją dopiero doświadczenie.

To doświadczenie zdobywał wówczas cały redakcyjny zespół, złożony głównie z ludzi młodych, często dopiero po maturze. Nawet absolwenci uczelni wyższych, czy to z Warszawy, czy z Krakowa, skierowania do pierwszej pracy dostawali tuż po absolutorium, a dyplomy magisterskie robili później. Jak wspominał Włodek Łuczak, decydujący głos miała komisja, złożona z przedstawicieli Biura Prasy KC i Zarządu Głównego RSW Prasa.

Przypominam sobie, że o takiej właśnie komisji opowiadał mi także Henryk Banasiak, pierwszy redaktor depeszowy Głosu (od 1954 roku mój mąż). Z jej błogosławieństwem podejmował rok wcześniej tj. w 1951 r. zatrudnienie w Gazecie Pomorskiej w Bydgoszczy. Tam zdobył ostrogi depeszowca, a w sierpniu 1952 przyjechał na delegację służbową do Koszalina, żeby wraz z redaktorem



Renikiem z katowickiej Trybuny Robotniczej zorganizować tu redakcję nocną. Uczestniczył w pracach przygotowawczych i redagował pierwsze strony depesz pierwszego numeru Głosu. Pewnie i w toastach z tej okazji brał udział, ale to może już pamiętać tylko Władek Łuczak, bo jedynie nas dwoje żyje jeszcze z około dwudziestu pierwszych dziennikarzy Głosu.

Henryk Banasiak o swoim koszalińskim starcie mawiał: „Przyjechałem na dwa tygodnie, a zostałem na całe życie”. Studiował na wydziale dziennikarskim w Krakowie, podobnie, jak pierwszy kierownik działu korespondentów Głosu **Lesław Gnot**, czy przybyli do nas już w drugiej połowie lat pięćdziesiątych absolwenci UJ – **Zbigniew Michta**, **Tadeusz Kwaśniewski** i **Julian Pelczar**.

Red. Banasiak zdobył w następnych latach wiele nagród i wyróżnień w swojej specjalności (m. in. I miejsce w kraju dla działu depesz Głosu w roku 1973), był zastępcą sekretarza redakcji Głosu i naczelnego suwalskich „Krajobrazów”, ale najdłużej kierował koszalińską redakcją nocną. Tam go poznałam.



*Autorka ze swoim późniejszym mężem – H. Banasiak (z lewej) w dziale depesz – lata 1953–54. Zenon red. H. Banasiakiem w parku w Polczy-Karpiński i Andrzej Wojciechowski (z prawej).
nie 1953 r.*

Redakcja nocna – to było wówczas prawdziwe „serce gazety”. Nikomu nie śniły się jeszcze komputery, fotoskład i inne nowinki techniczne. Żeby rano gazeta mogła trafić do rąk czytelnika, trzeba było drukować ją w nocy. A nim pierwszy maszynista rotacyjny p. **Szymański** uruchomił w tym celu rotację, inni musieli przygotować poszczególne strony: linotypiści – przepisać redakcyjne teksty, zece-rzy – ułożyć z nich kolumny, korekta – sprawdzić odbitki.

Tak właśnie zobaczyłam wtedy gazetę, w jej bliskim związku z pracą drukarni, która nawiasem mówiąc była gospodarzem budynku przy ulicy A. Lampe – obec-



nie Andersa. Tu jeszcze do lat 60-tych i 70-tych ubiegłego wieku mieściło się wydawnictwo i redakcja. Z czasem zaczęło się nam razem robić za ciasno, zamiast trzech samodzielnych jednostek, tj. drukarni, wydawnictwa z redakcją i zajmującego się kolportażem „Ruchu”, powstał jeden wielki organizm – koncern RSW. Próby ponownej decentralizacji, rozpoczętej secesją „Ruchu” i powrotu do status quo, doprowadziły do sytuacji obecnej: budynek świeci pustką, wystawiony na sprzedaż.

60 lat temu Koszalińskie Zakłady Graficzne, zanim zaczęły drukować Głos, dysponowały tylko maszynami płaskimi, na których można było powielać broszury, nalepki handlowe, czy nawet książki, ale nie codzienną prawdziwą gazetę o conajmniej dwudziesto, trzydziestotysięcznym nakładzie. Potem nastąpiły lata, w których ten nakład wzrósł do stu kilkudziesięciu, a w soboty i do dwustu tysięcy. To było jednak później.

Wtedy – Zakłady Graficzne sprowadziły starą, ale sprawną maszynę rotacyjną i zaczęły kompletować zespół gazetowy. Tak, jak w zespole redakcyjnym, w którym młodzi korzystali z pomocy i doświadczenia przedwojennych dziennikarzy, tak startujący w zawodzie drukarze byli prowadzeni przez znakomitych przedwojennych drukarzy. Byli to np. małżonkowie **Jońscy** – świetni linotypiści (oboje 2 lata później byli naszymi, tj. moimi i Henryka Banasiaka, ślubnymi świadkami), pierwszy metrampaż **J. Świtalski** (od niego uczyli się wtedy nasi równolatkowie **M. Pankowski** i **R. Zieliński**), pierwszy maszynista rotacyjny p. **Szymański**, którego żona karmiła nas wszystkich – i drukarzy i dziennikarzy – w jednym, służącym obu przedsiębiorstwom bufecie.

Takie to były czasy. Egalitaryzm, łamanie barier środowiskowych wynikało nie tylko z przesłanek ideologicznych i mitologizacji roli „klasy robotniczej”. W należącej do Zakładów Graficznych dużej świetlicy odbywały się wspólne zebrania organizacji partyjnych redakcji i drukarni, ale też wspólne zabawy. Łączyła nas po prostu wspólna praca. Wydawanie gazety wymagało współdziałania.

Wszystko wtedy było „pierwsze”.

Pierwszy redaktor techniczny, **Aleksander Kaczorowski**, „kocinka”, wychylał się przez wewnętrzne okienko z pomieszczeń drukarni, a po pracy



H. Banasiak w towarzystwie drukarza Ryszarda Zielińskiego (z prawej).



śpiewał nam piękne „sercoszczypatielne” rosyjskie piosenki. Dopiero gdy wyjechał z Koszalina, dowiedziałam się, że były to piosenki z łagru, do którego trafił jako żołnierz wileńskiej AK.

Nie on jeden wołał szczegółły swego”niepoprawnego politycznie” jak na tamte czasy, życiorysu, zachować dla siebie... **Jurek Lesiak** na spotkanie kombatantów spod Monte Cassino mógł pojechać dopiero w czasach gierkowskich, a **Alicja Zatrybówna** o ojcu – oficerze przedwojennym, który zginął na Wschodzie, też mówiła tylko w prywatnych rozmowach.

Wymieniłam „kocinkę” jako pierwszego redaktora technicznego, a przecież pełnił także tę funkcję **Andrzej Wojciechowski**, z którego pierwszą żoną Zosią pracowałam w latach 1952-53 w dziale korespondentów. Wielkie wrażenie zrobiła na mnie jej tragiczna, przedwczesna śmierć. Mogę nawet powiedzieć, że w ogromnym stopniu wpłynęło to na moje późniejsze zainteresowanie się tematyką ochrony zdrowia kobiet...

Każdy z nas ma własne, odrębne wspomnienia, nawet, gdy dotyczą tego samego czasu... Uczestniczyłam w życiu redakcyjnym wiele, wiele lat, byłam świadkiem kolejnych zmian pokoleniowych, ale np. burzliwe lata 56 roku, kiedy moi koledzy manifestowali na placu przed WRN swą niezależność od Komitetu Wojewódzkiego, przeznaczyłam wyłącznie dla rodziny, przerywając pracę zawodową. Nie było wtedy urlopów na wychowanie dziecka, a urlop macierzyński wynosił tylko 3 miesiące i to jedynie dla „pracownic umysłowych”. Nie zdajemy sobie dziś sprawy z postępu jaki dokonał się w zakresie pracowniczych uprawnień w ciągu minionego 60-lecia.

Mnie, jak i nikomu z mojego pokolenia, nikt tej przerwy w pracy na odchowanie dzieci do pracowniczego stażu nie zaliczył, jak nie liczył też lat nauki, bo odnośne przepisy zostały wydane w PRL dopiero później. Toteż w moich dokumentach powrót do redakcji w 1958 r. został odnotowany jako nowy początek. Jakby tego okresu od 1952 do 1955 roku wcale nie było. A przecież był. I przecież pracowałam od wczesnej młodości aż do emerytury.



Dział kulturalny Głosu, od lewej: Stefania Zajkowska, Zofia Banasiak i Jadwiga Ślipińska – 1960 r.



Ludzie z tamtych lat... Myślę, że nie muszę powtarzać tego, co już powiedziało tyle osób przede mną, a co najrzetelniej przekazała **Stenia Zajkowska** w broszurze, wydanej z okazji 25-lecia „Głosu” i 30-lecia RSW: Głos Koszaliński, to była wcześniej mutacja Głosu Szczecińskiego, a ludzie tam pracujący jakby „z automatu” (że tak to współczesnym językiem określe), stali się trzonem zespołu nowej redakcji. Oczywiście obok grupy przyjezdnych, skierowanej przez komisję z warszawskiego szczebla, o której już wspominałam, a którą dokładnie przedstawił Władek Łuczak.

Muszę przy okazji sprostować wadliwie podaną przez red. Zajkowską datę rozpoczęcia mojej pracy w Głosie: nie był to rok 1955, w którym właśnie korzystałam z urlopu macierzyńskiego, tylko rok 1952, dokładnie 1 listopada 1952 r. Tego samego dnia rozpoczęła pracę **Jadzia Ślipińska**. W roku następnym razem zbierałyśmy wypowiedzi mieszkańców naszego miasta na temat 60-tych urodzin Bolesława Bieruta. Nie byłyśmy tym zachwycone, toteż Jadzia skomentowała zadanie krótko: „... (tu nieparlamentarne słowo), zimno i te wypowiedzi!” A w roku następnym oberwałyśmy po naganie partyjnej za brak dostatecznego żalu po śmierci Józefa Stalina. Miała prawo nie pamiętać tamtych klimatów Stenia, bo przyszła do redakcji parę lat później, czy relacjonująca wspomnienia Władka Łuczaka **Irena Figas-Boguszewska**, której jeszcze wtedy zapewne nie było na świecie. Ale pamięta jej mama, **Krystyna Figas**, księgowa Wydawnictwa, wedle moich wspomnień – pracująca w nim od zarania, po śmierci **Józefa Wołujewicza** główna księgowa, a już z całą pewnością pamięta – **Józefa Nowicka**, wtedy z Biura Ogłoszeń, potem – kadrowa, która po gomulkowski „odwilży” zwracała nam „odtajnione”, a wystawione w „okresie błędów i wypaczeń” „poufne” pracownicze opinie – bo już obowiązywała jawność. Życie i polityka kołem się toczą, a każdy czas ma swoje kryteria politycznej poprawności. Tylko cena tych zmian bywa zwykle za wysoka...

Pierwszy wieloletni główny księgowy – **Józef Wołujewicz**. Pierwsza teletypistka – **Elżbieta Wiśniewska**. Pierwszy kierownik pierwszej redakcyjnej „warszawy”, która spłonęła **Józef Tupalski** i jego zmiennik **Władysław Makowski**. Żona Władysława Makowskiego Zofia, też od pierwszych dni w wydawnictwie, z początku w „ogłoszeniach”, potem przy dalekopisie. Mam w albumie zdjęcie z 1953 lub 54 roku z red. Banasiakiem i Władkiem Makowskim, który przywiózł nas oboje do Połczyna.

A zanim wspomniana wyżej Ziuta Nowicka objęła stanowisko kadrowej, pełniła tę funkcję **Zofia Czerwińska**, której mąż Marian był później wicewojewodą. No i przede wszystkim pierwsza dyrektor Wydawnictwa – **Halina Elczewska**, żona I sekretarza KW Macieja Elczewskiego, pani pełna uroku, której ambicje wykraczały poza to dyrektorowanie, dbająca o bliski kontakt ze środowiskiem



dziennikarskim, w którym odgrywała znaczącą rolę. Wydała (pod pseudonimem) broszurę o województwie koszalińskim lat 50-tych. Po nagłej śmierci męża wyjechała do Warszawy, ale do Koszalina przyjeżdżała w odwiedziny jeszcze w latach 70-tych ub. wieku.

Przypominam sobie, że w tym samym czasie przeniósł się na warszawskie salony nasz kolega z działu korespondentów, **Ryszard Gontarz**, redakcyjny „agent Tomek”, cieszący się dużym powodzeniem u dam, który będąc na redakcyjnym etacie, równocześnie otwarcie manifestował swoje związki z odnośnymi służbami. Ale choć napisał i wydał całkiem ciekawą powieść z czasów okupacji i osnuty na kanwie przedstawionych w niej wydarzeń scenariusz filmu pt. „Dwaj panowie K” (reżyserował tak dobry fachowiec jak Chmielewski), nie przyniosło mu to powodzenia, bo wdał się w polityczne i personalne rozgrywki filmowców. Może szkoda, film był niezły.

Pierwszy naczelny, **Tadeusz Bartosz**, usiłujący realizować w praktyce szczytne ideały socjalizmu, został wkrótce zastąpiony przez **Witolda Dobskiego**, który w imię dyktatury proletariatu miał naprawiać jego inteligenckie błędy, lekce sobie ważąc wszelkie przepisy (a obowiązywały ciągle te przedwojenne) i reprezentujących je, jak ich określał „urzędasów”. Miałam z nim parę potyczek, bo mimo swej rewolucyjnej retoryki był szefem wymagającym bezdyskusyjnej realizacji swych poleceń, a ja niesforną jednak i od zawsze naiwną buntownicą – ośmielałam się mówić o prawach pracownika...

Pierwszym, bardzo solidnym, odpowiedzialnym, od rana do wieczora ślęczącym nad naszymi nieporadnymi tekstami sekretarzem redakcji był **Rajmund Zawadzki**. Ponieważ przeniósł się potem do Bydgoszczy, do Gazety Pomorskiej, z której wywodził się red. Banasiak, sądziłam, że i on tam zaczynał swą dziennikarską drogę, tym bardziej, że nim w Koszalinie zdobyła jego serce śliczna dziewczyna z partyjnej stołówki, był podobno związany z aktorką z Bydgoszczy, albo Torunia. Ale może to były tylko romantyczne opowieści. Był to bowiem wtedy wysoki, przystojny, szczupły młody człowiek o dużym apetycie na dobre jedzenie i na uroki życia. Zdjęcia z jego bydgoskich czasów pokazują już tego wyraźne skutki.

Rajmunda, który długo ciągnął całą robotę w sekretariacie Głosu zupełnie sam, zastąpił po jego wyjeździe **Marian Rebelka**, w pierwszych latach zajmujący się koszalińskim rolnictwem, pegeerami. Bo początkowo, mimo formalnego podziału na działy, wszyscy zajmowali się po trosze wszystkim. Panował też pogląd, że ponieważ koszalińskie, to głównie rolnictwo, każdy dziennikarz powinien się na nim znać. I tak wysłany na reportaż z PGR przesympatyczny **Zenek Karpiński** pytał jego pracowników: „A ile te warchlaki mleka dają?”, wzbudzając oczywistą ogólną wesołość. Był stuprocentowym mieszczuchem, poznaniakiem. Nim wrócił



z Koszalina do swego domku w Puszczykówku pod Poznaniem, miał w Głosie „przydział” do działu ekonomicznego, co znaczyło jednak niewiele.

Kiedy **Marian Rebelka** został sekretarzem redakcji, był już po czterdziestce, po rozwodzie, chyba też jeszcze przed dyplomem, toteż wysoko sobie cenił uzyskaną pozycję i przynależność do ścisłego kierownictwa redakcji.



Marian Rebelka (pierwszy z lewej) i Henryk Banasiak (za biurkiem).

Bardzo nie lubiliśmy – wszyscy – jego daleko idących ingerencji w nasze teksty. Żartowaliśmy, że byłby chory, gdyby nie zmienił komuś „strumyka” na „rzeczkę” – lub odwrotnie. A przecież teraz widzę to zupełnie inaczej. Marian ma niezaprzeczane, wielkie zasługi w oczyszczaniu dziennikarskiego języka z naleciałości powszechnej wtedy partyjnej „nowomowy”. Mimo, że bez filologicznego przygotowania, z „papierami” ekonomisty, został gorącym obrońcą poprawności językowej w gazecie, organizatorem spotkań z językoznawcami i prasoznawcami. To z jego inicjatywy

prof. **Walery Pisarek** urządził nam kiedyś takie dyktando, jakie dziś organizuje się w krajowej skali dla wszystkich miłośników „ojczyzny – polszczyzny”.

My – wtedy „młodzież” – patrzyliśmy na Mariana Rebelkę, **Włademara Sławika** i innych „dziestolatków” jak na starych nudziarzy. No, może wyjątkiem był **Edward Bartkowiak**, na którego mówiło się „tata”, bo był ciepłym, życzliwym światu i ludziom, pogodnym i krągłutkim panem około pięćdziesiątki, którego nie można było nie lubić i nie szanować. Pomagał, jak mógł, młodym. Pomagał, jak mógł, mniejszości niemieckiej, jeszcze licznej w PGR-ach, redagując wydawaną wtedy jako dodatek do Głosu, gazetę w języku niemieckim. A przecież wiedzieliśmy, że był zasłużonym dla polskiego podziemia działaczem Polonii w Niemczech Hitlera. Zmarł wcześnie, w wieku pięćdziesięciu lat. „Żegnaj moje słońeczko” napisała żona na skromnym pomniku, który do dziś znajduje się na koszalińskim cmentarzu. Kiedyś choć raz do roku odwiedzaliśmy z red. Banasiakiem grób „taty”, teraz nie mam już dosyć sił...

Te smutne refleksje nasuwają mi się pewnie w związku z niedawnym Świętem Zmarłych, ale przecież, o ile wiem, nikt z naszej „pierwszej brygady” z 1952 roku – poza Władkiem – już nie żyje. Ani „Grisza” – **Zbigniew Więckowski**, który uważał, że „nie masz cwaniaka nad warszawiaka” i z zapałem podśpiewywał „Bał na Gnojnej”, a który do Polski wraz z żoną Ireną, więźniarką Ravensbruck



wracał, jak opowiadał, przez zachodnią, amerykańską „żonę”. Ani **Jasio Barfuss**, sam więzień obozów koncentracyjnych, z którym się długo nie napracowaliśmy, ale za to zdążyliśmy wypić niejedną kawę „z prądem”, czyli dziś – po irlandzku – w kawiarence przy ul. Zwycięstwa, której oczywiście już nie ma. Ani **Henio Zieliński**, który mówił nam wtedy o swoich doświadczeniach dziennikarza działu miejskiego poznańskiej popołudniówki, o którego względy zabiegały liczne, walczące o pozytywny wizerunek w prasie, poznańskie placówki handlowe.

W redakcyjnej gromadzie Głosu, jak i w samym Koszalinie, poznaniacy stanowili znaczącą grupę, do której przecież zaliczał się i **Henryk Zieliński** i **Marian Rebelka** i **Irena Lubojańska** i **Zenon Karpiński** i tylekroć wymieniany **Władek Łuczak**. Był to czas aktywnej działalności Towarzystwa Rozwoju Ziemi Zachodnich, czas, gdy z anteny radiowej poznańskiego radia słuchaliśmy listów red. **Strugarka**, niezmiennie zaczynającego je inwokacją „Drogi koszaliński Przyjacielu!”...

Była też grupa bydgosko-toruńska, w której wyróżniały się takie postaci, jak **Alicja Zatorybówna**, później laureatka nagród dziennikarskich im. Juliana Bruna oraz Bolesława Prusa (tę przyznawano tylko nielicznym), czy **Ryszard Siennicki**, nasz pierwszy gazetowy grafik. Przyjechał do Koszalina z Bydgoszczy, już jako znany plastyk, laureat nagrody Ministra Kultury. Tam w Gazecie Pomorskiej także zajmował się stroną graficzną. Sądzę, że jego „kreski”, ilustrujące niektóre teksty Głosu, jeśli się zachowały, stanowią dziś cenne pamiątki dla zbieraczy... Dla mnie taką pamiątką jest wykonany ołówkiem portret red. Banasiaka. Kiedy Ryszard Siennicki zamknął okres współpracy z naszą gazetą, skupiając się całkowicie na twórczości artystycznej, jego obowiązki przejął, również już nieżyjący **Zbigniew Olesiński**.

Alicję Zatorybówną zapamiętałam przede wszystkim jako mistrzynię reportażu społeczno - obyczajowego. Napisała kiedyś tekst o kłopotach sianowskiej Fabryki Zapalek z „płynnością kadr”, jak się wtedy określało zwykłe porzucanie pracy przez przychodzących i odchodzących pracowników. Ale jak napisała! (To były czasy, kiedy praca



Alicja Zatorybówna w Mielnie - 1952 rok.



szukała ludzi, a nie ludzie – pracy.). **Stenia Zajkowska** w swej monografii *Głosu* podaje, że sam Melchior Wańkowicz nazwał Alicję pierwszą damą polskiego reportażu.

Mam zdjęcie Alicji z jakiegoś wspólnego wyjazdu nad morze. Przyjaźniła się blisko z **Jadwigą Ślipińską**, z którą długo trzymały się razem, choć jedna studiowała w Warszawie, a druga w Toruniu. Jadzia zawsze miała „parcie na teatr” i szeroko pojętą działalność kulturalną, a Alicję interesowały raczej sprawy społeczne. Ale to przed Alicją klękał w teatralnym geście poeta Witold Wirpsza w trakcie zorganizowanego na poczekaniu małego bankietu u **Mariana Świecimskiego**, gazetowego chemigrafa. To Alicja zawiozła do Jastrowia **Leona Kruczkowskiego** i pomagała mu dotrzeć tam do właściwych ludzi, kiedy zbierał materiał do swej głośnej powojennej sztuki pt. „Pierwszy dzień wolności”. (Był to moralitet o wracających z oflagu polskich oficerach, zaatakowanych przez niedobitki oddziału niemieckiego, szlachetnym niemieckim lekarzu, jego zagubionych córkach i ludzkich postawach wobec dziedzictwa wojny.). I to Alicja pierwsza dotknęła trudnego tematu tzw. ludności rodzimej, czyli mieszkańców Ziemi Łotowskiej, czy Bytowskiej, traktowanych przez polskich sąsiadów – przesiedleńców ze Wschodu, jak Niemcy choć w rzeczywistości ludzie ci mieli za sobą długie lata walki o zachowanie polskości. Dopiero po wyjeździe Alicji z Koszalinia, Jadzia podjęła tę tematykę, żeby na koniec zamknąć ją w książce „Orły i gryfy” napisanej wspólnie z **Antonim Kielczewskim**. To było oczywiście dużo później.

Z pierwszego okresu została mi w pamięci jeszcze wspólna z Jadzią i Alicją wieczorna wizyta u **Zosi i Andrzeja Wojciechowskich** w willi z półokrągłym tarasem przy parku na skrzyżowaniu Armii Czerwonej (dziś Piłsudskiego) przed obecnym barem „Łasuch”. Do „silnej, bo licznej grupy” dziennikarzy *Głosu* dojechał wtedy z Warszawy zaprzyjaźniony z Zatrębówną **Andrzej Śliż** z Ośrodka Badań Prasoznawczych. Tak, istniała już wtedy taka placówka! Z innym jej przedstawicielem, red. **Masłowskim** z Krakowa (zastanawiam się, czy nie ojcem naszej współczesnej znanej literatki) miałam do czynienia, kiedy szukałam metody reorganizacji działu łączności z czytelnikami w połowie lat 60-tych.

Prócz wspólnych służbowych redakcyjnych spotkań, na zebraniach, na „planówkach”, (czyli porannym planowaniu numeru), dyżurach nocnych w drukarni, czy wyjazdach w teren, spotykaliśmy się też nad morzem i na spacerach na Górę Chełmską. Z tych spacerów całą gromadą i wyjazdów do redakcyjnego domku w Mielnie zapamiętałam też **Andrzeja Bieńkowskiego-Rumiana** z warszawskiego „Podwieczorku Przy Mikrofonie” – kabaretu **Zenona Wiktorczyka**. **Andrzej Bieńkowski**, syn Ministra Oświaty, autor kąśliwych kabaretowych tekstów, do *Głosu* trafił na krótkotrwałe zesłanie za jakieś swoje polityczne grzeszki. Ponieważ było lato 53 czy 54 roku – przywiozł też do Mielna żonę z synkiem, z któ-



rażę pomieszkiwałyśmy przez ścianę przez pewien czas. Rumian wrócił wkrótce do stolicy, co było do przewidzenia, biorąc pod uwagę pozycję ojca. Ale widać zachował Koszalin we wdzięcznej pamięci, bo odwiedzał nas także po latach. A z postacią Alicji kojarzy mi się jeszcze sympatyczny wierszyk, ułożony przez jednego z jej toruńskich czy bydgoskich wielbicieli:

„Każdy przystanek ma twój inicjał -

bądź pozdrowiona. Ave Alicja.”

- którego tekst sama nam zareklamowała.

Z przyjemnością dziś wspominam takie miłe głupstwa i żałuję, że nie mam z kim już o nich pogadać.

60 lat, to kawał czasu. Nie wymienię wszystkich, z którymi pracowałam. Było wśród nich wielu mądrych, ciekawych, wspaniałych ludzi. Jedną z takich nietuzinkowych dziennikarskich znakomitości, z którą miałam zaszczyt zetknąć się już w pierwszych latach, była **Czesia Czechowicz** – wtedy Żurawik – z domu Lisztwan, urodzona w Wilnie, która całe swoje dorosłe, zawodowe życie spędziła w Koszalinie, tuż po maturze zaczynając tu swą dziennikarską karierę. Tu w latach 50-tych angażowała się w działalność młodego środowiska literackiego, tu zdobywała dziennikarskie laury.

Kiedy przypominam sobie uczestników redakcyjnych zebrań z tamtych najpierwszych dni, nie widzę wśród nich Czesi. Zobaczyłam ją dopiero gdy wróciła z urlopu macierzyńskiego po urodzeniu pierwszej córki. A zaczynała pracę razem ze wszystkimi z koszalińskiej mutacji Głosu Szczecińskiego – **Waldemarem Sławikiem, Leszkiem Figasem, Zbyszkim Rogowskim** – pierwszym fotoreporterem i innymi.

Godzenie macierzyństwa z pracą nigdy nie było i wciąż nie jest łatwe. Czesi się to udało. Wychowała Ewę, choć rozstała się z jej ojcem, ukończyła kurs w warszawskim ośrodku dziennikarstwa, urodziła drugą córkę, z kolejnego małżeństwa z Andrzejem Czechowiczem – który w międzyczasie został naczelnym redaktorem Głosu, zdobyła nagrodę im. J. Bruna, i pisała dużo i do-



Zofia Banasiak i Czesława Czechowicz otrzymują odznaczenia państwowe z rąk Antoniego Kuligowskiego - I sekretarza KW PZPR



brze, niezależnie od tego, jaką aktualnie w gazecie pełniła funkcję. Pisała do końca życia, także na emeryturze, już schorowana, samotna i słaba – to był sens jej egzystencji.

W ciągu mojego redakcyjnego czterdziestolecia wielokrotnie zdarzało się nam współpracować czy to w jednym dziale, np. kulturalnym w latach 60-tych (kierował nim **Zbigniew Michta**), czy łączności – w 70-tych (wtedy ja odpowiadałam za dział), zajmować się zbliżoną tematyką, wyprawiać w teren jednym redakcyjnym samochodem, a u progu lat 80-tych odbyć wspólną podróż zagraniczną do sąsiedzkiej Połtawy – i zawsze udawało się nam, nawet w sytuacjach pozornego konfliktu interesów – zachować przyjaźń. Zawsze mogłyśmy na siebie liczyć. Bo taka była właśnie Czesia: nie tylko świetny dziennikarz, ale przede wszystkim mądry i prawy człowiek. Nigdy nie chciała uznać stosowanej przez tylu innych zasady, że cel uświęca środki, nie tolerowała braku lojalności i cynizmu.

Zbigniew Michta, to kolejne znaczące nazwisko spośród dziennikarzy z drugiego „naboru” wykształconej uniwersytecko kadry, zdobywca tej samej co Czesia nagrody im. J. Bruna za świetne reportaże. Podjął pracę w Głosie wtedy, gdy ja ją przerwałam i zaczynałam swój prywatny „urlop wychowawczy”. Nim nieprzewidziane koleje losu z kontestatora w 1956 i 1980 roku zmieniły go w sekretarza KW, przeszedł wszystkie szczeble gazetowej kariery, jak wszyscy, jak **Tadeusz Kwaśniewski**, z którym pracowałam, gdy kierował działem informacji, czy **Julian Pelczar**, z którym w dziale terenowym pracował pewien czas red. Henryk Banasiak. W tym samym okresie tj. w drugiej połowie lat 50 – tych zaczęli pracę dwaj absolwenci uniwersytetu moskiewskiego – Wacław Nowak i Stanisław Figiel. Red. Nowak uczestniczył już w jubileuszu 5-lecia gazety w 1957 roku. Razem z **Leszkiem Fi-**

gasem, **Czesią** i **Andrzejem Czechowiczami** oraz **Władkiem Łuczakiem** znalazł się na zdjęciu z tej uroczystości tuż obok **Ignacego Wirskiego**, ówczesnego naczelnego oraz ówczesnego I sekretarza KW **Bodalskiego**. Zdjęcie przechował red. Banasiak.

Ja wróciłam do gazety rok później, byłam dopiero na następnym jubileuszu – 10-lecia Głosu w 1962 r.

Towarzyszącą temu wydarzeniu satyryczną „Kaczuszkę” redagował wtedy **Zbyszek Michta**.

Tyle osób jeszcze powinienam wymienić, tyle zdarzeń, które dziś wydają mi



Rok 1957 – pięciolecie gazety. Siedzą od lewej: Czesława i Andrzej Czechowiczowie (jeszcze nie małżeństwo), Wanda Bodalska (żona I sekretarza KW, znana dziennikarka) obok niej żona ówczesnego naczelnego Ignacego Wirskiego. Na pierwszym planie z prawej Władysław Łuczak, I sekretarz KW Bodalski – trzeci od prawej strony.



się znaczące, opisać... Nie wspomniałam o strasznym wypadku samochodowym, w którym zginęli w 1953 roku nasi młodzi koledzy: **Leszek Koziółkiewicz**, pozbawiony przez wojnę rodziny, wychowanek Domu Dziecka i **Władek Kubiak** – przyjaciel red. Banasiaka z Bydgoszczy, który w tę swoją ostatnią podróż wcale nie chciał jechać, a pojechał, bo musiał. Zginął w tym wypadku także sprawca nieszczęścia – kierowca **Józef Tupalski**.



Także 1957 – pięciolecie gazety. Od prawej: Czesława Lisztwan-Zurawik, Józef Wołujewicz, Wacław Norwak i Wanda Bodalska.

Ich okradziony przez cmentarne hieny, zdewastowany grobowiec, o koszty utrzymania którego w minionym dwudziestoleciu stoczono niejedną batalię, został na szczęście odrestaurowany dzięki staraniom wielu młodych kolegów z „Głosu” i z „Miasta”, a przede wszystkim dzięki pomocy Władysława Łuczaka i Ratusza: odświeżone, czytelne napisy obejrzało z okazji Święta Zmarłych wielu starszych i młodszych koszalinian. Myślę, że wydane na tę odnowę pieniądze zostały spożytkowane lepiej, niż te inwestowane w kosztowną reklamę, zwłaszcza produkowane masowo reklamowe ulotki, które odbiorca nie czytając, wyrzuca do śmieci.

Z tych, którzy odeszli, chciałabym jeszcze przypomnieć **Jurka Kiss-Orskiego**. Mieszkał z żoną Małgosią i synami przy sąsiadującej z naszą ulicą Waryńskiego - ulicy Matejki. Odwiedzaliśmy się nim przeniósł się do Słupska, gdzie długo kierował słupskim oddziałem redakcji. Potem wrócił do Bydgoszczy, gdzie czuł się „u siebie”. Studiował w Krakowie, w tym samym czasie, co red. Banasiak. W latach 70-tych, a może nawet na początku 80-tych spotykałam Jurka na ul. Foksal w Warszawie, kiedy przyjeżdżałam na zebrania klubów publicystów prawnych i łączności z czytelnikami, organizowane przez SDP. On angażował się w działalność Zarządu Głównego Stowarzyszenia.

Działaczem Stowarzyszenia Dziennikarzy był też wieloletni zastępca zmieniających się naczelnych, wspaniały publicysta, felietonista, legendarny autor „Zielonego Notesu” **Józef Kielb**. Jeśli dobrze pamiętam przyjechał do Koszalina w początku lat 60 – tych z Rzeszowa, razem ze **Stasiem Ramsem**, którego żona Zofia została lekarzem zakładowym naszego Wydawnictwa. Red. Kielb, który wcześniej pracował w „Chłopskiej Drodze”, był człowiekiem bezgranicznie oddanym pracy dla środowiska, z którym się identyfikował, działaczem z temperamentu, organizatorem licznych akcji na rzecz koszalińskiej wsi. Jako poseł walczył w Sejmie o rolnicze sprawy z ogromnym – dziś powiedziałabym – że zbyt wielkim – zaangażowaniem. Miał jeszcze wiele do zrobienia, gdy pokonał go zawał, wobec którego medycyna tamtych lat była jeszcze bezsilna. Znałam red. Józefa Kielba długo – prawie 20 lat. Jak



już wcześniej powiedziałam, przeszłam kolejne etapy redakcyjnego stażu, robiłam stronę miejską, pisałam informacje, migawki, felietony, artykuły, reportaże, zajmowałam się oświatą, służbą zdrowia, tematyką prawną – społeczną, aż w połowie lat 60 – tych dostałam zadanie: dział łączności z czytelnikami. Red. J. Kiełb był wtedy jednym z zastępców naczelnego redaktora. Z listów czytelników korzystał często w swoim „Zielonym Notesie”. Pracą działu interesował się bardziej niż inni członkowie kierownictwa Głosu. Był szefem uważnym, krytycznym, ale sprawiedliwym. I to on po latach towarzyszył mi w imieniu szefów redakcji i Oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy, kiedy odbierałam w SDP w Warszawie pierwszą nagrodę Klubu



Cały zespół Głosu przed budynkiem redakcji i wydawnictwa przy ul. Lampego (obecnie Andersa) – 1967 r.

Łączności z Czytelnikami i Radiosłuchaczami. To był czerwiec 1985 roku. W 1987 odeszłam na emeryturę.

I tu powinienam skończyć moje, zbyt długie już „wypominki”. Skupiłam się w nich na pierwszych, początkowych latach i ludziach tamtego okresu, wychodząc z założenia, że poza Ich najbliższymi niewiele osób dziś pamięta, że byli, pracowali i coś nam po sobie zostawili... O tym, co później, wciąż mogą opowiedzieć przedstawiciele młodszego pokolenia, nasze dzieci i wnuki.

Ale skoro wspominam okres pracy w dziale łączności, który od czasów pogomułkowskich był nowszą wersją dawnego działu korespondentów (w nim za-



czynałam) – nie mogę pominąć refleksji, że przecież nie byłabym w stanie nic zdziałać bez pomocy moich administracyjnych współpracownic: serdecznej i impulsywnej **Anieli Ciećwierz**, „rozważnej i romantycznej” **Danuty Szydłowskiej** oraz ambitnej **Stanisławy Weryszko**. Bo cokolwiek byśmy nie mówili o zgubnym wpływie biurokracji na życie społeczeństw, zawsze musi być ktoś, kto „trzyma porządek w papierach”, odbierze telefon, przepisze bez błędów i ze zrozumieniem to, coś ktoś inny przygotował...

Kiedy przejmowałam dział po **Henryku Zielińskim**, który przechodził wtedy do sekretariatu redakcji, wszystkie trzy „dziewczyny” już tam były. Strukturę organizacyjną też początkowo przejęłam po poprzednikach. Obawiałam się czekających mnie nowych obowiązków, zwłaszcza odpowiedzialności za inne osoby, nie wiedziałam, czy będę umiała ją przyjąć, jak ułoży się współpraca. Okazała się nie tylko możliwa, ale i owocna. Okazało się, że można rozszerzyć działania na rzecz czytelników, uruchomić szeroką akcję poradnictwa, budować wokół działu zespół współpracowników – fachowców z różnych dziedzin, zyskiwać zaufanie ludzi dzięki rzetelnemu reagowaniu na ich sygnały. Że od rubryki porad można przejść do stałej strony, redagowanej wyłącznie w oparciu o listy czytelników. Cotygodniowe przygotowanie tej strony też umożliwiała mi codzienna, odpowiedzialna, perfekcyjna praca zaledwie trzyosobowego (ze mną czteroosobowego) działu. Strona „czytelnicy – Redakcja” długo jeszcze „chodziła” w sprywatyzowanej, a potem sprzedanej gazecie w tym kształcie, jaki nadaliśmy jej w redakcji w latach 70 – tych i 80 – tych ze **Zbyszkim Olesińskim** i **Zbyszkim Janiszewskim**. Widać i w XXI wieku możliwe jest nie tylko „karczowanie” przeszłości, ale i jej kontynuacja.

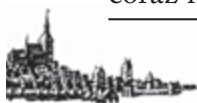
Tym niemniej nadal uważam, że późniejsze, bliższe dzisiejszym lata zasługują na kolejne opowiadanie. Nie chcę obiecywać, że to ja je podejmę, bo mam na to coraz mniej czasu.



Na zdjęciu od lewej: Marian Rebelka, Krystyna i Leszek Figasowie, Zofia Banasiak, Henryk Zieliński, Jerzy Lesiak, Zofia Makowska, Henryk Banasiak, Elżbieta Wiśniewska, Józef Wołujewicz, Władysław Łuczak. Spotkanie z okazji jubileuszu RSW Prasa – Książka – Ruch, lata 70.



Dział Łączności z Czytelnikami w pełnym składzie: Zofia Banasiak, Stanisława Weryszko, Aniela Ciećwierz i Danuta Szydłowska. Zdjęcie przed pawilonem Wydawnictwa. Również lata 70-te ubiegłego wieku



**Joanna Danuta Janik
z domu Nowicka**

Wszystkie rozmowy przeprowadziłam w sierpniu – wrześniu 2010 roku.

**Pani Renia
Wspomnienie o Reginie Nowickiej**

Zachęcona wspomnieniami o zasłużonych pionierach ziemi koszalińskiej pragnę przypomnieć jeszcze jedną postać związaną z naszym miastem, która wniosła niemały wkład w rozwój szkolnictwa, zwłaszcza zawodowego. Tą osobą jest, nieżyjąca już od 34 lat, polonistka Regina Nowicka. Pochodziła z ziemiańskiej rodziny Zanoza Zanozińskich o tradycjach powstańczych. Po ukończeniu seminarium nauczycielskiego podjęła pracę w szkołach wiejskich na Polesiu. Walczyła z zabobonami, biedą i ciemnotą. W czasie okupacji zapraszała dzieci z sąsiedztwa, aby pod pozorem zabawy je uczyć.

Do Koszalina przybyła 20 czerwca 1945 roku z transportem repatriantów zza wschodniej granicy. Towarzyszyli Jej rodzice, Antoni i Julia Zanozińscy, siostra Gertruda i dwie córki Marysia i Danusia. Mąż Leon, także nauczyciel pochodzący z Inowrocławia, aresztowany przez władze sowieckie został zesłany w okolice Workuty, gdzie zabiły go katorżnicza praca i straszne warunki bytowe na tej syberyjskiej ziemi. Jako



Regina Nowicka



nauczycielka Regina Nowicka otrzymała dom w pobliżu Szkoły Podstawowej nr 3 w Rokosowie. I tu przez rok uczyła dzieci i prowadziła kursy dla analfabetów. Wkrótce, z tęsknoty za swoim Polesiem, zmarł ojciec i młoda wdowa stała się głową rodziny.

Jak bohaterka Żeromskiego, Siłaczka, całkowicie zaangażowała się w pomoc ludziom przesiedlonym w obce strony, bezradnym, niepiśmiennym, poszukującym swoich bliskich. Pisała podania, załatwiała sprawy w urzędach, pomagała dzieciom w wyborze szkół. Pani Nowicka musiała także znaleźć czas dla rodziny i na własną naukę. Zdolna i ambitna podjęła i ukończyła studia polonistyczne na WKN w Toruniu. Od tej pory do końca życia związana była ze Szkołą Zawodową i Technikum Mechanicznym w Koszalinie. Szkoła ta w ciągu kilkudziesięciu lat zmieniała nazwę i siedzibę. W latach 1954-1956 funkcjonowała jako Zasadnicza Szkoła Przysposobienia Rolniczego, gdzie uczniem w tym czasie, w klasie tokarz, był Jerzy Mazur. Wspomina on swoją Panią Profesor z ogromnym szacunkiem jako osobę życzliwą i wyrozumiałą dla całej gromady chłopców, mających ogromne braki w nauce, dźwigających na sobie przeżycia wojenne. Pani Nowicka potrafiła zainteresować tematem lekcji i utrzymać dyscyplinę. Poza tym zwracała uwagę na kulturalne zachowanie i zasady moralne. Przeprowadzała rozmowy z rodzicami na temat wychowania i potrzeb dorastającej młodzieży. I jakże często właśnie do Niej zwracały się dziewczęta w sprawie wyboru partnera życiowego, przedstawiały swych narzeczonych, a potem zapraszały na ślub... Jedną z nich, Janina Makowska-Broda, była uczennicą i wychowanką pani Nowickiej w latach 1965-68 w Zasadniczej Szkole Zawodowej przy FUB (klasa tokarz). Zacytuję jej słowa: *„Wyśmienita nauczycielka, po prostu matka, odwiedzałyśmy ją w domu. Poświęcała nam swój czas, radziła jak rozwiązać różne problemy, troszczyła się o nas.”* Najstarszą uczennicą, do której dotarłam, jest Weronika Staroń z domu Bielawska. *Tę dzięki Pani Nowickiej dostałam się, nie mając wymaganego świadectwa, do trzyletniej Państwowej Średniej Szkoły Zawodowej w zawodzie krawieckim – mówi. Pracę dyplomową była dla Niej sukienka.* Na świadectwie ukończenia szkoły z dnia 31 maja 1951 roku w miejscu dyrektor widnieje podpis Nowicka.

Pani Renia miała liczne grono przyjaciół. Należeli do nich państwo Janina i Sylwester Stachowiakowie. We wspomnieniach pan Sylwester wraca do lat pięćdziesiątych.

Z rozrzewnieniem opowiada o czasach młodości, o Pani Reginie. Koleżeńska, łagodząca wszelkie nieporozumienia, szanująca każdego człowieka. Sama praktykująca katolicyzma odznaczała się tolerancją i zrozumieniem dla innych wyznań i poglądów. Państwo Stachowiakowie podkreślają jej zaangażowanie w prace oddziału ZNP, którego przez lata była prezesem. Organizowała konferencje rejonowe mające na celu wymianę doświadczeń oraz zbliżenie środowisk i pokoleń. Spo-



tkania odbywały się nie tylko w Koszalinie. Najbardziej udane szkolenia miały miejsce w wiejskich szkołach w Świeszynie, Wyszewie... Podczas przyjęć był czas na prywatne rozmowy. Panią Renię otaczały młode nauczycielki, żony i matki. Dwudziestokilkuletnia wówczas Janina Stachowiakowa słuchała wskazówek jak pielęgnować niemowlę, hodować warzywa, dbać o męża i urodę. W gronie nauczycielskim ceniono Panią Nowicką nie tylko za wiedzę, ale poczucie humoru, takt, skromną elegancję i ukochanie zawodu. Państwo Stachowiakowie pamiętają jej gościnny dom w Rokosowie, pyszne naleweczki i tonący w kwiatkach ogród.

Pan Sylwester kończy rozmowę słowami: *„to był wzór nauczyciela”*. Te same słowa padły z ust pana Czesława Karwiny. W latach pięćdziesiątych uczył się on w Zasadniczej Szkole Zawodowej przy ulicy Lampego. Jak wielu innych, miał problemy z ortografią i gramatyką. Jednak Pani Nowicka dostrzegła w nim przede wszystkim zdolnego chłopca i nakłoniła do kontynuowania nauki w technikum w Świdwinie do którego sama załatwiła wszystkie formalności. Mało tego, po uzyskaniu matury pan Czesław podjął i ukończył studia ekonomiczne, potem pedagogiczne i został dyrektorem szkoły zawodowej przy Koszalińskim Zespole Szkół Samochodowych. Z wielką wdzięcznością wspomina swoją Profesorkę, która miała tak ogromny wpływ na jego życie. A nie jest to przypadek odosobniony.

Żarliwość w obronie uczniów ambitnych a pochodzących z biednych rodzin zapamiętała z rad pedagogicznych ówczesna nauczycielka matematyki pani Janina Kadłubowska. Pani Renia władająca piękną polszczyzną, energiczna i zawsze czymś zajęta, pomagała także młodszym koleżankom – wspomina. Panie zaprzyjaźniły się i Janina z bliska widziała jaką wspaniałą i kochającą matką była Pani Nowicka. Mało kto wiedział o jej trudnościach materialnych zwłaszcza, gdy wskutek nieuczciwości urzędników straciła połowę domu otrzymanego jako rekompensatę za mienie zabużańskie. Samotnie wychowywała i kształciła swe córki, więc pracowała także w czasie wakacji prowadząc kolonie. Pani Maria Hudykowa tak opowiada: *„Moja znajomość z Panią Renią zaczęła się w 1947 roku od pracy w ZNP, którego zadaniem była wszechstronna pomoc nauczycielom i ich rodzinom. Koleżankę Reginę ceniliśmy za pełną oddania pracę pedagogiczną i kulturę osobistą. Nie lubiła rozmów o chorobach, narzekania, nie mówiła o swoich kłopotach. Bywanie u Niej w domu było przyjemnością. Pamiętam piękną zastawę porcelanową (część posagu) której użycie nobilitowało gością.”* Pani Regina działała również w Lidze Kobiet i ZSL. Uczyła jeszcze, będąc już na emeryturze. Do ostatnich miesięcy życia wykładała na Kursach Doskonalenia Zawodowego, bo nie wyobrażała sobie życia bez młodzieży, z którą zawsze znajdowała wspólny język. Ciężka, nieuleczalna choroba przerwała jej skromne i pracowite życie. Zmarła w wieku 67 lat, 28 września 1978 roku.



Jej pogrzeb zgromadził tłumy ludzi. Pięknie pożegnała ją ówczesna wicedyrektor Zespołu Szkół Mechanicznych pani Maria Ulicka. Podkreśliła ona wspa-
niały charakter Zmarłej i jej zasługi dla szkoły.

Przeglądając kroniki Zespołu Szkół Mechanicznych im. Stanisława Staszica, znajduję Panią Nowicką na wielu zdjęciach upamiętniających najważniejsze wydarzenia, np. podczas pierwszej w dziejach szkoły matury (1967-68), a także na licznych wycieczkach z wychowankami i imprezach szkolnych.

Praca i dokonania profesor Reginy Nowickiej jako pedagoga i polonisty zostały docenione przez władze wojewódzkie i oświatowe, czego wyrazem są odznaczenia: Złoty i Srebrny Krzyż Zasługi, Złota Odznaka ZNP oraz Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski.

Mimo upływu lat, wychowankowie do dziś zapalają na Jej grobie znicze.



Z rodzicami Antonim i Julią oraz młodszymi siostrami Trudzią i Halinką.



Autorka z siostrą Marią. Lata pięćdziesiąte, Rokosowo.



Zenon Kasprzak

*„Nie istnieje pełne przedstawienie
rzeczywistości. Tylko wybór.”*

Pär Lagerkvist

„Mnie to miasto od innych droższe...”

Mieszkam w Koszalinie przeszło 68 lat i na wstępie muszę wyznać – parafrazując słowa poety – Władysława Broniewskiego: „Mnie to miasto od innych droższe, ani chcę, ani umiem stąd odejść.”

Przyjechałem tu w listopadzie 1945 roku z matką Marcjanną (ur. w 1901 r.) i siostrą Krystyną (ur. w 1930). Miałem wtedy pięć lat. Wcześniej – już w maju 1945 r. – dotarł tutaj mój brat Henryk (ur. w 1924 r.), a w czerwcu mój ojciec Ludwik (ur. w 1899 r. w Miroszce koło Gniezna), z synem Zdzisławem (ur. w 1932 r.) i przyszłą synową Genowefą – późniejszą żoną mojego najstarszego brata Leona – rocznik 1922, który wówczas jeszcze był żołnierzem wojska polskiego i wrócił do Koszalina w 1946 r. Tu się ożenił i pracował w zakładzie u ojca.

Rodzina moja przybyła na tzw. Ziemie Odzyskane z Niechanowa koło Gniezna w dwóch pierwszych transportach ludności polskiej z Gniezna i okolic. Należy tu przypomnieć, że w zapoczątkowanym osadnictwie największy udział miał prastary gród Lecha – miasto Gniezno, które przyjęło nad Koszalinem tzw. patronat, pomagając mu w zorganizowaniu administracji, han-



Autor Zenon Kasprzak



Rodzice – Ludwik i Marcjanna Kasprzak



dlu, rzemiosła, szkolnictwa, służb komunalnych itp. Stamtąd przyjechał Edmund Dobrzycki (ur. w Żydowie k. Gniezna), który został pełnomocnikiem rządu na obwód Koszalin (starosta), Stanisław Jakubowski – pierwszy burmistrz polskiego Koszalina, Klaudiusz Górski – pierwszy inspektor szkolny, Edward Pikutowski – matematyk, organizator oświaty i wielu, wielu innych. Całkiem nieprzypadkowo wylotowa ulica z Koszalina w kierunku Poznania już w 1945 r. otrzymała nazwę Gnieźnieńskiej. Przez wiele lat później nosiła nazwę P. Findera, a jej odcinek od placu Gwiazdzistego nosi dziś nazwę H. Modrzejewskiej, być może dlatego, że tam znajduje się siedziba Bałtyckiego Teatru im. J. Słowackiego.

I. Nie wypędzeni ze swej ziemi, ale z własnej woli...

Moi rodzice, jak inni osadnicy z Gniezna i okolic, przyjechali do Koszalina nie wypędzeni ze swojej ziemi, ale z własnej woli, potrzeby służby, pracy na ziemi, którą mieli zagospodarować – przywrócić Koszalin Polsce. Podróż z Gniezna wagonami towarowymi trwała trzy dni. Dziś samochodem tę trasę pokonuję w ciągu 4 godzin. Wielkopolscy osiedleńcy jechali na Zachód ze swoim dobytkiem, sprzętem gospodarczym, narzędziami pracy a także z zapasami żywności na niełatwe pionierskie dni i tygodnie. Wśród nich było wielu fachowców różnej branży, kupców, rzemieślników, inteligencji, a wśród niej wielu nauczycieli. Ci ostatni wspólnie z wysiedlonymi Polakami z Kresów – Wileńszczyzny, Lwowskiego organizowali polskie szkolnictwo i administrację. Później dobrze poznałem wielu z tych ludzi, (Zofia i Waław Witezyńscy, J. Jelec, p. M. Hudykowa, Janina i Mikołaj Praczkowie, K. Mytnik, E. Pikutowski), ponieważ byli moimi nauczycielami – od 1947 r. w Publicznej Powszechniej Szkole nr 1, a potem w Państwowym Koedukacyjnym Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącym w Koszalinie. (Podaję ówczesne nazwy – widniejące na pieczęciach szkół na moich świadectwach).

Ojciec mój przywiózł z Gniezna wyposażenie warsztatu rymarsko-tapicerskiego: narzędzia, maszyny, ławki rymarskie (Jedna z nich znajduje się dziś w Muzeum Rzemiosła w Krakowie). Rzemieślnicy wzięli w swoje ręce sprawy koszalińskiego rzemiosła, jak grzyby po deszczu powstawały prywatne zakłady piekarnicze, rzeźnicze, szewskie, krawieckie, stolarskie, ślusarskie,

¹ „Kronika dziejów rzemiosła Koszalina” – Cech Rzemiosł Różnych w Koszalinie

kowalskie.¹ Otwierano sklepy: spożywcze, drogeryjne, bławatne, cukiernie, restauracje. Do dziś pamiętam piekarnię państwa Psutych na placu Gwiazdzistym, sklepy rzeźnicze p. E. Kostenckiego na ulicy Gnieźnieńskiej (dziś Modrzejewskiej), S.

Branieckiego na ul. Dzierżyńskiego (dziś Konstytucji 3 Maja), Pródlika na A. Lampe (dziś Andersa), sklep bławatny Z. Śniegockiego na ul. Zwycięstwa,



drogerie p. Pilarskiego na ul. Zwycięstwa i wiele innych. Do fryzjera chodziliśmy na plac Gwiazdzisty nr 7. Tam miał swój zakład Florian Suchy. Do dzisiaj od 1947 roku jest w tym samym miejscu, prowadzi go żona dawnego właściciela p. Krystyna.

Ludzie wówczas byli ze sobą niesłychanie zżyci. Spotykali się towarzysko. Wiedzieli, gdzie kto mieszka, jak się nazywa, czym się zajmuje, skąd przyjechał. Całe życie handlowe, usługowe i towarzyskie toczyło się w ocalałych domach śródmieścia, na ulicach: Zwycięstwa, 1 Maja, Bieruta (dziś Połczyńska), Gnieźnieńskiej i placu Gwiazdzistym. Na ulicach panował ciągły ruch, harmider, jeździły konne wozy, rzadziej samochody i to najczęściej ciężarowe. Cały czas coś się działo pod naszymi oknami. Każdy, kto zajmował się usługami lub handlem, chciał, aby jego sklep, czy zakład znajdował się w centrum miasta, które stanowiło jedno gruzowisko i zaledwie kilka ulic nadawało się do zamieszkania.

Ojciec mój zaczął swój pobyt w Koszalinie od zorganizowania warsztatu rymarsko-tapicerskiego w – nieistniejącym dziś – w niewielkim, jednopiętrowym domu przy ul. Bieruta nr 3 (obecnie ul. Połczyńska). Zamieszkaliśmy tam z całą rodziną na parterze. Mieszkanie na piętrze zajął mój stryj Władysław z żoną Martą. Stryj pracował w warsztacie ojca. Lokal, który zajęliśmy nie wymagał poważnego remontu, nadawał się do zamieszkania, ponieważ brat Henryk przed przyjazdem rodziców próbował go zabezpieczyć, jednak nie udało mu się uchronić niczego, co w nim było. Szabrownicy całkowicie je ogołocili. Tzw. szabrownicy przyjeżdżali na Ziemie Odzyskane z innych terenów Polski Centralnej tylko po to, żeby okradać i wywozić mienie poniemieckie.

Brat Henryk od maja 1945 zaczął służbę w milicji. Był młody i odważny. Często też narażał swoje życie. W tym czasie odwaga była bardzo potrzebna. Ludziom groziły różne niebezpieczeństwa. Później pracował na posterunku MO w Świeszynie, ale w końcu lat czterdziestych zdjął mundur milicjanta.

Rodzice musieli zacząć się urządzać, a za meble i inne sprzęty, które z trudem zgromadzili, często kupując tanio od wyjeżdżających za Odrę Niemców, musieli później zapłacić Państwowemu Urzędowi Likwidacyjnemu. Pamiętam, że ojciec miał zaświadczenie z tego urzędu, stwierdzające nabycie przez niego od Ministerstwa Ziem Odzyskanych – na własność mebli, urządzeń sklepowych itp. i uregulowanie za nie wszystkich należności przypadających Skarbowi Państwa z tytułu przejęcia poniemieckich remanentów towarowych. Dokument ten podpisany był przez delegata Powiatowej Akcji Likwidacyjnej i Ministerstwa Ziem Odzyskanych. Za wszystko trzeba było państwu zapłacić. Nic za darmo. Całe szczęście, że mieliśmy przywiezione z Niechanowa zapasy żywności i ojciec miał własne narzędzia i maszyny do pracy.





Rok 1947. W warsztacie przy ul. 1 Maja.

trudno było marzyć. Pierwszy raz w życiu zobaczył tutaj końskie chomąta (przywieszone z innych terenów Polski). Osadnicy potrzebowali uprzęży dla koni, bez niej nie mogli pracować na roli. Ojciec dokonywał cudów, aby jeszcze ją naprawić. Rolnicy musieli obsiać tysiące hektarów. Ludności groził głód.

Po zakończeniu wyniszczającej wszystko i wszystkich wojny w Polsce panowała niezwykle poważna sytuacja aprowizacyjna. Ogromny przecież spadek produkcji rolnej i wytwórczości podstawowych artykułów spowodował niedobór produktów pierwszej potrzeby (wszystkiego brakowało). Powszechny brak artykułów, w części tylko łagodzony był przez dostawy UNRA (np. m.in. koni). Władza była zmuszona do utrzymania reglamentacji. Zaopatrzeniem kartkowym objęto kilkanaście milionów osób. Normy kartkowe były dość niskie. Jak podają źródła historyczne – w połowie 1947 r. z kartek korzystało 7 mln osób. Na początku 1948 r. zniesiono reglamentację ziemniaków, cukru, w styczniu 1949 – większość pozostałych artykułów. To przede wszystkim inicjatywa prywatna w handlu i drobnej wytwórczości reagowała na brak równowagi rynkowej wzmożoną efektywnością produkcji, dążąc do wypełnienia luk w usługach i zaopatrzeniu.

Brakowało mojemu ojcu surowców do pracy w warsztacie, przede wszystkim tak potrzebnej skóry, nici, okuć itp. rzeczy. Trudno też było w tym rzemiośle o jakiegokolwiek materiały zastępcze – surogaty. Najlepsze były surowce naturalne. Ojciec – jako tzw. prywatna inicjatywa – nie otrzymywał żadnych przydziałów od państwa, co uniemożliwiało mu wykonywanie swojego zawodu i bycie użytecznym. W tej sytuacji zdecydował sam wyprodukować tak potrzebny surowiec i zajął się dodatkowo garbowaniem skór. Był do tej roli również dobrze przygotowany, ponieważ ucząc się zawodu w Gnieźnie, poznał tajniki garbarstwa. Była to ciężka praca. Okazało się jednak, że ten proceder był zakazany i ktoś „życzliwy” doniósł o tym władzy ludowej, która skazała go na 6 miesięcy więzienia. Uznano ojca za groźnego „wroga ludu” i musiał odsiedzieć karę w więzieniu na warszawskim Służewcu.

Zabrano również ojcu dwie ciężkie maszyny do szycia skóry, które przywiózł z Gniezna. Urząd Likwidacyjny żądał za nie zapłaty. Dopiero po długich i uciążli-

Od rana do wieczora był bardzo zapracowany. Potrzeby były bardzo duże. Warsztat „zawalony” został zniszczoną uprzężą od gospodarzy i z okolicznych majątków administrowanych przez Polaków (np. ze Strzepowa i Miłogoszczy). Pamiętam go pochylonego nad łąwką rymarską i naprawiającego stare uprząże, bo o nowszych i w lepszym stanie



liwych wyjaśnieniach i interwencjach innych osób zostały mu oddane. Bez nich praca była niemożliwa. W czasie pobytu ojca w więzieniu zastępowali go w warsztacie moi bracia ze stryjem. Pamiętam też do dziś jak bardzo przeżyłem aresztowanie ojca i fakt, że za ciężką pracę i służenie ludziom musiał pójść do więzienia. Ojciec wrócił załamany i z poczuciem krzywdy. Nie czuł się przecież w żadnym stopniu przestępcą – „wrogiem ludu”. Mimo tej krzywdy i różnych trudności nie mógł się załamać. To był człowiek solidnej pracy. Tak został wychowany i w życiu wyznawał dewizę: „Od siebie trzeba chcieć dużo i ludziom dać najwięcej”. Tak nas całą piątkę w domu wychowywał i zawsze rozliczał z wykonanych poleceń. Był jednym z wielu rzemieślników – pionierów koszalińskich – najwcześniej zarejestrowanym w koszalińskim Cechu – obok m.in. J. Psutego, H. Roszaka, F. Sandra, E. Kostenckiego, S. Branieckiego.

Również znajomych moich rodziców, osadników z Wielkopolski, kiedy Stalin zaczął realizować program walki z tzw. kułakami i przymusowej kolektywizacji wsi (niszcząc polskie rolnictwo), spotykały liczne szykany i prześladowania; zamknięto ich do więzienia. Siedział w nim p. Piaszczyński – solidny gospodarz ze wsi Wierzchomino k/Koszalina. Założono tam tzw. spółdzielnię produkcyjną, która zrujnowała dobre gospodarstwa i w niedługim czasie całkowicie się rozpadła.

Nadchodziły czasy rozniecanej nienawiści do zamożnych rolników, rzemieślników, kupców, sklepikarzy. Wszyscy z czasem doświadczyli tzw. „umacniania władzy ludowej”, stopniowego ograniczania społeczeństwa. Rozwiązano cechy rzemieślnicze, które miały własne samorządy, sztandary. Po 1950 r. zostały zlikwidowane w Koszalinie prawie wszystkie prywatne piekarnie, zakłady rzeźnicze, szewskie i inne. Tzw. prywatni przechodzili do pracy w zakładach uspołecznionych, które były wcześniej ich własnością. Organy uzurpujące sobie prawo reprezentowania „klasy robotniczej” szermowały marksistowską demagogią „postępową”. Rzekomo spełniano aspiracje „świata pracy”. Wielu ulegało tym oficjalnym hasłom i zdobywało różne stanowiska (dyrektorów z awansu, sekretarzy, prezesów, działaczy związkowych itp.), otrzymywali piękne duże mieszkania, z których, jak się później dowiedziałem od swoich przyjaciół, usuwano tzw. prywatną inicjatywę. Ludzi, którzy nie podobali się władzy. Był to rok 1950. Wyrzucono z czteropokojowego mieszkania na ul. Drzymały 2 rodzinę Władysława Graczyka, a z ul. Matejki wieloosobową rodzinę Zbigniewa Śniegockiego (znanego koszalińskiego kupca). Jak opowiadał mi syn p. Graczyka – Bogusław (Bohun), matce, która dwa tygodnie wcześniej została wdową z dwojgiem dzieci, zaproponowano pokój z kuchnią – na strychu przy ul. B. Chrobrego. Dopiero sami poszukali – z pomocą przyjaciół – mieszkanie na ul. Czystej, dziś Wróblewskiego 27 m 4, które było bardzo zniszczone: wypalone w pokoju podłogi, brak okien. Zaletą mieszkania była jedynie duża, jasna kuchnia.





Ulica 1 Maja.

W głębi widoczna Pracownia Rymarska ojca.

majstrowej i sprzedawczyni.

W zakładzie tym w 1950 r. Maria Michalak (matka Pawła Michalaka – byłego senatora RP) zamówiła skórzaną torbę, która służyła jej i mężowi przez kilkadziesiąt lat. W 2009 roku – prawie po sześćdziesięciu latach – przekazała ją na moje ręce.

² Mroczek Jarosław,
Torba pełna wspomnień,
„Miasto” 2-5.04.2010

Chcąc ocalić pamiątkę od zapomnienia – „torbę pełną wspomnień” – jak nazwał ją red. Jarosław Mroczek² przekazałem, z innymi pamiątkami rodzinnymi p. kustosz D. Szewczyk do Muzeum w Koszalinie.

Teczka ta była jednym ze stu eksponatów pokazanych przez Muzeum w Koszalinie na wystawie „Sto razy Sto” zorganizowanej z okazji stulecia tej zasłużonej placówki w 2012 roku.



Zdjęcie teczki z wystawy w Muzeum.

Fot. Ilona Łukjaniuk

Cofam się do roku 1947. Na jego początku opuściliśmy lokal i warsztat przy ul. B. Bieruta 3 i zamieszkaliśmy na pierwszym piętrze – w jednopiętrowym starym domu pod nr 18 przy ulicy 1 Maja, a na parterze ojciec otworzył Zakład Rymarsko-Tapicerski i sklep z galanterią skórzaną. Przyjmowano w nim usługi od klientów, a matka pełniła rolę

Przerzucam poźółkłe fotografie z rodzinnego albumu i spoglądam na moich najbliższych, znajomych, domy i ruiny miasta sprzed kilkadziesiąt lat. Widzę dwa zdjęcia ślubne moich najstarszych braci: Leona i Genowefy z maja 1946 roku; Henryka i Sabiny z grudnia tego samego roku.

Zrobione zostały w Zakładzie Fotograficznym „Kazino” przez p. Kazimierza Nowakowskiego, który uruchomił swój zakład już w 1945 r. na ul. B. Chrobrego 1 (róg ul. Zwycięstwa i Chrobrego – kamienica wyburzona). Spoglądam na fotografię zbiorową całej naszej piątki z rodzicami) z pierwszych lat sześćdziesiątych wykonaną przez znanego fotografa Władysława Helenkiewicza z ul. Walki Młodych (dziś ul. Ks. kar. S. Wyszyńskiego).



Od lat nie ma już tych zakładów, nie ma tych domów. Nie żyją też fotografowie i fotografowani. Tylko jeszcze my – z moją bratową Genowefą – zostaliśmy z tych, co są na tych zdjęciach, a przyjechaliśmy do tego miasta w 1945 r. Wszyscy pozostali spoczywają już na koszalińskim cmentarzu.

Wracam wspomnieniami do mojego pierwszego domu w Koszalinie – na ulicę B. Bieruta nr 3 (obecnie ul. Połczyńska, a dom już dawno nie istnieje). Stał on naprzeciw obecnego Liceum Ogólnokształcącego im. St. Dubois. Wówczas nie było tam tej szkoły, a mieścił się w tym budynku szpital żołnierzy radzieckich, w którym pracowały Niemki – matki moich nowych kolegów mieszkających na tej samej ulicy. Zaprzyjaźniłem się z nimi. Szybko nauczyłem się języka. Bywałem też w ich zdemolowanych mieszkaniach, w których urządzaliśmy przeróżne, jak to dzieci potrafią, zabawy. Spotykałem tam żołnierzy, którzy zawierali bardzo bliskie znajomości z ich matkami. Jeden z niemieckich kolegów Hans – pokazywał mi – uradowany – malutkiego braciszka, którego ojcem był jeden z bywających tam wyzwolicieli lub zdobywców (jak kto woli). Dzieci robiły co chciały. Nie było w ogóle dorosłych – młodych Niemców. Zostały tylko w mieście kobiety z dziećmi, staruszki i starcy. Byli niespokojni i często przerażeni. Pamiętam też, że w jednym z domów na ul. Bieruta – widziałem leżącego w łóżku starca, którego po śmierci nie miał kto pochować. Ze swoimi współtowarzyszami zabaw: Lulą, Eriką i Hansem (tak zapamiętałem do dziś ich imiona) odwiedzałem ich babcię w domu z ogrodem, który stał naprzeciw koszalińskiej gazowni, w miejscu, gdzie dziś wybudowano „Netto” przy rondzie „Solidarności”.

Po wyjeździe za Odrę moich niemieckich kolegów w 1947 r. zaprzyjaźniłem się z Henkiem Bibiłą – wysiedlonym z rodzicami z terenów dzisiejszej Białorusi. Przyjechali oni z Łunny i zamieszkali na ul. Bieruta 4 – po przeciwnej stronie uli-



Bracia na ślubnym kobiercu.



Rok 1962.

Zdjęcie rodzinne, pierwszy z lewej stoi autor.



cy. Trochę różniliśmy się językowo – ja z Wielkopolski, on z Kresów. Kiedy Heniek któregoś razu polecił mi „zaszczepić drzwi na zaszczipkę”, nie rozumiałem zupełnie o co mu chodziło, bo u nas – w Wielkopolsce – drzwi, furtkę zamykano na skobel lub haczyk. Heniek użył reg. zaszczipki.

Pani Janina Bibiło przywiozła ze swoich rodzinnych stron krosna i kołowrotek. Potrafiła wyrabiać piękne ludowe kilimy i przędła kądziel. Pierwszy raz w życiu widziałem takie sprzęty i ludowe rękodzieła. Heniek do dziś mieszka z rodziną w Koszalinie. Jest na emeryturze i zajmuje się malarstwem. Ma spory dorobek artystyczny. Bierze udział w wystawach zbiorowych i poplenerowych. Jest aktywnym członkiem Zespołu Pracy Twórczej Plastyki w Koszalinie. Mimo upływu lat jesteśmy serdecznymi przyjaciółmi. W styczniu 2011 r. w galerii Ratusz została otwarta wystawa jego prac.

W domu obok mojego – pod nr 5 mieszkali państwo Fiedorowiczowie – osiedleńcy z Wilna. Ich córka Krystyna była moją rówieśnicą, chodziliśmy przez siedem lat do tej samej klasy do Szkoły Podstawowej nr 1 i później do Liceum. Dziś Krystyna Fiedorowicz-Majewska jest cenioną lekarką – ginekologiem. Jej ojciec organizował w Koszalinie „Dom Książki”, ale zmarł wcześniej – w latach pięćdziesiątych. Pani Maria Fiedorowicz była twórcą, organizatorem i wieloletnim dyrektorem Pedagogicznej Biblioteki Wojewódzkiej. Kierowała tą zasłużoną placówką od 1951 r. do chwili przejścia na emeryturę w 1972 r. Przez kilka miesięcy 1964 r. byłem również jej pracownikiem, kierując działem Instruktażowo-Metodycznym biblioteki. Później też ściśle współpracowałem przez wiele lat z Pedagogiczną Biblioteką Wojewódzką, kiedy jako kierownik Sekcji Języka Polskiego w Okręgowym Ośrodku Metodycznym (przy Koszalińskim Kuratorium) organizowałem liczne konferencje metodyczne dla polonistów szkół średnich z całego województwa. Wieloletnim dyrektorem OOM była pani Janina Stolec.

Pani Maria Fiedorowicz była osobą bardzo pracowitą, czynną i pełną optymizmu. Spotkanie z nią i rozmowa były zawsze wielką przyjemnością.

Na stacji przy placu Gwiazdystym nr 2 – u rodziny państwa Soleckich ze Lwowa – mieszkał mój kolega Zenon Kaliniewicz, z którym chodziłem przez siedem lat do Szkoły Podstawowej nr 1. Zenek przyjechał z ojcem i siostrami z Kamionki Strumiłowej koło Lwowa i tu – w grudniu 1945 r. – w okolicach Dunowa został bardzo ciężko ranny w wypadku drogowym, którego sprawcami byli żołnierze radzieccy. Zaopiekowali się troskliwie rannym dzieckiem. Został operowany i był leczony przez wiele miesięcy w funkcjonującym szpitalu radzieckim w Koszalinie, który mieścił się w tym czasie w budynku Zespołu Szkół Zawodowych nr 1 przy dzisiejszej ul. Andersa. Do dziś Zenek odczuwa skutki wypadku, ale także pamięta, jak z wielkim oddaniem rosyjscy lekarze uratowali mu życie i jak – ranni na froncie żołnierze – nim się opiekowali. Miał wtedy tylko 6 lat.



Mam kilka zdjęć z Zenkiem z dzieciństwa. Na jednym z nich – z początku lat 50 – zrobionym na szczycie Góry Chełmskiej stoimy przy istniejącym w dobrym stanie pomniku z r. 1829, poświęconym koszalinianom poległym w wojnach napoleońskich. Góra Chełmska już wtedy była miejsce wycieczek i spacerów latem i zimą. Było to przecież na długo przed reaktywacją na tej Górze (1990 r.) sławnego jeszcze w średniowieczu na całą Europę Sanktuarium Maryjnego, budową kapliczki i wizytą papieża Jana Pawła II w czerwcu 1991.

Lubię tam bywać i dzisiaj (miejsce to bardzo wypiękniało), kiedy zupełnie posiwiałem, a życie bardzo pędzi i ubywa w zastraszającym tempie tych, którzy jeszcze pamiętają czasy wojny, pierwsze lata powojenne. Coraz mniej w tym upływającym czasie chwil na serdeczne rozmowy i refleksje. Dookoła nas tyle pośpiechu, nerwowości, zawiści a czasem dramatów. Zapominamy o tym, co jest najważniejsze i nie „spieszmy się kochać ludzi, którzy tak szybko odchodzą” (ks. Twardowski). Tu na tej Górze jest zupełnie inaczej. Wszechogarniająca zieleń uspokaja. Słysząc odgłosy przyrody, szum lasu i śpiew ptaków. Można wsłuchać się w te odgłosy i dumać o czym szumią stare drzewa, a przecież one tak wiele widziały. No i można powiedzieć, że i do Boga stąd bliżej – przecież jestem na górze.

Najczęściej urządzaliśmy zabawy dziecięce na placu przy kaplicy św. Gertrudy albo w parku Wilsona (dziś Książąt Pomorskich). Bawiliśmy się również na stadionie „Sparty”, dziś „Bałtyku”. Latem, jak większość dzieci z miasta, kąpaliśmy się w czystej wówczas Dzierżęcince i skakaliśmy do wody z tzw. murka – naprzeciw budynku wodociągów (dziś jest tam Muzeum Wody). Wielu mieszkańców plażowało na trawie nad tą rzeczką, która nam wówczas wydawała się bardzo dużą i głęboką.

W Instytucie Pamięci Narodowej – w przyziemiu dawnego gmachu Urzędu Wojewódzkiego na ul. Andersa od dwóch lat można oglądać wystawę: Koszalin 1945–1950 – Historia na nowo odkryta. Ta interesująca wystawa, jak niemniej ciekawa stała ekspozycja w Muzeum w Koszalinie: Dzieje Koszalina od średniowiecza do współczesności, pozwoliła mi znakomicie odświeżyć pamięć i wrócić do mojego miasta w pierwszym powojennym okresie.

Odnalazłem tam fotografie zabudowy ulicy Zwycięstwa przed katedrą z lat 40 – i to, co dla mnie najważniejsze swoją ulicę 1 Maja na fotografii W. Szczecińskiego (Zabudowa prawej strony ulicy 1 Maja 1947 r.). Na tym zdjęciu widać idący ulicą kondukt żałobny. W tamtych latach wszystkie pogrzeby przechodziły ul. 1 Maja i dalej – placem Gwiazdzystym (wtedy całkowicie zabudowanym starymi domami zamieszkanymi przez osiedleńców z Kresów i centralnej Polski), ul. Gnieźnieńską (dziś. H. Modrzejewską) zmierzały na cmentarz komunalny.

Zdjęcia te są źródłem wiedzy o historii miasta. Ukazane na tych fotografiach miejsca są mi szczególnie bliskie. Nie ma już takiej samej ulicy, ludzi, domów



i sklepów. Nie ma już tamtego życia, ale jest jeszcze moja pamięć, która ocalała i dlatego spróbuję przekazać wizję tamtego miejsca i czasu, zapełnić ją mieszkańcami z tamtych lat.

Na 1 Maja – po prawej stronie od Rynku stały – z wyjątkiem tych ocalałych do dziś pod nr 8 i 10 – stare domy, jeszcze niektóre może z XVIII wieku, o drewnianych stropach, pruskich murach, kryte starą czerwoną dachówką. Były najczęściej jednopiętrowe, czasami dwupiętrowe. Na parterach mieściły się sklepy a na zapleczu, w podwórkach warsztaty rzemieślnicze. Do niektórych były bramy wjazdowe, np. do stolarni p. H. Roszaka (1 Maja 26).

Spoglądam na jednopiętrowy dom pod nr 18 i zauważam widniejący tam szyld firmy mojego ojca: Pracownia Rymarska. Moi rodzice przeprowadzili się tu na początku 1947. Ta ulica miała swój niepowtarzalny klimat. Można mówić o jej prawej stronie, bo jej lewa – patrząc od strony Rynku – była całkowicie zburzona. Z okien mojego domu na 1 piętrze rozpościerało się samo gruzowisko – aż do ul. J. Słowackiego (dzisiejsza siedziba koszalińskiej policji). Prawa strona ocalałych domów ciągnęła się od skrzyżowania z ul. Zwycięstwa do obecnego budynku banku Millenium (1 Maja 36). Zawsze po wojnie mieściły się tam instytucje bankowe. Pod nr 38 stał wówczas jeszcze dom znanej koszalińskiej dentystki Ireny Pluteckiej – warszawianki, byłej więźniarki obozów koncentracyjnych. Bliżej rynku – pod nr 2 znajdował się sklep spożywczy Władysława Graczyka, w którym można było kupić beczkowe śledzie. Te cieszyły się dużym powodzeniem wśród chłopów, którzy przyjeżdżali na targ. Służyły im na zapitkę. Targi odbywały się dwa razy w tygodniu na Rynku Staromiejskim i gromadziły wielu gospodarzy z okolicznych wsi. Pod nr 4 mieszkała rodzina państwa Nawrockich, która prowadziła pralnię i farbiarnię. Córką państwa Nawrockich jest Ewa Nawrocka, którą koszalinianie przez wiele lat okłaskiwali na deskach swojego teatru. Pod nr 4 na 1 Maja sprzedawano ryby świeże i wędzone. Łowione były w jeziorze Jamno. Pod nr 8 był sklep spożywczy, ale prowadzony był przez Spółdzielnię Spożywców „Pionier” (Założona przez koszalińskich pionierów – gnieźnieńskich osiedleńców). Codziennie chodziłem tam po mleko. Sprzedawca nalewał mleko do bańki, odważał mi też, w zależności od potrzeby, określoną ilość mąki, soli czy cukru. Te wszystkie produkty były dowożone do sklepu w wielkich workach i należało je wg życzenia zważyć klientowi. Pod nr 10 był sklep żelazny p. Biskupskiego z Gniezna, a pod 14 pracownia bieleźniarska p. Anny Gensler z Poznania (siostry p. Graczykowej spod nr 2), a później przez wiele lat mieściła się tam jedna z najpierwszych i najlepszych księgarni w Koszalinie – prowadzona przez koszalińskiego księgarza z Gniezna p. Edwarda Walkowiaka. Obok Wacław Pluta (nr 16) – powroźnik wyrabiał siatki, liny i powrozy, które miały zbycie zwłaszcza na targu miejskim. Kobiety kupowały od niego siatki na zakupy. Pod nr 20 swój zakład miał Kazimierz Kulik, który był starszym cechu elektryków. W Koszalinie działały wówczas cechy piekarzy, elektry-



ków, kowali i ślusarzy, szewców, fryzjerów i inne. Pod numerem 22 był sklep z galanterią skórzaną Feliksa Sandra z Gniezna (rymarza z zawodu), a dwa numery dalej – pod 26 zakład stolarski i sklep meblowy p. Henryka Roszaka. Bardzo długo był to jedyny sklep meblowy w Koszalinie, oczywiście później upaństwowiony. Jeszcze w latach siedemdziesiątych kupowałem w nim meble do swojego mieszkania (byłem już wtedy żonaty). Pod nr 28 pan Rozwarski z Gniezna prowadził hotel i restaurację „Pod Białym Orłem”, ale pod koniec lat 40 nazwa ta coraz bardziej przeszkadzała komunistycznej władzy, która zmusiła właściciela na jej zmianę i lokal zwał się odtąd „Pod Białym Jeleniem”.

Zmieniono wówczas tylko jedno słowo. Stary szyld został przemalowany. Właściciel uniknął większych kosztów. Potem hotel zlikwidowano. Została sama restauracja, która w krótkim czasie z dość eleganckiego miejsca zamieniła się w zwykłą uspołecznioną, jak mawiali mieszkańcy – mordownię czy spekulę. Nazywała się wówczas „Polonia” a później „Gwarna”. Na rogu ul. 1 Maja i B. Krzywoustego stał niewielki dom, w którym przez wiele lat swój zakład prowadził szklarz.



Ulica 1 Maja. Zmiana szyldu.

W latach 70 (1973) zburzono tę stronę ulicy 1 Maja. Jej widok – starych domów i sklepów, które opuścili powojenni mieszkańcy, zachował się na fotografii z 1960 r. pana Tadeusza Fikowicza.³ Rudery i sklepy z zabitymi deskami oknami wystawowymi stały jeszcze długo i szpeciły wygląd śródmieścia. Po wyburzeniu w latach 70 powstało tam kilka parterowych pawilonów sklepowych, ale cały kwartał między ulicami: 1 Maja, Związku Walki Młodych (dziś ks. kard. Stefana Wyszyńskiego), Bolesława Krzywoustego i Estkowskiego (dziś ks. bisk. Cz. Domina) czekał na zabudowę aż do lat 90.

1 Maja doczekała się wreszcie nowoczesnej zabudowy. Zajął się tym kołobrzeska firma „Pro Bud” pana M. Jagiełki. W kwietniu 1997 r. rozpoczęły się wykopy. Koszalin stanowił dla pana Jagiełki nowe wyzwanie i nie chciał zawieść oczekiwań, i moim zdaniem udało mu się to znakomicie.

Zabudował pięknie cały kompleks, do 2002 r. powstały tam kamienice z lokalami mieszkalnymi, biurami, usługami, restauracjami. Domy mają grafitowe dachówki, a kolorystyka i architektura poszczególnych budynków cieszy oko. Ulica 1 Maja weszła w nowe Milenium i na nowo ożyła. Pozostał tylko do dzi-

³ „Koszalin w obiektywie XX wieku”, Muzeum w Koszalinie, s. 67





Ulica 1 Maja współcześnie. 2013 r.

siaj na podwórzu domów Milenium dąb mojego dzieciństwa i młodości, które tu spędziłem. Jest to przepiękne – ponad stuletnie drzewo (quercus robur – dąb szypułkowy) – symbol siły, trwania i wieczności, które ocalili budowniczo- wie nowej już ulicy 1 Maja. Za to jestem im szczególnie wdzięczny. Cieszy on teraz oczy nowych mieszkańców. Często też odwiedzam to drzewo, kiedy jestem w śródmieściu, Szkoda, że nie ma na nim żadnej tabliczki informacyjnej.

To drzewo wspominała też przedwo- jenna mieszkanka Koszalina (Reportaż w Polskim Radio Koszalin).

Po tej refleksji powracam do prze- szłości i historii rodziny w Koszalinie. Są lata 50 XX wieku. Nastaly czasy trud- ne dla prywatnego rzemiosła. W 1950 r. przeprowadzono wymianę pieniędzy, która ograbiła społeczeństwo z dwóch trzecich gotówki, a władza ludowa ka- zała się cieszyć, że są tacy, którzy tracą bardzo dużo. Ta wymiana uderzyła też



Słynny dąb z ul. 1 Maja – obecnie. 2013 r.



w moją rodzinę i znajomych z ul. 1 Maja – w prywatną inicjatywę. Wielu ludzi, tracąc swoje oszczędności, przeżywała tragedię. Nie było pieniędzy na zakup surowca i materiałów do produkcji. Coraz trudniej było prowadzić działalność prywatną. A o to przede wszystkim władzy chodziło.

Banknoty wymieniano na nową emisję w stosunku 100 do 1 zł. Pieniądze ulokowane w bankach wymieniano 100 do 3 zł. Wybitna pisarka – Maria Dąbrowska, kiedy usłyszała z radia komunikat o wymianie pieniędzy zmartwiona zanotowała (w „Dzienniku”), że ludowa władza uczyniła ją bankrutką. Niedawno podjęła w wydawnictwie „Czytelnik” połowę swych okazałych honorariów autorskich i ulokowała je w banku.

Sławny matematyk prof. Hugo Steinhaus tego ranka (28.X.1950 r.), po przeglądnięciu gazet liczył: kg jabłek ma po wymianie kosztować 8 nowych zł, to znaczy – wedle nowego parytetu 2 dolary, zatem 4 razy więcej niż w Stanach Zjednoczonych. Gdzie więc ten kryzys, to gnicie kapitalizmu, o którym opowiadał w Sejmie minister finansów Konstanty Dąbrowski, wychwalając wymianę złotych.

Coraz trudniej było utrzymać zakłady prywatne. Nowy system świadomie zmierzał do ich ruiny, eliminował gospodarkę prywatną, nakładając na warsztat ojca wysokie podatki i tzw. domiary, utrudniając dostęp do surowców. W 1951 roku, gdy zaczęły wchodzić w życie ostre przepisy stalinowskie, które w rezultacie w ciągu kilku lat zlikwidowały sektor prywatny, ojciec mój zmuszony został zamknąć rodzinny warsztat oraz sklep i oddać nieodpłatnie cały swój majątek (sklep, wyposażenie warsztatu w maszyny i narzędzia) do założonej przez siebie i kilku rzemieślników (syna Leona; F. Sandra, Parusa, Wiśniewskiego) Spółdzielni Pracy Rymarsko-Tapicerskiej, która mieściła się w podwórzu na ul. 1 Maja nr 20-24. Z właściciela firmy (zgodnie z polityką władz) stał się zwykłym wyrobnikiem.⁴

Spółdzielnia ta istniała kilkadziesiąt lat w Koszalinie, zmieniając przez ten czas nazwy i miejsca, łącząc się z innymi rzemieślnikami branży skórzaney (np. szewcy z „Dobrego Buta”). Władze komunistyczne nie mogły znieść niezależności gospodarczej, narzucały odgórne struktury organizacyjne aż całkowicie opanowały spółdzielczość. Rzemieślnicy zarabiali niewiele, musieli utrzymać scentralizowaną machinę biurokratyczną. W samym Koszalinie biura Wojewódzkiego Związku Spółdzielczości mieściły się w ogromnym budynku na ul. Zwycięstwa (później mieściła się tam „Warta” a dziś Prokuratura Rejonowa w Koszalinie). Narzucano spółdzielcom niekompetentnych prezesów, a sami członkowie nie mieli wiele do powiedzenia. Nad całą spółdzielczością był jeszcze Centralny Związek Spółdzielczości Pracy i jego uchwały decydowały o wszystkim, np. ile zarabia majster produkcji i usług.

W latach 60 – Spółdzielnia założona przez ojca – nazywała się Spółdzielnią

⁴ Polechoński Piotr, *Koszalin w magicznym zwierciadle*, Koszalin 2010, s. 127-130



Pracy Skórzano-Drzewną i Artystyczną” (!) Wbrew woli jej członków dołączono do niej innych rzemieślników (artystów!), którzy byli w niej bardzo krótko. W latach 70 była to już Spółdzielnia Pracy Usługowo-Produkcyjna Przemysłu Skórzanego „Dobry But” w Koszalinie z siedzibą przy ówczesnej ul. Pawła Findera 100 (dziś ul. Gnieźnińska), a w latach osiemdziesiątych nazywała się Wojewódzką Spółdzielnią Przemysłu Skórzanego (ul. Gnieźnińska 43a – na tyłach dzisiejszej firmy p. Dudojcia). Tam był duży zakład usługowy, którego kierownikiem – do czasu przejścia na emeryturę w 1982 r. – był mój najstarszy brat Leon, pracujący po wojnie w warsztacie ojca i razem z nim organizujący w 1951 r. pierwszą Spółdzielnię przy ul. 1 Maja. W Wojewódzkiej Spółdzielni Przemysłu Skórzanego pracował także mój stryj Władysław i brat Zdzisław – obaj przez całe życie zawodowe aż do przejścia na emeryturę. Spółdzielnia ta przez lata się rozrosła i miała w różnym czasie wiele zakładów usługowych w Koszalinie i w całym województwie.

Mój ojciec i bracia wykształcili wielu fachowców i mistrzów w branży rymarsko-tapicerskiej (tapicerka samochodowa), którzy pracowali w zakładach usługowych, a dziś wielu prowadzi własne warsztaty.

Przypominam sobie, że mojego brata Zdzisława w wieku 17 lat powołano do brygady „junaków” „Służba Polsce” i wywieziono go na kilka miesięcy do pracy na Śląsk – do Jaworzna (Na jednej z fotografii w mundurze junaka uśmiecha się siedząc w grupie kolegów – zbiory rodzinne). Ten przymus pracy i doktrynacja polityczna w warunkach skoszarowania młodzieży miały być szkołą nowych stosunków społecznych. Przypominam, że w 1948 r. Sejm uchwalił ustawę o przymusowej pracy i treningu wojskowym dla młodzieży od 16 do 21 lat, a do realizacji tego celu powołano w lutym tego roku Powszechną Organizację Młodzieży „Służba Polsce” opartą na wzorach wojskowych. Patronat nad tą organizacją objęło MON. W lipcu 1948 r. powołano

do życia Związek Młodzieży Polskiej. W prawie ZMP, zorganizowanego na wzór radzieckiego Komsomołu, stwierdzono, iż ZMP-owiec *„kocha Polskę Ludową, umacnia demokrację ludową, zdobywa naukowy światopogląd, walczy z imperializmem”*.⁵ Bliżej tę organizację poznałem w latach pięćdziesiątych, kiedy już byłem uczniem I LO Dubois.

Wielu jej aktywistów obejmowało kontrolą nie tylko kolegów, ale także nauczycieli i dyrektora. Funkcję dyrektora szkoły pełniła pani Jadwiga Jelec. Były to czasy, kiedy tworzone nową szkołę i nowe wychowanie. W literaturze i sztuce narzucono socrealizm. Literatura miała obrazować iluzoryczny świat budów i fabryk, pokazywać złego szpiega imperializmu – kułaka i burżuja, i dobrego działacza partii.

Niszcząc prywatną inicjatywę i zmuszając rzemieślników do zakładania spółdzielni czy przechodzenia do pracy w zakładach uspołecznionych (MHD itp. firmy) władzy chodziło o to, aby zlikwidować rolę, jaką w społeczeństwie pełnili prawdziwi mistrzowie polskiego rzemiosła. To właśnie oni uczyli swoich uczniów

⁵ Albert Andrzej, *Najnowsza historia Polski 1914-1993*, Warszawa 1995, s. 137



zawodu, ale także uczciwości, solidności i rzetelności. I jak pokazały zmiany po 1989 roku, gdy po obaleniu komunizmu nastąpił rozwój prywatnej inicjatywy, tej starej szkoły myślenia zabrakło. Ta kilkudziesięcioletnia wyrwa w przekazywaniu wiedzy i tradycji spowodowała, że wszystkiego musieliśmy uczyć się od początku. Zabrakło takich mistrzów, jak ci z ulicy 1 Maja, jak mój ojciec.

Centrum miasta zawsze było tutaj, gdzie jest obecnie. To tu toczyło się życie pomiędzy kościołem Mariackim a Rynkiem. Ulice były wąskie, brukowane. Taka też była ul. 1 Maja, w niczym niepodobna do dzisiejszej – wielkomiejskiej. Rozwożono do sklepów różne produkty i towary, wszystko trzeba było przenosić do sklepów ręcznie i na plecach. Podjeżdżali furmani rozwożący węgiel, który zrzucano na chodniki i dopiero później wnosilo się do piwnicy lub składzików na podwórkach. Po chodnikach od wczesnego ranka do późna przechodziło mnóstwo ludzi. Szli robotnicy do miejskiej gazowni, uczniowie do I LO im. Dubois, Szkoły Podstawowej nr 2 i Szkoły Zawodowej na ul. Estkowskiego (dziś już nieistniejącej). Wiele się działo na mojej ulicy. Każdy, kto zajmował się usługami lub handlem, chciał, aby jego sklep, czy zakład znajdował się w centrum miasta, a ul. 1 Maja była tym miejscem. Najwięcej ludzi zmierzało do warsztatów i sklepików. Kupowali meble u p. Roszaka, gościli się w restauracji „Pod Białym Orłem”. Wszyscy gadali godzinami, wymieniali opinie, pozdrawiali się z uśmiechem. Gościli się i popijali wódkę. Po koszarze wojny ludzie chcieli odreagować i to było widać na każdym kroku. Spotykali się towarzysko, dbali o sąsiedzkie relacje. Ta solidarność międzyludzka i życzliwość była czymś wspaniałym, co zapamiętałem do końca życia, i co dało efekty w zagospodarowaniu Koszalina już po dwóch latach – o czym wspominał po latach pierwszy koszaliński starosta Edmund Dobrzycki (*na filmie pana L. Fabiańczyka*).

Wszyscy powojenni mieszkańcy miasta i okolic (Rokosowo, Niekłonice) okazali sobie wsparcie, jednak zapamiętałem różnice między osadnikami z Wielkopolski a repatriantami ze Wschodu. Moi rodzice przyjechali do Koszalina dla idei i wiary, że tu czeka ich lepsza przyszłość. To był ich wolny wybór. Chcieli odbudować i zagospodarować to miasto dla Polski. Dlatego obce było w moim domu uczucie tymczasowości, strachu czy niepewności. Mentalność pionierów z Wielkopolski była konstruktywna a Kresowian do emigracji zmuszono. Nasi sąsiedzi ze Wschodu ciągle żyli w napięciu i w bojaźni. Szczególnie pilnowali dzieci, aby te czegoś za dużo nie powiedziały. Wtedy nie znałem w ogóle historii i nie rozumiałem o co chodzi. Dziś wiem, że przecież oni doskonale zdawali sobie sprawę z tego, o czym ja nie miałem pojęcia: o istnieniu łagrów, masowych wywózek na Syberię, mordu w Katyniu. Dla mojej rodziny okupanci, Niemcy, odeszli. A oni swoich okupantów, czyli żołnierzy radzieckich, spotkali tu w Koszalinie. Mało kto z nich przyjechał z własnej woli. Nie mieli innego wyjścia, bo ich ziemie znalazły się w granicach



ZSRR. Stąd ten ciągły strach i niepewność, co do dalszych losów, czy czasem znowu nie będą musieli szukać nowego miejsca do życia. Osadnicy ze wschodu nie czuli, że ta ziemia została im przyznana raz na zawsze. Do lat 70 nie było pewności, że ziemie zachodnie zostaną przy Polsce. Straszono ich rewanżystami od Adenauera i odwetowcami z Bonn. Mówiło się o pierwszym pokoleniu przesiedleńców z Kresów, że żyło na walizkach. Oni nigdy nie poczuli się pewnie i bezpiecznie, nie

⁶ Z. Mach – badał efekty powojennej migracji ludności z Kresów Wsch. na ziemie zachodnie; autor: „Niechciane miasta”, Kraków 1998

czuli się prawdziwymi gospodarzami i nie dbali o to, co otrzymali, nie rozwinęli pełnej inicjatywy gospodarczej. Dla nich cenne były rzeczy, które przywieźli z utraconej ojczyzny.⁶ Pewne zmiany zaszły na początku lat 70, po symbolicznym geście Willego Brandta. Było jednak za późno, by oczekiwać utrwalonej od lat 25 zmiany mentalności Kresowian. Drugie pokolenie, czyli ludzie, którzy przyjechali

z Kresów jako dzieci, bardziej akceptowali to miejsce, a dopiero tutaj urodzeni czują się u siebie. Przemiany po roku 1989 doprowadziły do tego, że wszyscy już na tych ziemiach i w Koszalinie czujemy się tutejsi. Interesujemy się historią i przeszłością

tego miasta. To miasto jest nasze.

Pamiętam jeszcze wystąpienia przesiedleńców z Kresów w czasie Polskiego Października 1956 r. (wybuch kryzysu politycznego i tzw. „odwilż”), kiedy jako uczeń X klasy I LO im. Dubois uczestniczyłem w wiecach i zgromadzeniach mieszkańców Koszalina przed Urzędem Wojewódzkim pod pomnikiem „Wdzięczności”. Wielu z występujących tam mówców opowiadało o swoim pobycie w łagrach sowieckich, o zsyłkach i Katyniu. Nawoływało nawet do zburzenia monumentu – dla nich symbolu okupacji komunistycznej. Musiało jednak upłynąć wiele lat, aż do roku 2003, żeby przenieść ów monument na cmentarz żołnierzy radzieckich, a na jego miejscu postawić pomnik Józefa Piłsudskiego. Inicjatorem i realizatorem tego pomysłu, co jest dla mnie dużą satysfakcją, był mój uczeń i wychowanek w latach 1964-1968 z II Liceum Ogólnokształcącego im. Wł.



Pomnik Józefa Piłsudskiego.



Broniewskiego – Paweł Michalak, późniejszy działacz „Solidarności”, internowany w stanie wojennym, senator RP. Dziś pomnik cieszy oczy Koszalinian i wzrusza wyrytymi na nim słowami: *Józef Piłsudski 1867-1935. Pierwszy Marszałek Polski. Dał Polsce wolność, granice, moc i szacunek*. I wreszcie zachwyca przepięknym cytatem z J. Słowackiego „*Ziarnem Polski być jeden prosty człowiek może, jak w ziarnku żyta – żyje całe przyszłe zboże.*” J. Słowacki to ulubiony mój poeta i jak się później dowiedziałem miłośnikiem jego wierszy jest Paweł. Potwierdził to wyborem słów wyrytych na cokole monumentu.

Cofam się teraz myślą i pamięcią do miejsc i wydarzeń, które tkwią w mej pamięci; wracam na dawne miejsca. Na centralnym dzisiaj placu w mieście zwanym Rynkiem Staromiejskim przez wiele stuleci handlowano. Tak też było po wojnie, choć dokoła były ruiny i gruzy spalonych domów. Pamiętam – na odbywającym się tu dwa razy w tygodniu targu – otulone barwnymi chustami – kobiety zachwalające bryły świeżego masła, zawiniętego w chrzanowe liście, śmietanę, którą jak mówiła moja matka, można było kroić nożem. Pełno było też świeżych ryb, szczególnie węgorzy i szczupaków sprzedawanych przez rybaków z Jamna (jezioro było czyste i bardzo zasobne w ryby). Gospodynie z okolicznych wsi ważyły też w swoich rękach dorodne koguty, indory i kaczki. Te ostatnie kupowała moja matka na ulubioną przez nas czerninę (zupa z krwi kaczki zaprawiona octem i owocami). Podawana była z kluskami, bardzo często z ziemniaków. Choć pochodziliśmy z Wielkopolski nie mówiliśmy na ziemniaki pyrki, częściej to warzywo nazywaliśmy z języka niemieckiego kartoflem.

Im bliżej świąt Bożego Narodzenia, tym bardziej pachniały ulice w centrum. Od Katedry do budynków na placu Gwiazdzystym unosił się zapach rosnącego ciasta. Do piekarni państwa Psutych gospodynie zносиły brytfanny pełne pachnących placków, bab, makowców i serników. Rozgrzany piec u pana Ignacego buchał dniem i nocą wyczarowując już nie tylko – jak w ciągu całego roku – smakowite bułeczki i chleb (których smaku nie mogę zapomnieć do dzisiaj), ale rumiane, pulchne i aromatyczne świąteczne wypieki.

Różnymi przepisami kulinarnymi dzielili się koszalinianie między sobą. Wielkopoleanie poznawali smak kresowej kuchni i wprowadzali nowe potrawy do jadłospisów w swoich domach. Moja mama tu w Koszalinie wprowadziła na Wigilię wschodnią kutię. Później też znakomite dania kresowe pojawiły się w barach mlecznych („Biały Zdrój” ul. Zwycięstwa) i restauracjach: ruskie pierogi, barszcz ukraiński, babka z kartofli ze skwarką i cebulą, kołduny litewskie. Wcześniej tylko nieśmiertelny bigos myśliwski łączył Polskę z Kresami i Litwę z Koroną.

Zimą lepiłiśmy bałwany i zjeżdżaliśmy z góry (na szczycie której rósł rozłożysty dąb, któremu Niemcy na cześć reformacji nadali imię Luter) na stadionie „Sparty” (dziś „Bałtyku”). Kiedy staw w parku Księżąt Pomorskich był ścięty gru-



bym lodem, stawał się prawdziwym rajem dla łyżwiarzy, których sprzęt, pozał się Boże, był niezwykle prymitywny. Radość sprawiało nam, jak wszystkim dzieciom, ubieranie choinki, przede wszystkim w kolorowe łańcuchy, główki aniołków, w świecące cukierki w błyszczących, kolorowych papierkach, które najszybciej później z zielonego i pachnącego lasem drzewka. Zielone drzewko (na szczęście innych nie było) wносиło do domu zapach lasu. Pamiętam nasze spotkania wigilijne, łamanie się opłatkiem, słodki smak kutii, zapach potraw postawionych na świątecznym stole, nakrytym śnieżnobiałym obrusem, a pod nim sianko. A potem o północy pasterka w Katedrze, ... sznur ciągnących do kościoła ludzi, skrzypiący pod butami śnieg. Wreszcie w ciżbie koszalinian z różnych regionów Polski wspólne śpiewanie: *„Bóg się rodzi, moc truchleje, Pan niebiosów obnażony, (...) A słowo ciałem się stało. I mieszkało między nami”*. To nasze wspólne kolędowanie łączyło wszystkich i dawało nadzieję. Śpiew kolęd rozchodził się i powoli ogarniał otulone ciszą nocną i śniegiem moje miasto.

Były to czasy trudne, powojenne przedświąteczne zakupy cieszyły wszystkich. Kilka mandarynek czy pomarańczy z trudem zdobytych przez rodziców pachniały mi zawsze dalekim, nieznanym krajem i roztaczały dziecięce marzenia o innych, ciepłych krajach i dalekich podróżach. Dopiero na emeryturze, w wieku prawie 70 lat, mogłem zrealizować te marzenia i zobaczyć rosnące na drzewach pomarańcze, mandarynki, cytryny i limonki na Rodos czy w Tunezji. Patrzyłem na nie z żoną i ukochanym wnukami: Jakubem i Hubertem.

Podobnie radośnie – jak na Boże Narodzenie – było na przełomie zimy i wiosny, w święto Zmartwychwstania, kiedy uśmiechnięci koszalinianie z Kresów pozdrawiali nas słowami *„Chrystus zmartwychwstał jest”*. Wcześniej w moim domu na ul. 1 Maja stały poświęcone w Niedzielę Palmową palmy. Najpierw była cisza i smutek Wielkiego Tygodnia (w kościołach pozakrywane krzyże, ołtarze bez kwiatów i drewniane kołatki w miejsca dzwonków), by po tym smutnym okresie rozległo się rezurekcyjne – Alleluja. Budziła się w sercach ludzkich nadzieja na lepsze życie – w tym pełnym jeszcze wojennych ruin – Koszalinie. Ludzie żyli wówczas nie tak spieszenie jak dzisiaj. Kultywowali dawne tradycje i obyczaje, również te kresowe. Wszystkie ważne święta miały niepowtarzalną atmosferę ciepła, spokoju i miłości. Święta religijne i tradycja były ogniwem łączącym wszystkich Polaków niezależnie od pochodzenia społecznego, miejsca urodzenia czy wyznawanej religii.

Związany byłem od zawsze z kościołem Mariackim, późniejszą naszą katedrą (uroczystości komunijne, chrzciny, śluby w rodzinie) ... pięknym i wyjątkowym gotyckim kościołem, który się wpisał w dzieje całego regionu i to nie tylko w wymiarze religijnym. Po 1945 r., gdy na te ziemie przybywali Polacy z różnych regionów Polski, to właśnie świątynia i wiara ojców, były latarnią wokół których



jednoczyli się osadnicy. Pamiętam ten kościół z pierwszych lat powojennych i jego otynkowane wnętrze z malowidłami, a także biegnące dookoła drewniane balkony nad bocznymi nawami. Wchodziło się na nie po drewnianych schodach, które prowadziły na górę przy przednich i tylnych (bocznych) drzwiach kościoła. Ołtarz wyglądał inaczej niż dziś. Kościół ten, związany integralnie z miastem i jego historią, przez wiele wieków zachował się w niezmienionej formie architektonicznej, mimo licznych pożarów miasta. To w nim po czterech wiekach historii ewangelickiej – 17 czerwca 1945 r. odbyła się pierwsza msza katolicka, odprawiona przez o. Nikodema Szałankiewicza – franciszkanina z Gniezna. Wtedy również znalazł się w Koszalinie, znakomity, wieloletni organista Marcin Sidorowicz. Przyjechał z Grodna, gdzie do czasu wysiedlenia grał w kościele franciszkańskim. Dziś na organach w tym kościele gra wnuk mojego brata Leona – Tomasz Krzemiński. Od czerwca 1945 r. franciszkanie opiekowali się parafią, do czasu powołania nowej diecezji Koszalińsko-Kołobrzeskiej. Parafialny kościół pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny ustanowiony został Katedrą 17 czerwca 1974 roku, a franciszkanie przekazali obowiązki duszpasterskie klerowi diecezjalnemu.

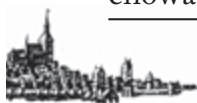
Cieszy mnie bardzo kończąca się w 2010 r. renowacja tej świątyni. Zostały całkowicie i gruntownie odnowione mury kościoła, wszystkie witraże, drzwi, a istniejące wokół niego chodniki wymieniono na kostkę z granitu. Świątynia ta jest miejscem, w którym od lat odbywają się znakomite festiwale muzyki organowej.

II. Moje uniwersytety...

Rodzice moi uczyli się jeszcze pod zaborami, przed pierwszą wojną światową. Matka – pochodząca z Kongresówki (ur. W 1901 roku w Pyzdrach nad Wartą) uczyła się czytać i pisać po polsku na tajnych kompletach, a ojciec ur. 1899 r. uczył się w niemieckiej szkole w Gnieźnie.

Ja natomiast we wrześniu 1947 r. rozpocząłem edukację w jednej z pierwszych szkół podstawowych w polskim Koszalinie – w Publicznej Szkole Powszechnej nr 1 (ul. Zwycięstwa 117). Później zmieniono nazwę z powszechnej na podstawową. Do szkoły chodziłem z wykonanym przez ojca skórzanym tornistrem, który mi służył przez kilka lat nauki i można powiedzieć, że był nie do zdarcia, choć zimą zastępował mi znakomicie sanki do zjeżdżania z różnych pagórków. Główną książką do nauki był „Elementarz” M. Falskiego.

W szkole mieliśmy dobre warunki do nauki (piękny wysoki, dwupiętrowy gmach z czerwonej cegły, aula, sala gimnastyczna, stołówka), a przede wszystkim ukochaną nauczycielkę panią Janinę Praczkową, która była naszą wychowawczynią – przez siedem lat, aż do ukończenia szkoły w 1954 roku. Pani



Praczkowa przez pierwsze lata uczyła nas wszystkich przedmiotów, a od klasy V jedynie języka rosyjskiego (był to jedyny obowiązkowy język obcy). Przyjechała z Równego (Ukraina) skąd wysiedlono ją z mężem i dziećmi (dwoma synami i córką).



Klasa VII a ze swoją wychowawczynią Janiną Praczką, Szkoła Podstarowowa nr 1. Rok 1954

Poznałem tę panią już pod koniec wakacji – w sierpniu 1947 r., kiedy w sklepie moich rodziców (na ul. 1 Maja 18) kupowała damską torebkę i zwróciła uwagę na mnie przeglądającego „Elementarz” i płaczącego, ponieważ nie umiałem jeszcze czytać. Zaczęła mnie pocieszać i uspokajać. Za kilka dni została „moją panią” i nauczyła mnie pisać i czytać. Szkoda, że jej nazwiska nie ma na tablicy pamiątkowej na szkole, a uczyła w niej aż do emerytury. Była już w 1947 matką dorosłych dzieci, mia-

ła z nami doskonały kontakt. Zawsze okazywała nam dużo ciepła i zainteresowania. Można powiedzieć, że traktowała nas jak własne dzieci. Jej mąż Mikołaj Praczuk był wówczas inspektorem szkolnym i przez całe swoje życie zawodowe związany był z koszaalińską oświatą.

Kierownikiem „Jedynki” była wówczas pani Maria Hudymowa. Uczyli nas w tamtych latach: M. Boska, p. Broczkowska, Z. Oleszko, pani Dobrzycka – żona starosty, M. Rytter, Cz. Kłos, D. Macioszek. Chór prowadził Z. Danecki. Nie mogę też nie wspomnieć naszego woźnego p. Czesława Dudzińskiego – człowieka instytucję – prawdziwego gospodarza, który w szkole mieszkał i pracował od 1946 r. – aż do odejścia na emeryturę w 1978 r.

Wszystkim, których wspominam należy się podziękowanie za trud i wysiłek. Był to czas powojenny; trudny i biedny, ale mimo różnych braków i kłopotów było w nim wiele radości. Uczniowie „Jedynki” przygotowywali głośne w mieście przedstawienia, np. „Królowną Śnieżkę”, a nasza klasa „Księżniczkę na ziarnku grochu”, gdzie w rolę grymaśnej Pirlipatki – wcieliła się Danusia Mytnik-Krawczyk, rola księcia przypadła mnie w udziale, a moimi scenicznymi rodzicami – królową matką była Ania Słowik-Gabryelska – dziś prof. dr n. med., królem był Rysio Orłowski. Nasza klasa była szalenie z sobą zżyta i do dziś utrzymujemy więzi przyjaźni. Poszliśmy później do różnych szkół średnich. Kilkoro z nas: Danuta Mytnik-Krawczyk, Hanna Śniegocka, Krystyna Fiedorowicz-Majewska wybrało I LO im. Dubois i naszą przyjaźń mogliśmy kontynuować. Paweł Niedzielski – przyszły artysta plastyk – wyjechał z Ko-



szalina. Pozostało jednak wielu. Dziś spotykamy się z nimi w Klubie Pioniera i wspominamy razem przeżyte chwile.

Siedzieliśmy w szkole w starych drewnianych ławkach, które w pulpitych miały kałamarze z atramentem. Najpierw pisaliśmy ołówkami, a dopiero w drugim półroczu klasy pierwszej – piórami. Każdy miał swoją obsadkę i kilka stalówek do wymiany. A psuły się dość często. Udręką były w pierwszych latach nauki liczne kleksy, poplamione palce a czasami też ubrania. Na szczęście w każdej klasie były tzw. kąciki czystości. Znajdowały się przy kaflowych piecach, którymi zimą ogrzewano klasy. Wspólna toaleta z tzw. „stópkami Lenina” znajdowała się w piwnicy budynku. Bały się tam chodzić moje koleżanki.

W pierwszych latach nauki lekcje rozpoczynaliśmy i kończyliśmy modlitwą, a lekcje nauki religii jeszcze odbywały się w szkole. Wielu z nas należało do harcerstwa, nosiliśmy mundurki i braliśmy udział w różnych zajęciach w „Domu Harcerza” na ul. A. Czerwonej (dziś J. Piłsudskiego – dziś mieści się tu przedszkole). Obowiązkiem wszystkich był udział w manifestacjach pierwszomajowych.

W latach 1954-1958 byłem uczniem I LO im. Dubois. Ta szkoła była dla mnie zawsze bliska, dosłownie i w przenośni. Mieszkałem i wychowywałem się prawie obok (ul. 1 Maja 18). Była ona dla nas czterdziestu kilku w klasie ósmej – później tylko 16 w klasie XI – przez cztery lata miejscem jedynym i szczególnym. Wymagania wobec nas były duże. Szkoła imponowała nam swoją wielkością, wyposażeniem. Czynne już wtedy były gabinety przedmiotowe: biologii, fizyki, chemii, geografii. Była wspaniała sala gimnastyczna i aula. Pamiętam do dziś liczne okazy rybek i wiele przepięknych roślin w gabinecie prof. Anny Ciszewskiej – pracującej w szkole po wieloletnim zesłaniu na Syberię, skąd wróciła z córką do Koszalina w 1945 r.

Grono pedagogiczne było nieliczne, bo też niewiele było oddziałów i uczniów. Szkoła w tych latach miała najwięcej siedem oddziałów a uczniów prawie tyle, ile dziś jest tylko w klasach maturalnych. Po południu często zbieraliśmy się w szkole, by np. wspólnie z prof. Z. Witczyńską czytać „Nie-Boską Komedię” Z. Krasińskiego. Brakowało ciągle lektur. Rok szkolny podzielony był na cztery okresy. Po każdym wystawiano oceny i organizowano wywiadówki. Częste były prace klasowe, ale jedynie z jęz. polskiego i matematyki. Nie były znane wówczas kartkówki. Oglądaliśmy filmy w kinach „Nowa Huta” (późniejsza „Adria”) i w WDK (dzisiaj Centrum Kultury 105 – „Kryterium”). Kino było największą naszą rozrywką. Po przełomie politycznym – Październik 1956 – docierały do nas znakomite filmy. Podziwialiśmy Marinę Vlady w filmie „Przed potopem”, Ginę Lollobrigidę i Gerarda Philipe’a w „Pięknościach nocy”. Oglądaliśmy „Pokolenie” (1955), „Kanał” (1957) i „Popiół i diament” A. Wajdy. Ten ostatni już w klasie maturalnej – w 1958 r. Były to dla nas wielkie przeżycia. Mieliśmy wtedy po 16-



17 lat. Szukaliśmy autorytetów i wzorców, jednak nie takich, które w tym czasie oficjalnie obowiązywały.

W szkole było wiele przestrzeni i wolnego miejsca, panował ład i porządek, dyrektorem liceum była pani Jadwiga Jelec, która uczyła nas języka francuskiego. Panią profesor cechowała duża kultura humanistyczna i takt pedagogiczny. Uczyli nas: języka rosyjskiego prof. Krystyna Świąć-Trząskowska, historii – prof. Marian Dąbrowski, wych. fizycznego Leszek Żyła. Po 1956 r. lekcje religii przeniesione zostały z salek katechetycznych do budynku szkolnego, a naszym prefektem był franciszkanin ks. Klemens Śliwiński. Do dziś go pamiętamy. Był on dla nas wzorem, a uczył tego co najlepsze. Kształcił wrażliwość i odpowiedzialność. Uczył kochać drugiego człowieka. Był również na naszej studniówce 9 lutego 1958 r. Przeżywał z nami nasze wzloty i upadki. Po maturze zaprosił nas na Jasną Górę. Było to w czerwcu 1958 r. Na pamiątkę wspólnych spotkań pozostawił ks. Klemens kilka dedykacji w ofiarowanych nam egzemplarzach „Pisma św. Nowego Testamentu”. Oto niektóre z nich: *„Na każdą chwilę znajdziesz tu słowa zachęty i prawdy”* czy *„Zawsze pamiętaj o słowach Bożych, a znajdziesz mądrość największą.”*



Rok 1958. Maturzyści ze swoim katechetą ojcem Klemensem Śliwińskim.

Prowadzili nas do matury różni wychowawcy, najdłużej jednak prof. Teresa Korolewicz – matematyczka. Do dziś pamiętamy jej granatowy fartuszek z białym kołnierzykiem, którym wyróżniała się wśród grona profesorek. Jej uśmiech, kiedy stawiała oceny bdb i niedostateczną. Klasówki, w czasie których (a były częste) każdy z nas otrzymywał inne zadania. Dopiero na maturze – w czerwcu 1958 r. – wszyscy rozwiązywaliśmy te same zadania, ale pisaliśmy ją już w naszej auli.

Nasza piękna aula. Dziś może się wydać mała, maleńka, ale wtedy była bardzo duża, a odległości między stolikami jeszcze większe (zdawało maturę 16 osób). Aula. To w niej też odbywały się lekcje tańca towarzyskiego, koncerty umuzykalniające „Artosu”, liczne akademie „Ku czci” i wreszcie niezapomniane bale kostiumowe, organizowane corocznie w okresie karnawału. Ileż to było wcześniej dyskusji, przemyśleń, roboty krawieckiej, a nagrodą chwile niepowtarzalnych wrażeń na balu i pamiątkowe fotografie. (Robił je najczęściej Włodek Piątek – dziś emerytowany fotoreporter „Gazety Wyborczej”). Moje koleżanki prześcigały się w pomysłach i muszę przyznać – pomysłach ciekawych. Wystarczy tu przypomnieć strój kwiaciarki, za który Danusia



Mytnik-Krawczyk dostała nagrodę, a który do dziś (obok innych, nie mniej interesujących) możemy podziwiać na fotografiach w jej albumie. Znajdują się w nim liczne zdjęcia z naszych prywatek. Mnóstwo wrażeń, radości i zadowolenia przynosiły nam wycieczki i działalność w kole geograficznym prof. J. Różańskiego. Do dziś pamiętam wycieczkę w 1956 r. do Krakowa. Oglądaliśmy w Teatrze im. Juliusza Słowackiego „Kordiana”. Choć przez cały czas naszego pobytu w Krakowie padał deszcz, a podróż z Koszalina pociągami odbywała się na tzw. jednej nodze – to pani dyrektor J. Jelec była pogodna i wszyscy zadowoleni. W czerwcu 1957 r. w czasie pieszej kilkudniowej wycieczki poznaliśmy piękno Szwajcarii Kaszubskiej, zimą zaś Sudety, Karpacz i okolice. Myślę, że to z lat spędzonych w szkole pozostało nam zamiłowanie do turystyki, ale nie tylko. Pozostało dla mnie osobiście zamiłowanie do literatury i ukochanie języka ojczystego.

Naszym przewodnikiem w świecie języka i literatury była prof. Zofia Witczyńska, która zawsze czuwała nad życiem kulturalnym szkoły i kształtowała naszą wrażliwość estetyczną. Prowadziła też w owych latach bibliotekę szkolną. Właśnie dzięki p. Z. Witczyńskiej mogliśmy w szkole urzeczywistnić swoje marzenia o mówieniu poezji, rozwijać uzdolnienia aktorskie, przygotowywać z okazji różnych uroczystości wieczory literackie i przedstawienia szkolne (inscenizacje fragmentów „Potopu” H. Sienkiewicza, komedii A. Fredry „Gwałtu co się dzieje”).

Dziś to wiem lepiej niż kiedykolwiek – ile trudu musiała włożyć pani Profesor ucząc nas sztuki pisania. Pamiętam też liczne klasówki z języka polskiego i tę ostatnią pięciogodzinną – maturę w czerwcu 1958 r., kiedy starałem się uzasadnić, że słowa: „Honor myślom z których błyska nowy duch i forma nowa” można odnieść do własnej twórczości J. Słowackiego. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że mój ulubiony poeta jest autorem proroczego wiersza o wyborze słowiańskiego papieża, który stał się dość znany z chwilą wyboru Karola



Bal kostiumowy 1957 rok.



Wojtyły na papieski tron. Pisał w nim poeta: „*Pośród niesnasków – Pan Bóg uderza / W ogromny dzwon, / Dla słowiańskiego oto Papieża / Otwarty tron / (...)*”

W tej samej pięknej auli – po czterdziestu latach od swojej matury – przeprowadzałem egzamin dojrzałości z jęz. polskiego, a przewodniczącym komisji był mój nauczyciel wych. fizycznego, wówczas wieloletni i znakomity dyrektor szkoły – Leszek Żyła.



Zdjęcia z prywatek z roku 1958.

Pytał, czy pamiętam swoją maturę. Przez pięć godzin trwania egzaminu dojrzałości było wiele czasu na refleksje i wspomnienia. Byłem w swojej szkole, ale już w innej roli, siedziałem w Komisji ze swoim ulubionym nauczycielem i dyrektorem, obok innego członka komisji – młodszego od siebie polonisty, także absolwenta szkoły, obecnego dziś dyrektora Liceum im. Dubois – Rafała Janusa. Tak to różne pokolenia wychowanków i wychowawców spotkało się w swojej szkole w roku 1998.

Wielka szkoda, że już nigdy nie spotkam się w swoim życiu z człowiekiem wielkiego serca i zasług – Leszkiem Żyłą. Było to moje ostatnie służbowe widzenie się z Nim. Za rok – we wrześniu 1999 r. pożegnałem go na kosza-lińskim cmentarzu. Wcześniej jeszcze – 2 sierpnia tego samego roku pożegnaliśmy wspólnie na tym cmentarzu prof. Zofię Witczyńską – pionierkę Koszalina.

Naszą niezapomnianą rozrywką w czasach licealnych były prywatki, szczególnie te na ulicy S. Wyspiańskiego pod nr 10 na pierwszym piętrze, w zawsze gościnnym domu państwa Leontyny i Karola Mytników. Chciałoby się dziś powiedzieć: „Gdzie się podziały tamte prywatki”. Była tam muzyka i śpiewy przy akompaniamencie fortepianu, tańce przy muzyce z pate-



fonu. Śpiewaliśmy. *Upływa szybko życie / Jak potok płynie czas, / Za rok, za dzień, za chwilę / Razem nie będzie nas.*

Byliśmy bardzo zżyci ze sobą i tak zostało do dzisiaj, choć od tamtych czasów upłynęło już kilkadziesiąt lat. Wówczas to zawiązywały się nasze najtrwalsze przyjaźnie a nawet miłości. Utrzymujemy ze sobą kontakty do dzisiaj, dawno po-



Siedemdziesięciolecie autora. Obok małżonka i przyjaciele Urszula i Zbigniew Jursowie.



Spotkanie w I LO im. Dubois w Koszalinie. 50 lat od matury, maj 2008 r.





Zjazd absolwentów w LO Dubois, wrzesień 2010 r. Siedzą od lewej: Teresa Korolewicz, Rafał Janus, Lesław Mytnik, Danuta Mytnik - Krawczyk. Stoją - Z. Kasprzak i Z. Grzymala

kończyliśmy studia, jesteśmy już na emeryturach, mamy dorosłe dzieci i wnuki. Spotykamy się jednak już nie tacy młodzi i już nie na ul. Wyspiańskiego, ale na Azaliowej u Danusi Mytnik-Krawczyk lub w domu Maryli Prawdzic-Buczak na ul. Chodkiewicza albo u mnie na S. Żeromskiego. Widujemy się także na naszych spotkaniach w klubie „Pioniera”. Jesteśmy razem także w chwilach smutnych i dramatycznych. Ostatnio pożegnaliśmy po długiej i ciężkiej chorobie męża naszej koleżanki dr Benona Krawczyka.

Często na naszych spotkaniach bywają koleżanki i koledzy z różnych stron Polski (Danuta i Krzysztof Witczyńscy); bracia Danusi – Leszek i Zygmunt Mytnikowie. Nie zapominamy też o naszych imieninach i urodzinach. Ostatnio już siedemdziesiątych. Organizujemy również spotkania klasowe, np. z okazji 50 rocznicy matury (2008). Co pięć lat spotykamy się w szkole z okazji jej jubileuszu. Ostatnio hucznie obchodziliśmy 65 urodziny Dubois. Są to radosne i pełne wzruszeń chwile, dla których warto żyć. Chciałoby się zaśpiewać z M. Rodowicz: *„Życie to bal jest nad bale, tańcz póki możesz!”*

W 1964 roku po ukończeniu pięcioletnich studiów w Gdańsku wróciłem do Koszalina i znalazłem się w gronie szacownych pedagogów w II Liceum Ogólnokształcącym im. Wł. Broniewskiego. Podjęcie pracy nauczycielskiej było dla mnie ogromnym przeżyciem, dawało wiele satysfakcji. Lubiłem młodzież i chciałem uczyć. Same studia polonistyczne w Gdańsku (w Wyższej Szkole Pedagogicz-



nej – od 1970 r. Uniwersytet Gdański) i magisterium z historii literatury u prof. Marii Janion nie wystarczyły. Zawód ten wymagał nie tylko dużej wiedzy merytorycznej i pedagogicznej, ale przede wszystkim umiejętności metodycznych. Trzeba było dużo pracy włożyć w przygotowanie metodyczne do lekcji, co później stokrotnie zaowocowało.

W latach 1968 - 1973 byłem kier. Sekcji Języka Polskiego w Okręgowym Ośrodku Metodycznym, a później wizytatorem metodykiem jęz. polskiego w Kuratorium Okręgu Szkolnego w Koszalinie (1973-1981), a potem nauczycielem metodykiem w Instytucie Kształcenia Nauczycieli im. Wł. Spasowskiego w Warszawie Oddział Doskonalenia Nauczycieli w Koszalinie.

Pracując zawsze jako nauczyciel jęz. polskiego zajmowałem się przez 25 lat doskonaleniem pracy polonistów w województwie koszalińskim. Jeździłem po szkołach średnich rozległego wówczas województwa: bywałem w Słupsku, Wałczu, Złotowie, Drawsku, Szczecinku, Białogardzie, Kołobrzegu. W wielu liceach i technikach hospitałem lekcje jęz. polskiego, udzielałem konsultacji, organizowałem konferencje metodyczne (dwa razy do roku) lekcje pokazowe, a później też konkursy i olimpiady przedmiotowe. Moje znakomite koleżanki i koledzy poloniści prowadzili wspólnie ze mną eksperymenty pedagogiczne, wprowadzali nowe metody nauczania, lektury i podręczniki. Szczególnie nasiliło się to w okresach wprowadzania reformy szkolnictwa, a przede wszystkim w czasach transformacji ustrojowej – zmiany programów i podręczników. Powstawały – w ramach prowadzonych konkursów – liczne dobrze wyposażone i urządzone klasopracownie języka polskiego (literatura, sprzęt audiowizualny itp.)

W pracowni polonistycznej w II LO im. Wł. Broniewskiego w Koszalinie drogę życiową uczniom wskazywały słowa J. Kochanowskiego: „*Służmy pocziwnej sławie, a jako kto może, niech ku pożytku dobra wspólnego pomoże*”, a także słowa C.K. Norwida: „*Nie miecz, nie tarcz – bronią Języka, Lecz – arcydzieła*”.

Zawsze miałem szczęście do bardzo dobrych i utalentowanych uczniów, a także polonistów, z którymi moja współpraca układała się jak najlepiej. Byli oddani szkole, pełni pasji i talentów pedagogicznych, licznie zdobywali stopnie specjalizacji zawodowej, uczestniczyli w kursach i studiach podyplomowych. Przygotowywali różne artykuły metodyczne, które później były publikowane pod moją redakcją i rozpowszechniane. Muszę tu przypomnieć niektóre z nich: „Materiały pomocnicze dla nauczycieli szkół średnich” (1985 r.). Pisali tam znani koszalińscy poloniści: R. Janus, H. Michalak, M. Poniatowska. W latach 1989-91 wyszło pięć zeszytów metodycznych dla nauczycieli szkół średnich (wydanych przez Oddział Doskonalenia Nauczycieli w Koszalinie), w których publikowali m.in. J. Cylwik, E. Andrzejewska i inni. Materiały te cieszyły się dużym uznaniem i są wykorzystywane do dzisiaj, jak np. opublikowany przez mnie w „Polonistyce” nr 10



z 1991 r. artykuł metodyczny o Gombrowiczowskiej „Ferdydurke”. Do nowego programu poza W. Gombrowiczem wszedł też. K. Moczański, którego „Rozmowy z katem” zostały opracowane metodycznie i upowszechnione w środowisku polonistycznym.

Przemiany ustrojowe zmieniały szkołę, wprowadzono nowe zestawy lektur, programy i podręczniki, nowe środki i techniki nauczania, zreformowano maturę, ale najważniejszym pozostał nadal człowiek – mądry nauczyciel, który nie poprzestaje tylko na skończonych studiach, ale stawia na rozwój zawodowy, osobisty i społeczny – kształci się przez całe życie. Znałe mi wcześniej szkoły zmieniły znacząco swoje oblicze, są bogato wyposażone, przeszły gruntowne remonty, otrzymały nowe elewacje, prezentują się coraz lepiej – to cieszy. Zmienia się Koszalin i jego szkoły. To przede wszystkim dzięki dobrym nauczycielom zmieniała się koszalińska polonistyka. Wyniki nauczania są coraz lepsze.



Z. Kasprzak (w środku) ze swoją klasą na schodach przed wejściem do II LO im. Broniewskiego. Rok 1969.

Coraz więcej uczniów brało udział w Olimpiadach Literatury i Języka Polskiego a także w konkursach polonistycznych dla szkół podstawowych. W latach osiemdziesiątych zawody wojewódzkie Olimpiady Polonistycznej organizowane były w I LO im. Dubois (u dyr. L. Żyły), a przez 19 lat konkurs wojewódzki jęz. polskiego dla uczniów szkół podstawowych odbywał się zawsze w gościnnej i znakomicie do tego przygotowanej organizacyjnie Szkole Podstawowej nr 7, której dyrektorem była polonistka pani Zofia Korczyńska-Szrubka.

Wracam często myślami do nauczycieli z którymi przeze wiele lat współpracowałem, zajmując się zawodowo doskonaleniem ich pracy metodycznej, a także do swoich niezapomnianych uczniów. Oglądam zdjęcia i wspominam swoich pierwszych wychowanków – absolwentów II Liceum Ogólnokształcącego im. Wł. Broniewskiego z roku 1969. To oni pierwsi zaczynali edukację w nowym budynku przy ul. Chełmońskiego 7 (wcześniej szkoła przez lata była na ul. Jedności – obecny „Elektronik”). Sam spędziłem w tej szkole całe życie zawodowe. W niej również zdawali maturę moi synowie: starszy Krzysztof Kamil w 1987 r. i młodszy Daniel Cyprian w 1995 r. Obaj skończyli już dawno uczelnie w Poznaniu. Starszy jest inżynierem po Akademii Rolniczej, a młodszy prawnikiem po uniwersytecie A. Mickiewicza.



Nie znam losu wielu moich wychowanków. Rozproszyli się po całym kraju. Wiem jednak, że wielu z nich to znakomici lekarze, prawnicy, nauczyciele, inżynierowie, naukowcy, wojskowi. Mają wspaniałe rodziny i dorosłe dzieci. Niektórzy są już, podobnie jak i ich wychowawca i polonista, na emeryturze. Wielu z nich spotykam w swoim mieście, w ich mieście urodzenia i dorosłego życia: Stanisława Piekarewicza, jego siostrę Grażynę, Kysię Klisowską-Marczuk, Grażynę Przybysz, Wojciecha i Grzegorza Rutkowskich, Andrzeja Świątkiewicza. Syn Andrzeja – Łukasz Świątkiewicz był moim wychowankiem i zdawał maturę w tej samej szkole co ojciec, ale było to 26 lat później – 11 maja 1995 r. Wtedy to też do matury przystąpiła Monika Kuzio-Czapka – córka Ireny Skórki-Kuzio, mojej maturzystki z 1967 roku. Dziś Monikę możemy oglądać w koszalińskiej telewizji MAX. Można by tak wyliczać bardzo długo, wymieniać dwa pokolenia swoich maturzystów, przecież pracowałem w szkolnictwie prawie 40 lat.



Praca w LO im. Broniewskiego.



Autor ze swoją ostatnią klasą maturalną w II LO 1996. Na pierwszym planie Aleksander Bolko i Michał Wasilewicz.





50-lecie II LO im. W. Broniewskiego, wrzesień 1999. Z. Kasprzak ze swoimi uczniami. M.in. pierwsza od lewej: Danuta Borsuk-Zarwadzka.

Nasuwiają się przed oczy obrazy maturzystów z różnych lat. Miałem zawsze szczęście do młodzieży z którą pracowałem. Bez nich nie byłoby żadnych moich i szkoły sukcesów. Czasem spotykam się z nimi z okazji jubileuszy ich matur. Zawsze są to chwile pełne wspomnień i radosnych przeżyć. Tak było na spotkaniu z maturzystami z roku 1967 w klubie „Pod Trąbką”. Podobnie z absolwentami dziesięć lat młodszymi, z roku 1977 (słynna kl. IVe), którzy urządzili spotkanie w leśniczówce w Manowie. Do dziś wspominam swoje rozmowy: z Elą Maciołek-Nowak (znaną koszalińską adwokatką), Marysią Karaśkiewicz, która na spotkanie przyjechała z Niemiec, Ulą Janiszewską-Witkowską (znaną lekarką z Białogardu), Małgosią Wiśniewską – polonistką, Stasią Trzeciak-Strauchmann – sędzią czy Leszkiem Koleckim – obecnym przewodniczącym Stowarzyszenia Absolwentów i Przyjaciół „Bronka”.

Nie mogę też nie wspomnieć maturzystów z 1981 r. Wojtka Hetmaniuka, Eli Zajko, Maćka Napieracza, Jarka Juhasa. Spotykałem się z nimi dwa razy z okazji jubileuszu 20 i 25 lat od matury. To z nimi przygotowałem na 30 lecie II LO jednodniówkę „Głos Szkoły”. Wspominam też często ostatnich moich maturzystów w tej szkole z roku 1996. Byłem nawet przez dwa lata ich wychowawcą, kiedy ich wychowawczyni – naucz. biologii p. A. Krzyżanowska (obecna vice dyrektor szkoły) odeszła na urlop macierzyński i wychowawczy. Spoglądając na ich zdjęcia z balu studniówkowego (na który przygotowali kabaret z własnymi tekstami)



przypominam sobie ich młode twarze. Była to klasa o profilu biologicznym, ale wielu jej uczniów było utalentowanych humanistycznie, pasjonowała ich literatura i film. Brali udział w prowadzonym przeze mnie kole wiedzy o filmie, a dwóch jej członków: A. Bolko, i M. Czaban uczestniczyli w finale VIII Ogólnopolskiego Konkursu Wiedzy o Filmie w kwietniu 1996 r. Dziś, znany komity wówczas filmoznawca, A. Bolko



Zjazd absolwentów II LO na 50-lecie szkoły. Od prawej: Asia Szewczyk, Zenon Kasprzak i Anetta Wilkówna.

jest koszalińskim prawnikiem. Uczniowie z tej klasy pisali wiersze: Natalia Derebecka (cóрка dyrektora BTD), Dorota Marczak, Michał Wasilewicz. Ciekawy jestem, czy ta sztuka jest im wciąż bliska. Przecież skończyli różne studia. Michał Wasilewicz został doktorem nauk medycznych i pracuje w Uniwersytecie Medycznym w Warszawie (robi habilitacje). Natalia Derebecka – również po doktoracie pracuje naukowo i mieszka w Poznaniu. Często zaglądam do podarowanego mi przez nią tomiku wierszy i z przyjemnością czytam jej utwory.



Uczniowie II LO im. W. Broniewskiego świętują 60 lat swojej szkoły.



W albumach znajduję stare zdjęcia z wycieczek klasowych; na jednym z nich (do Krakowa i Zakopanego) widzę – towarzyszącą mi w tej podróży – kol. Alicję Niesłuchowską – wieloletnią nauczycielkę historii i pedagoga szkolnego. Spoglądam na zdjęcie zrobione nad Morskim Okiem. Widzę na nim swoich uczniów i Alę – ze swoim synem Jurkiem – późniejszym absolwentem szkoły a dziś znany w Koszalinie lekarzem.



Uroczystość dekoracji Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Z Kasprzak drugi od lewej. Obok niego (z prawej) Maria Ulicka. Październik 1997 rok.

kolejkach i kartki. Zdobywanie, jak się wtedy mówiło, prawie wszystkiego, co potrzebne było do życia. Uważam jednak, że w pamięci zostało to, co najlepsze. Mam wspaniałą rodzinę i wielu serdecznych przyjaciół. Z moją cudowną żoną Krystyną jesteśmy razem już 45 lat. Gdyby nie jej miłość, dobroć, cierpliwość



45 rocznica ślubu Krystyny i Zenona Kasprzaków. Na zdjęciu jubilaci z wnuczką Marysią. 11 maja 2013 r.

Kiedy cofam się pamięcią, uświadamiam sobie, że przeżyłem wiele dobrych, szczęśliwych dni. (Nie opuszczało mnie zdrowie). Cieszyły mnie otrzymywane wyrazy uznania i odznaczenia; szczególnie Medalem Edukacji Narodowej (1994) czy Krzyżem Kawalerskim Odrodzenia Polski (1997) Zdarzały się jednak, jak to bywa w życiu, i chwile smutne, kiedy przychodziło żegnać na zawsze najbliższych z rodziny, uczniów, znajomych i przyjaciół. Powracają w pamięci też inne trudne dni: zmaganie się z codziennością, wieloletnie oczekiwanie na mieszkanie spółdzielcze (spłacanie za nie kredytu), stanie w różnych

i uśmiech moje życie nie byłoby takie. To jej wielka zasługa. Lubilem przecież swój zawód i w szkole znalazłem się z powołania. Większość obowiązków domowych (jednocześnie również pracując zawodowo) spełniała moja małżonka. Wychowaliśmy wspaniałych synów Krzysztofa Kamila i Daniela Cypriana, mądrych i życzliwych dla innych. Doczekaliśmy się czworga wnucząt, które są naszą radością i dumą.

Nasi ojcowie byli autentycznymi twórcami historii, pionierami tej ziemi,



my budujemy przyszłość naszego miasta pielęgnując pamięć o nich. Cieszy mnie bardzo patriotyzm lokalny koszalinian, dbałość o to miasto i jego kulturę. Marzę, żeby Koszalin ciągle się rozwijał i był coraz piękniejszy, żeby jego mieszkańcy dobrze się w nim czuli.

Mieszkam w swoim Koszalinie i nie zamieniłbym tego miasta na żadne inne. Chciałbym powiedzieć parafrazując słowa poety: (...) *Tutaj (...) przeszedł mi dzieciństwo i młodość (...) Moje serce tu wie o wszystkim, chyba tutaj umrę – bo gdzieżby?*



Autor z rodziną – żona Krystyna, syn Daniel, wnukowie Hubert i Jakub, syn Krzysztof, synowa Jolanta i wnuczka Marysia.

Bibliografia

1. Albert Andrzej, *Najnowsza Historia Polski 1914–1993*, W-wa 1995
2. Mach Zdzisław, *Niechciane miasta*, Kraków 1998
3. Mroczek Jarosław, *Torba pełna wspomnień, „Miasto” 2-5.04.2010 Koszalin*
4. Polechoński Piotr, *Koszalin w magicznym zwierciadle*, Koszalin 2010



Zenon Kasprzak

Zofia i Wacław Witczyńscy – pionierzy i nauczyciele



Wacław Witczyński z pracownikami.

Wacław Witczyński urodził się 17 sierpnia 1913 r. w Parczewie, w Lubelskiem. Studiował chemię na Uniwersytecie Wileńskim im. St. Batorego. Do wybuchu II wojny światowej zaliczył 4 lata studiów.

W czasie okupacji pracował w wileńskich wodociągach jako chemik. W lipcu 1945 roku opuścił Wilno (z żoną Zofią i pięcioletnim synkiem Krzysztofem) i z rodziną zamieszkał w Koszalinie. Najpierw pracował w Tymczasowym Za-



rządzie Państwowym, a od lutego 1946 związał się na zawsze z zawodem nauczycielskim i zaczął uczyć fizyki i chemii w pierwszej ogólnokształcącej szkole średniej w Koszalinie w Państwowym Koedukacyjnym Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącym – później – od 1948 r. imienia S. Dubois.

Prof. W. Witczyński cieszył się dużą sympatią uczniów. Jedną z jego uczennic,

¹ Głos Szkoły.
Gazeta I LO St.
Dubois,
Koszalin 2010, s. 1

Danuta Roszak (matura 1948/49), tak go wspominała po latach: „Nasz wychowawca zawsze pomocny w biedzie (przy tablicy), chodząca cierpliwość i wyrozumiałość”¹, a ówczesny dyrektor szkoły Jan Laskowski w opinii o nim napisał: „przewodniczący sekcji

szkół średnich ZNP. Nauczyciel energiczny, wykazujący duże zainteresowanie pracą w szkole. Lubiany przez uczniów”.²

² tamże, s. 4

W. Witczyński był organizatorem drugiej średniej szkoły ogólnokształcącej powołanej do życia w Koszalinie w 1949 r. Miała to być nowoczesna szkoła świecka i taki charakter miała ta placówka pod nazwą Szkoła Podstawowa i Liceum Ogólnokształcące Towarzystwa Przyjaciół Dzieci, dziś II Liceum Ogólnokształcące im. Wł. Broniewskiego. Mieściła się ona od samego powstania przy ulicy Jedności 9, a we wrześniu 1965 r. II LO przeprowadziło się z dotychczas zajmowanego gmachu do budynku przy ul. Chełmońskiego 7.

Wacław Witczyński organizował nową szkołę z wielkim entuzjazmem. Wykazał się dużą przedsiębiorczością i zdolnościami organizatorskimi. Nie szczędził czasu i swojego zdrowia, by zapewnić szkole odpowiednią bazę materialną i skompletować oddanych wychowaniu i nauczaniu nauczycieli. Jak wspominają najbliżsi i ci, którzy go znali, nigdy nie umiał zabiegać o swoje interesy, ale o pożytek szkoły dbać potrafił. Był zawsze oddanym społecznikiem i działaczem związkowym. Wacław Witczyński prowadził tę szkołę przez dwa niełatwe, wręcz trudne okresy: czasy organizacji i październikowe przemiany. Kierował nią od września 1949 do czerwca 1951 i od października 1956 do jesieni 1958. Szkoła zorganizowana przez W. Witczyńskiego obchodziła w 2009 roku hucznie i uroczysto swoje sześćdziesiąte urodziny i jest znaczącą placówką oświatową na terenie miasta.

W latach 1950-1955 W. Witczyński był prezesem zarządu Wojewódzkiego Towarzystwa Wiedzy Powszechnej w Koszalinie. Jeszcze wiele lat później udzielał się jako prelegent w tej organizacji. W latach 1964-67 był radnym miejskim. W latach sześćdziesiątych pracował (aż do śmierci) w Zespole Szkół Zawodowych nr 1, pełniąc jednocześnie funkcję wiceprezesa Koszalińskiego Oddziału ZNP. Odznaczenia: Medal 10-lecia PRL, Medal za Zasługi dla Województwa Koszalińskiego, Złota Odznaka ZNP.

Zmarł nagle w Warszawie – 19 listopada 1967 r. Był wówczas w stolicy służbowo i mieszkał u swojego syna – Krzysztofa – dziś emerytowanego profesora Politechniki Warszawskiej.



Zofia Witczyńska urodziła się 2 listopada 1912 r. w Pińsku, w mieście nad Piną i Prypecią. Było to miasto wielu kultur, jak wszystkie inne na Kresach dawnej Rzeczypospolitej. Tu chodziła do szkoły i zdawała maturę. Wcześniej zainteresowała się językiem polskim i, jak wynika z jej wspomnień, miała jedyną w klasie piątkę z tego przedmiotu. W 1934 rozpoczęła studia filologii polskiej na Uniwersytecie Wileńskim im. S. Batorego. W 1939 uzyskała absolutorium.

Cała jej rodzina w czasie wojny została wywieziona z Pińska do Kazachstanu. Rodzice nie wytrzymali straszliwych warunków zsyłki i tam zmarli. Dwie siostry razem z bratem wstąpiły do Armii Andersa i osiadły po wojnie w Anglii. Trzecia, wywieziona na Syberię, wróciła do Polski w 1946 r. Wążyła wtedy 27 kg. Dożyła 98 lat. Jej brat (Czesław Trojanowski) w czasie wojny wraz z armią Andersa znalazł się na Zachodzie. Brał udział w Powstaniu Warszawskim jako cichociemny. Po wojnie wyemigrował do USA, gdzie brał aktywny udział w organizacjach polonijnych. Dopiero w 1975 r. siostra odwiedziła swojego brata.

Zofia Witczyńska z mężem i synem przyjechała do Koszalina w 1945 r. Początkowo pracowała w Tymczasowym Zarządzie Państwowym a od 1946 roku rozpoczęła pracę nauczycielską w I LO. W czasie pracy zawodowej, poza działalnością dydaktyczno-wychowawczą, prowadziła szkolną bibliotekę (bardzo długo) oraz szkolny teatr, który zbierał nagrody na festiwalach teatrów uczniowskich.

Przez pewien czas Zofia Witczyńska pełniła obowiązki dyrektora liceum (II 1951-31 VIII 1951). Na emeryturę odeszła w 1974 r., jednak jeszcze do 1975 roku pracowała na ½ etatu w I LO im. Dubois. Otrzymała liczne odznaczenia: Złoty Krzyż Zasługi, Medal KEN, Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Złotą Odznakę ZNP, Medal za Zasługi dla Województwa Koszalińskiego oraz Medal za Zasługi dla Koszalina.

Zmarła 2 VIII 1999 roku, a jej ciało złożono na cmentarzu w Koszalinie, w grobie męża i obok mogiły młodszego syna Janusza ur. 19 V 1949 – zmarłego 16 X 1990 r.

Był słoneczny letni dzień wakacji. Na pogrzeb przyszło kilkadziesiąt osób. Oprócz rodziny, dyrekcji I LO im. S. Dubois, było wielu jej przyjaciół, znajomych,



Zofia Witczyńska na boisku I Liceum im. St. Dubois.



nauczycieli, a najwięcej uczniów. Był też Leszek Żyła, przyszedł ze swoją wnuczką. Nikt z nas wówczas obecnych nie myślał, że za miesiąc – już we wrześniu – będzie my właśnie jego ciało składali do grobu na naszym koszalińskim cmentarzu.

Zofia Witczyńska do końca swych dni była żywo zainteresowana tym, co dzieje się w mieście i w szkole. Rozmowy z nią były dużym przeżyciem intelektualnym. Wiele czytała. Na stole i stoliku przy jej fotelu (do którego była „przykuta” od kilkunastu lat; od czasu wypadku bez balkonika nie mogła się poruszać) było wiele czasopism i książek. Śledziła nowości literackie. Pasjonowały ją „Dzienniki 1945-1965” M. Dąbrowskiej i urzekała mądrość tej pisarki. Odkryłem z panią profesor nieznaną czy nie dość znaną Dąbrowską: niezwykle i nietypową w Polsce indywidualność człowieka wrażliwego, myślącego i pełnego niepokoju, intelektualistkę najwyższej miary i wyjątkowego pióra. Pisarka jest w nich przerażona tym, co się w Polsce dzieje, nie żywi złudzeń, ma pewność co do swych racji, a jednak potrafi zachować dystans wobec siebie. Pani profesor prosiła o nowości wydawnicze. Jedną z ostatnich książek, które przeczytała i o której rozmawialiśmy, była opowieść o Tadeuszu Żeleńskim Józefa Hena pt. „Błazen – wielki mąż”. Zawsze interesowali ją, podobnie jak i mnie, ludzie odważni i postępowi, podziwiała Boya. Cieszyła się bardzo z tej książki, którą podarowałem na jej ostatnie w życiu imieniny 15 maja 1999 r. Często wspominała swój rodzinny Pińsk – stolicę Polesia, Wilno i Uniwersytet S. Batorego. Opowiadała o okupacji i najbliższych. Często zadawała mi trudne i uniwersalne pytania i próbowała na nie usłyszeć moje odpowiedzi. Dotyczyły one Boga, śmierci, eutanazji, cierpienia i sensu życia. Mówiliśmy o wizji świata uporządkowanego: katolicyzmie i marksizmie, o osobowości, która wie, co przeżywa, ponieważ to na niej opiera się kultura i demokracja. Były też rozmowy o historii, o dramatach lewicujących intelektualistów, socrealizmie. Wspominaliśmy lektury: Cz. Miłosza „Zniewolony umysł”, J. Trznadla „Hańba domowa”.

Bez książek nie mogłaby żyć, To był jej, a także mój świat. Spędzała przede wszystkim czas z książkami. Czasami oglądała telewizję. Rzadko odwiedzali ją uczniowie i znajomi. Byli jednak tacy, którzy bywali u niej częściej. Nie zapominali o świętach i imieninach. Na święta przyjeżdżał z Warszawy syn Krzysztof z żoną Danutą. Bywali również w Koszalinie w okresie wakacji.

W czasie imienin można było u niej spotkać panią Teresę Korolewicz, Krystynę Słowik, Marię Hamowską (koleżanki z pracy w liceum). Odwiedzali ją często pani Beata Lesińska (jej uczennica i koszalińska adwokatka) a także jej były uczeń nieżyjący już Władek Dziurdź. Te spotkania sprawiały jej dużo radości. Od lat nie wychodziła z domu (mieszkała na V piętrze wieżowca przy Powstańców Wielkopolskich). Nigdy nie chciała mówić o swoim zdrowiu i samotności. Była bardzo dzielna i nie żaliła się na swój los.



Na krótko przed śmiercią pani prof. Zofia Witczyńska przekazała mi swoje wspomnienia. Prosiłem Ją, by je spisała i żebym mógł je ocalić od zapomnienia. Miałem zawsze świadomość, że pamięć umiera wraz z człowiekiem i tylko „człowiek umiera, lecz tekst nie umiera”.³

A oto fragmenty Jej wspomnień:

„... Koszalin – kiedy w kwietniu 1945 r. zapisywaliśmy się w Urzędzie Repatriacyjnym w Wilnie na wyjazd, nie wiedziałam, że takie miasto istnieje. Jako miejsce docelowe wybraliśmy Toruń, tam bowiem nasi przyjaciele, z którymi mieliśmy wyjeżdżać, mieli rodzinę. No, ale trzeba wszystko przedstawić po kolei. W chwili wybuchu wojny byłam absolwentką Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie (Wydział Humanistyczny, kier. filologia polska, mąż mój – absolwent chemii tego Uniwersytetu). W styczniu 1940 r. urodziłam syna... W lipcu 1944 r. wojska radzieckie odebrały Niemcom Wilno... Nowa władza ogłosiła, że Polacy, którzy chcą wyjechać na Zachód, mogą się zgłaszać. Postanowiliśmy to uczynić, zaczęliśmy wyprzedawać nieliczne sprzęty i szykować się do wyjazdu... Po kilku dniach dotarliśmy do Poznania, gdzie był punkt rozdzielczy. Tu dowiedzieliśmy się, że do Polski centralnej może jechać ten, kto ma tam zapewnione mieszkanie, reszta na Ziemie Odzyskane. Dano nam do wyboru – Koszalin i Olsztyn. Ponieważ dowiedzieliśmy się, że Koszalin znajduje się blisko morza, zdecydowaliśmy się jechać do Koszalina...

Do szkoły trafiłam właściwie przypadkowo, choć studia na filologii polskiej USB w Wilnie przygotowywały do tego zawodu. Do Koszalina przyjechaliśmy w lipcu 1945 r. (mąż, 5-letni syn i ja) a w listopadzie rozpoczęłam pracę w Tymczasowym Zarządzie Państwowym. Budynek mego biura mieścił się przy ul. Zwycięstwa, róg Jedności, a tuż obok – Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcące. W marcu 1946 r. przyszedli do mnie dwaj dyrektorzy: J. Laskowski i R. Sierociński i zaproponowali mi pracę nauczycielki... historii w niewielkim wymiarze godzin. Po namyśle propozycję przyjął. R. Sierociński organizował właśnie szkołę dla dorosłych i kompletował grono. Otrzymałam program, parę przedwojennych podręczników, no i musiałam obmyślić plan działania. Nauczanie pociągało mnie i przerażało równocześnie – nie miałam żadnego metodycznego przygotowania, tylko dużo dobrych chęci. W szkole dziennej dostałam 3 klasy – 2 normalne i jedną przyspieszoną (program dwuletni należało zrobić w ciągu roku). Młodzież bardzo zróżnicowana pod względem wieku, pochodzenia, zdolności.

Odniosłam wrażenie, że pierwsze spotkanie z klasą nie było sukcesem. Miałam tremę, mówiłam zbyt cicho, nie umiałam zainteresować przedmiotem, ale postanowiłam pokonać wszystkie trudności. Nawet po tych wielu niezbyt udanych lekcjach czułam, że moje miejsce jest w szkole. I tak się zaczęło. Od września miałam już cały etat jęz. polskiego i wychowawstwo klasy maturalnej

³ Janion Maria, „Czy będziesz wiedział, co przeżyłeś”, Warszawa 1996, s. 68



(b. nielicznej). Bardzo szybko przekonałam się, jaka orka mnie czeka. Nie było lektur, podręczników i pomocy naukowych, tylko kreda i tablica. Młodzież miała ogromne braki. Trzeba było to wszystko nadrobić. Zostawaliśmy po godzinach za obopólną zgodą, powtarzaliśmy materiał klas poprzednich, gramatykę, czytaliśmy krótsze pozycje z lektury (np. „Wesele”). Otrzymałam też polecenie prowadzenia biblioteki (byłam na 2-tygodniowym kursie w Kartuzach). Księgozbiór szkolny, gdy objęłam bibliotekę, składał się ze 118 pozycji zapisanych w zeszycie. Od września 1946 r. przenieśliśmy się do budynku przy ul. Stalingradzkiej, miejsca było dużo. Powstały pracownie: fizyczna i chemiczna zorganizowane przez mego męża, w rok później biologiczna – dzieło prof. Ciszewskiej. Otrzymałam niewielkie pomieszczenie na bibliotekę. Umieściłam tam stare poniemieckie szafy i stoły. Zaczęłam kompletować książki, zamówiłam karty książek, karty katalogowe, karty czytelnicze. Zorganizowałam aktyw biblioteczny. Z Polonii zagranicznej otrzymaliśmy kilkaset pozycji. Przy pomocy młodzieży opracowałam je, oprawiłam i udostępniłam uczniom. Wprowadziłam statystykę wypożyczeń... Lubiłam pracę w bibliotece, z radością przyczyniałam się do jej rozwoju, uczyłam młodzież czytać i szanować książki.





Budynki szkół: LO Dubois, LO Broniewskiego (na ul. Jedności i obecnie przy ul. J. Chęłmońskiego).



Pierwsza matura, w której uczestniczyłam, była wielkim przeżyciem. Nie stosowaliśmy wtedy taryfy ulgowej i z 8 abiturientów zdało tylko 5. Za mało, by urządzać bal maturalny. Do moich obowiązków należało też przygotowywanie części artystycznych na różne okazje. Było to dla mnie wielką przyjemnością. Chciałam dostarczyć rozrywki na odpowiednim poziomie młodzieży i wychowawcom, starałam się o właściwy repertuar. Na pierwszy ogień wzięłam nowelkę Prusa pt. „Nawrócony”. Sama ją przerobiłam na utwór sceniczny. Udało mi się dobrać odpowiednich wykonawców i przedstawienie wypadło dobrze. Uczniowie byli b. zapaleni i sami przygotowywali stroje, dekoracje, oczywiście pod moim kierunkiem.

Zbliżał się rok Mickiewicza i Puszkina, a więc należało przygotować różne imprezy, konkursy, inscenizacje. I to zadanie przypadło mi w udziale. Przeprowadziłam eliminacje w szkole, w wyniku których na konkurs wojewódzki postanowiliśmy wysłać dwoje uczniów. Stefan Dobrowolski przygotował „Redutę” Ordona a Janka Derks fragment „Jeźdźca miedzianego” Puszkina. Pojechali oni do Szczecina – na ich powrót i wyniki oczekiwaliśmy z wielką niecierpliwością. Stefan nie odniósł sukcesów, za to Janka stała się rewelacją: 1 miejsce, występ w radio, zakwalifikowanie do eliminacji ogólnopolskich, gdzie również zajęła 1 miejsce – otrzymała piękny dyplom i komplet dzieł Puszkina.

Na uroczystość szkolną przygotowałam inscenizację ballad Mickiewicza: „Lilie”, „Świtezianka”, II cz. „Dziadów” i fragment III cz. „Dziadów”. Przy pomocy uczniów zdobyłam odpowiednie rekwizyty, nawet trumnę i sutannę księdza. Chłopcy pod kierunkiem Domiszewskiego skomponowali odpowiednie oświetlenie. Całość wypaliła bardzo efektownie. Gdy Janusz Czaplicki jako Konrad wygłaszał „Improwizację” – sala płakała. Przedstawienie powtarzaliśmy kilka razy. Dla rodziców, dla wszystkich chętnych obywateli miasta. Mieliśmy zawsze komplet na widowni i oglądaliśmy wzruszenia na twarzach widzów – to były piękne dni. Pisze się o tym tak łatwo, że ktoś, kto to przeczyta, pomyśli: to było takie proste. Prawda jest inna. Już samo obmyślenie koncepcji widowiska wymagało głębokiego zastanowienia się. A wykonanie? Obecnie trudno sobie nawet wyobrazić, ile trudności trzeba było pokonać, ile godzin prób, zanim się osiągnęło cel. Ile strachu – a może będzie niewypał. A potem satysfakcja: udało się.

Wszystko to odbywało się w wolnym od lekcji czasie. Lekcji nie wolno było zarywać – to żelazna zasada, której się konsekwentnie trzymałam.

Myślę, że w tych czasach takie imprezy były potrzebne. Ludzie byli spragnieni kulturalnej rozrywki i szkoła spełniała wtedy rzeczywiście doniosłą rolę.”



Zenon Kasprzak

*„Najważniejszy w każdym działaniu
jest początek”
Platon*

O pionierach koszalińskiego rzemiosła

I. Oni byli pierwsi

Od kilku lat zacząłem myśleć o tym, że mam do spłacenia dług wobec pionierów koszalińskiego rzemiosła. Uważałem tak nie tylko dlatego, że jednym z nich był mój ojciec (Ludwik), stryj (Władysław) i bracia (Leon i Zdzisław), ale również z tego powodu, że znałem wielu z tych rzemieślników i korzystałem często z ich usług jako dziecko i później przez wiele lat.

Już w 1945 roku kupowałem pieczywo w piekarni na placu Gwiazdzystym u najstarszego rzemieślnika tej branży w Koszalinie, Ignacego Psutego (1886-1952), a później u jego syna Zenona, który w latach siedemdziesiątych prowadził firmę (Z. Gronowski) na ul. Wojska Polskiego 25. (Jakież tam były kolejki po pieczywo!). W pierwszych powojennych latach w mięso i wędliny zaopatrywaliśmy się u Edmunda Kosteckiego (1898-1978) na ul. Gnieźnieńskiej 1 (dziś H. Modrzejewskiej), Stanisława Branieckiego na ul. Gomułki (dziś Konstytucji 3 Maja – budynek wyburzony) czy u Mariana Cichockiego (ur. 1916) na ul. Bieruta 37 (dziś ul. Połczyńska – budynek wyburzony). M. Cichocki później wybudował zakład na ul. Morskiej i sklep wędliniarski przy ul. Połtawskiej. Smakowite wyroby cukiernicze można było nabyć u Józefa Pietraszewskiego (ur. w 1916), który prowadził warsztat i ciastkarnię (Kawiarnię Literacką) na ul. Zwycięstwa 95 (w ocalałym wśród gruzów budynku – dziś mieści się tam sklep „Parkowy”). W 1961 roku – w lepszych czasach dla rzemiosła – J. Pietraszewski wraz z córką Reginą wybudował zakład cukierniczy na ul. Niepodległości (dziś Franciszkańska).

Ubrania szyliśmy u znakomitych krawców, m.in. u Leona Kabata czy Czesława Drużby, który przybył do Koszalina już 27 kwietnia 1945 r. z trzynastoosobową grupą z Gniezna. Prowadził zakłady na Zwycięstwa 108 i Wojska Polskiego 6. Kapelusze zamawiały koszalinianki u Stefanii Bazyli w zakładzie modniarskim



na ul. Zwycięstwa 58. Siatki na zakupy wyrabiał w swoim zakładzie powroźniczym Waclaw Pluta (ur. 1908) z Gniezna.

Koszalinianie robili zdjęcia w zakładach fotograficznych: Kazimierza Nowakowskiego (ur. 1898) (róg Zwycięstwa i Chrobrego – domy wyburzone), Władysława Szczecińskiego (ul. Jana z Kolna 5, a po 1950 r. u p. Solczaka) czy Władysława Helenkiewicza (ur. 1899) na ul. Walki Młodych (obecnie ul. Kard. S. Wyszyńskiego). Zepsute zegarki naprawialiśmy u Józefa Ludyńskiego (ur. w 1890) w zakładzie na ul. Kaszubskiej 2.

J. Ludyński, jako robotnik przymusowy, przebywał w Koszalinie jeszcze przed zakończeniem wojny. Zaraz po wejściu Rosjan do miasta został powołany przez komendanta wojennego Koszalina mjr. Woronkowa do kierowania – do czasu utworzenia polskich organów administracyjnych – przedstawicielstwem do spraw ludności niemieckiej.

Pierwsze zakłady rzemieślnicze w Koszalinie najpierw uruchamiali fachowcy, którzy w czasie wojny trafili na te ziemie jako jeńcy i przymusowi robotnicy. Wśród nich m. in. byli: Jan Ćwik (piekarz), Józef Paczoska (kował), Jerzy Grzeszkiewicz (ślusarz), Józef Ludyński (zegarmistrz).

Jan Ćwik (ur. w 1920 r. w Janowcu pod Żninem) znalazł się w Koszalinie jako jeńiec już w 1939 r. i był robotnikiem przymusowym w gospodarstwie w Jamnie. W pierwszych tygodniach po wojnie jako pracownik wojskowy prowadził piekarnię i wypiekał chleb dla żołnierzy i pierwszych mieszkańców. Później przejął zakład na własność i prowadził firmę na ul. Zwycięstwa 34. Przez wiele lat pracy wyszkolił w mieście 20 piekarzy. Pełnił funkcję sekretarza Cechu. Zmarł w 1971 r., a po nim firmę prowadziła żona Krystyna.

Po wojnie w Koszalinie na ul. Zwycięstwa 27 – ślusarstwo precyzyjne prowadził Jerzy Grzeszkiewicz, współwłaściciel firmy „Dotog”, ur. w 1912 r. w Ciechoćniku, rzemieślnik od 1935 r. W Koszalinie przebywał w obozie pracy od 1940 roku i jako robotnik przymusowy pracował niewolniczo u K. Scheifera w Zakładzie Maszyn Rolniczych (powojenny zakład Koszalińskiej Fabryki Części Samochodowych – później KZNS).

Znanym kowalem i organizatorem rzemiosła był J. Paczoska (1910-1965). Przebywał on na robotach przymusowych w Strzepowie pod Białogardem i po wojnie w Koszalinie prowadził znany zakład kowalski na ul. Bolesława Krzywoustego (niedaleko katedry). Podobno w tym miejscu była przed wojną szkoła podkuwaczy. Przechodząc ulicą Zwycięstwa, już z daleka można było dostrzec wielki koński łeb ze 148 złutowanych kawałków metali reklamujący ten zakład. J. Paczoska był bardzo aktywnym działaczem cechowym i przez wiele lat, często bardzo trudnych dla rzemiosła, pełnił funkcję starszego Cechu (1950-1956 i 1959-1965). Już w 1946 r. uczył się u niego zawodu Edward Kraszewski, który



egzamin na mistrza zdawał w Słupsku, ale mistrzowską „sztukę” – siekierę i kowalskie kleszcze wykonał w Koszalinie w kuźni u swego wuja. Po jego śmierci przejął zakład, by po dwudziestu paru latach pracy przenieść się z ul. Bolesława Krzywoustego w pobliże skrzyżowania ul. Połczyńskiej z ul. Gnieźnieńską, gdzie tylko okute żelazem drewniane koło od wozu nad drzwiami firmy przypominało o kowalskiej przeszłości. Był ostatnim kowalem w Koszalinie. Od zawsze zajmował się – prócz drobnych prac kowalskich – okuwaniem wozów i platform dwukonnych oraz naprawą resorów. Ostatniego konia podkuł E. Kraszewski, kiedy opiekował się zwierzętami w klubie „Hubertus” przy POHZ Mścice.

Możemy dziś powiedzieć, że kowale „umarli” razem z kołodziejami i bednarzami, ale jeszcze w pierwszych latach po wojnie rzemiosło kowalskie kwitło w mieście i w okolicznych wsiach.

Obok J. Paczosi było kilku innych kowali, m.in. Maksymilian Sędłak (ur. w 1919), który przybył do Koszalina 10 V 1945 r. z Gniezna i uruchomił warsztat. (W 1976 r. wybudował nowy zakład na ul. Brzozowej). Przez 25 lat był członkiem komisji egzaminacyjnej kowali. W trudnych czasach dla rzemiosła był współorganizatorem Spółdzielni Rzemieślniczej w Koszalinie (1953). To on wykonał prace kowalskie do zamontowania zegara na nowym koszalińskim Ratuszu (1970).

Kowal Michał Gorączkowski (ur. 1891) pochodził z Wileńszczyzny, przybył do Koszalina w 1945 r. i miał zakład na Rokosowie (wówczas wsi). W 1947 pełnił funkcję starszego Cechu Kowali i Ślusarzy. To jego dziełem jest aureola dla figury Matki Boskiej stojącej do dziś w Rokosowie.

Seniorem kowalstwa w Koszalinie był Władysław Średzki. Inni kowale to Z. Mikuła czy F. Bosacki (kuźnie w Niekłonicach).

To właśnie ci i inni – nie wymienieni tu – rzemieślnicy, kowale i metalowcy, naprawiając zdewastowane pługi i maszyny rolnicze, przyczynili się do zaorania i uprawy ziemi, która miała karmić. Koszalińscy rymarze: Ludwik Kasprzak (1899-1969) z Niechanowa pod Gnieznem i Feliks Sander (zm. 1988) z Gniezna, mający swoje warsztaty na ul. 1 Maja 18 i 1 Maja 24 naprawiali zniszczoną uprzęż od gospodarzy i z okolicznych majątków administrowanych przez Polaków. Osadnicy potrzebowali uprzęży dla koni, bez niej nie mogli pracować na roli. Rolnicy musieli obsiać tysiące hektarów, inaczej ludności groziłby głód.

W Polsce po zakończeniu wyniszczającej wszystko i wszystkich wojny panowała niezwykle poważna sytuacja aprowizacyjna. Ogromny przecież spadek produkcji rolnej i wytwórczości podstawowych artykułów spowodował niedobór produktów pierwszej potrzeby – wszystkiego brakowało. Powszechny brak artykułów tylko w części łagodzony był przez dostawy UNRA (np. m.in. koni). Władza była zmuszona do utrzymania reglamentacji. Zaopatrzeniem kartkowym objęto kilkanaście milionów osób. Normy kartkowe były dość niskie.



Jak podają źródła historyczne, w połowie 1947 r. z kartek korzystało 7 mln osób. Na początku 1948 r. zniesiono reglamentację ziemniaków, cukru, w styczniu 1949 – większości pozostałych artykułów. To przede wszystkim inicjatywa prywatna w handlu i drobnej wytwórczości reagowała na brak równowagi rynkowej wzmożoną efektywnością produkcji, dążąc do wypełnienia luk w usługach i zaopatrzeniu.

W licznych sprawozdaniach Zarządu Miejskiego w Koszalinie z lat 1945, 1946 czytamy o bardzo trudnej sytuacji aprowizacyjnej mieszkańców i związanym z nią systemie kartkowym. Ów system poważnie „kulał”. Bywało tak, że prócz sporadycznych przydziałów chleba i bardzo rzadkich mięsa ludność miejscowa nie otrzymywała prawie żadnych przydziałów. Najczęściej nie było pokrycia towarowego, występowały braki w dostawach. Stan dostaw mleka na kartki był katastrofalny. Często sprzedawano mleko skwaszone i o niskiej zawartości tłuszczu. Bywały sytuacje, że przez dwa – trzy dni z rzędu koszalińskie dzieci były pozbawione mleka. Wolny rynek był wprawdzie dobrze zaopatrzony w różnego rodzaju wiktuały, jednak dysproporcje cen w stosunku do zarobków pracujących nie pozwalał im zaopatrywać się w żywność na wolnym rynku. Najbardziej odczuwano braki tłuszczu. Kiedy ograniczono prywatnym rzeźnikom prawo uboju zwierząt, ceny na mięso w styczniu 1946 bardzo wzrosły. W sprawozdaniu sytuacyjnym Zarządu Miejskiego za miesiąc styczeń 1946 r. czytamy: „W związku

¹ Sprawozdania sytuacyjne Zarządu Miejskiego za okres 5 X do 5 XI 1945, I 1946. Państwowe Archiwum w Koszalinie

z ostatnim zarządzeniem ograniczającym zezwolenie na ubój zwierząt rzeźnych, ceny na mięso bardzo zwyżkowały, a nawet ostatnio w ciągu dwóch tygodni wszystkie skupy rzeźnicze były zamknięte z braku mięsa”¹.

W sprawozdaniach z działalności Referatu Przemysłowego Zarządu Miejskiego z 1946 r. dowiadujemy się o wydawaniu coraz większej liczby kart rzemieślniczych (18) i opracowywaniu kartoteki rzemiosła. Zarząd Miejski pilnował, żeby rzemieślnicy byli zarejestrowani i przeprowadzał lustrację warsztatów. Na tych, u których stwierdzono wykonywanie rzemiosła bez posiadanej karty, nakładano kary.

II. Nie wypędzeni ze swej ziemi, ale zwłásnej woli...

Do Koszalina i powiatu przybywali rzemieślnicy z Gniezna, Poznania, Bydgoszczy i z okolic tych miast. Pierwsza grupa rzemieślników przybyła już 27 kwietnia z Bydgoszczy i województwa pomorskiego. Wśród nich m.in. byli znani z późniejszej fachowości i działalności cechowej: Henryk Roszak – stolarz, Alojzy Lamęcki – malarz, Kazimierz Kulik – elektryk, Ludwik Wójcik – piekarz, Czesław Druźba – krawiec, Kazimierz Budny – rzeźnik...



Największa grupa rzemieślników dotarła do Koszalina i okolic 9 maja 1945. W tej większej zorganizowanej ekipie było około 500 osób a wśród nich kilkudziesięciu rzemieślników. Należy tu przypomnieć, że w zapoczątkowanym osadnictwie największy udział miał prastary gród Lecha – miasto Gniezno, które przyjęło nad Koszalinem tzw. patronat, pomagając mu w zorganizowaniu administracji, handlu, rzemiosła, szkolnictwa, służb komunalnych. Stamtąd przyjechał Edmund Dobrzycki (ur. w Żydowie pod Gnieznem), który został pełnomocnikiem rządu na obwód Koszalin (starosta), Stanisław Jakubowski – pierwszy burmistrz polskiego Koszalina, Klaudiusz Górski – pierwszy inspektor szkolny, Edward Pikutowski – matematyk, organizator oświaty i wielu, wielu innych. „O udziale Gniezna w organizowaniu życia polskiego w Koszalinie świadczy skład pracowników Zarządu Miejskiego. Według wykazu z dnia 15 czerwca 1945 r. zachowanego w Archiwum Państwowym w Koszalinie, na 68 pracowników aż 57 mieszkało poprzednio w Gnieźnie lub jego okolicach, 5 w innych powiatach województwa poznańskiego, a tylko 6 pochodziło z innych województw”².

² T. Gasztold, A. Muszyński, H. Rybicki, *Koszalin, Zarys dziejów*, Poznań 1974, s. 135

Całkiem nieprzypadkowo wylotowa ulica z Koszalina w kierunku Poznania już w 1945 r. otrzymała nazwę Gnieźnieńskiej. Przez wiele lat później nosiła nazwę P. Findera, a jej odcinek od placu Gwiazdzigiego nosi dziś nazwę H. Modrzejewskiej, być może dlatego, że tam znajduje się siedziba Bałtyckiego Teatru im. J. Słowackiego.

Spośród przybyłych 9 V 1945 r. do Koszalina rzemieślników można wymienić m.in. Stanisława Branieckiego, Edmunda Kostenckiego, W. Bieniarę (rzeźnicy), Kazimierza Słomowicza, Józefa Pietraszewskiego, S. Mecheckiego, W. Rzewskiego, Czesława Mikołajczaka (piekarze), Mariana i Zygmunta Braciszewskich (szklarze), Kazimierza Basińskiego, Wincentego Frąckowiaka, E. Nowaka (stolarze), St. Nowaka, Stanisława Bąkowskiego (ślusarze), J. Rzyckiego (fryzjer), E. Antkowiaka, Kazimierza Habeckiego (malarze). W następnych dniach i tygodniach 1945 r. przybyli z Gniezna i okolic: Ludwik Kasprzak, Feliks Sander (rymarze), Maksymilian Sędlak, M. Gorączkowski, E. Bosacki (kowale), Józef Nowak, Marian Cichocki (rzeźnicy), Ignacy Psuty (piekarz), Czesław Dziel (ślusarz), A. Breliński, Feliks Biskupski, E. Banaszak (elektrycy), G. Wilk, J. Gawrych (szewcy).

Ta grupa rzemieślników zdecydowała o rzemiośle w Koszalinie. Znaleźli się w niej znani później ze swojej pracy i fachowości działacze cechowi, nauczyciele rzemiosła, zacni obywatele, którzy mieszkali w tym mieście aż do śmierci. Przyjechali do Koszalina nie wypędzeni ze swojej ziemi, ale z własnej woli, potrzeby służby, pracy na ziemi, którą mieli zagospodarować – przywrócić Koszalin Polsce. Najliczniejszą grupą rzemieślników, którzy przyjechali na apel Polskiego



Związku Zachodniego w pierwszych miesiącach po wyzwoleniu, stanowili m.in. piekarze – cukiernicy, rzeźnicy, fryzjerzy, krawcy, kowale – metalowcy, elektrycy instalatorzy – osoby najbardziej przydatne, by odrodzić i uruchomić życie w zniszczonym mieście.

Ilekoć życie z jakiejś przyczyny straci swój rytm lub, co gorsza, rytm ten zostanie brutalnie zakłócony przez wojnę, odzyskuje go dzięki rzemieślnikom, bo efekty ich pracy są najbardziej pożądane. To życie w Koszalinie mogło się rozpocząć dzięki temu, że rzemieślnik piekarz – zaczął wypiekać pierwszy chleb, rzeźnik dostarczał mięso i wędliny, rzemieślnik budowlaniec, stolarz, metalowiec, szklarz, malarz, elektryk i instalator remontował pierwsze domy, zakłady, obiekty komunalne i administracji publicznej. Pionierzy – rzemieślnicy objęli w posiadanie najczęściej opuszczone i zdewastowane warsztaty i lokale. Pokonując wiele trudności, wkładając sporo wysiłku, wykazując się zaradnością, tworzyli początki życia gospodarczego. Zniszczenia wojenne i celowa dewastacja obiektów przez byłych właścicieli – Niemców, a także szabrownictwo tuż powojennego czasu poczyniły poważne szkody w istniejących warsztatach i lokalach. Pierwsze zakłady działały w bardzo trudnych warunkach (braki w wyposażeniu w narzędzia, maszyny, surowce do produkcji). Piekarnie i zakłady rzeźnicze uruchomiono

³ H. Rybicki, B. Zdrojewska, E.Z. Zdrojewski, *Koszalin, Rozwój miasta w Polsce Ludowej*, Poznań 1985, s.88

w oparciu o istniejące dawniej firmy tej branży, których w mieście była znaczna ilość (piekarni 19, zakładów masarskich wraz ze sklepami 21). Pionierzy „do lipca 1945 uruchomili 14 zakładów piekarniczych i 12 masarniczych”³. W niektórych warsztatach przebywali jeszcze właściciele Niemcy (np. w stolarni p. Roszaka na ul. 1 Maja 26). Zarząd Miejski chętnie przekazywał nadzorowane lokale, a Urząd Likwidacyjny zabezpieczał urządzenia wydzierzawiane rzemieślnikom, za które musieli później zapłacić Skarbowi Państwa. Dokumenty stwierdzające nabycie od Ministerstwa Ziem Odzyskanych – na własność mebli, urządzeń warsztatowych i sklepowych, i uregulowanie za nie wszystkich należności przypadających Skarbowi Państwa z tytułu przejęcia poniemieckich remanentów towarowych można dziś spotkać w zbiorach prywatnych i w Muzeum w Koszalinie.

Należy podkreślić, że zabezpieczenie mienia i odbudowa gospodarki miejskiej Koszalina, a także zapewnienie podstawowych warunków egzystencji i bytu materialnego było dziełem rzemieślników – pionierów. To oni uruchamiali zakłady użyteczności publicznej i produkcyjnej. Przyczynili się do uruchomienia i sprawnego działania gazowni, instalacji wodno-kanalizacyjnej i elektrycznej, funkcjonowania zakładów i różnych sklepów i warsztatów: piekarniczych, rzeźniczych, szewskich, krawieckich, fryzjerskich, stolarskich, ślusarskich, kowalskich, szklarskich, zegarmistrzowskich, fotograficznych. Prowadzono też w tym czasie (w latach 1946-48) zakłady cholewkarskie (Wincenty Brzeski i Leon Choleżyński), farbowanie i che-



miczne czyszczenie (Bronisław Nawrocki ul. 1 Maja 2), tkackie (Tadeusz Thiel ul. Limanowskiego 15), rymarskie (Ludwik Kasprzak i Feliks Sander ul. 1 Maja 18 i 1 Maja 22), powroźnicze (Wacław Pluta – najpierw ul. Młyńska 31, później 1 Maja 16), introligatorskie (Franciszek Ziębikiewicz ul. Armii Czerwonej 24), modniarstwo (Stefania Bazyli ul. Zwycięstwa 58), bieliźniarstwo (Anastazja Gensler ul. 1 Maja 14), wulkanizatorstwo (Władysław Żukowski ul. Hibnera). Były też w mieście zakłady bednarskie (Paweł Szczerbik ul. Rzeczna 3), zduńskie (Marian Świtalski ul. Gnieźnieńska 3), dekarские (Bolesław Retecki ul. Bogusława II 23), kominiarskie (F. Musielak, S. Żołądkowski, F. Kaszyński).

Już w 1946 r. na gruzach miasta niektórzy rzemieślnicy budowali skromne lokale, głównie w centrum. Uruchomili sklepy do sprzedaży wyrobów wędliniarskich (np. Marian Cichocki w Rynku) czy cukierniczo-piekarniczych. Na ul. Zwycięstwa wśród ruin uruchamiano warsztaty i „kramy”, w których wytwarzali i sprzedawali swoje wyroby i świadczyli usługi. Po 1950 r. prowizorycznie pobudowane lub odremontowane lokale rzemieślnicze zostały zlikwidowane (czasy represji wobec tzw. prywaciarzy), a następnie rozebrane w ramach odgruzowywania miasta.

W 1950 r. przeprowadzono wymianę pieniędzy, która ograbiła społeczeństwo z dwóch trzecich gotówki. Ta wymiana uderzyła szczególnie w prywatną inicjatywę. Wielu ludzi, tracąc swoje oszczędności, przeżywało tragedię. Nie było pieniędzy na zakup surowca i materiałów do produkcji. Coraz trudniej było prowadzić zakłady rzemieślnicze. Nowy system świadomie zmierzał do ich ruiny, eliminował gospodarkę prywatną, nakładając na warsztaty rzemieślnicze wysokie podatki i tzw. domiary, utrudniając dostęp do surowców. Np. rzeźnicy mogli kupować zwierzęta na ubój tylko w promieniu 10 km od Koszalina. Rymarze nie otrzymywali żadnych przydziałów skóry. Cechą charakterystyczną lat 1949-56 było to, że większość warsztatów prywatnych w Koszalinie i w powiecie przestała istnieć, pozostały tylko pojedyncze. Władza administracyjna, stosując środki represji i przymus wobec rzemieślników, spowodowała likwidację warsztatów, rekwirując lokale, a także wyposażenie dla potrzeb sektora uspołecznionego, przekazując najczęściej cały majątek rzemieślników do powstających z konieczności spółdzielni pracy. Należy przypomnieć, że „pod koniec 1945 r. w mieście było czynnych 120 zakładów prywatnych – piekarni, cukierni, warsztatów murarskich, fryzjerskich, krawieckich, zegarmistrzowskich, stolarskich, kowalskich. Organizowali je przeważnie mistrzowie i czeladnicy przybyli z pierwszymi grupami osadników z Gniezna”⁴.

W roku 1950 nie było w Koszalinie już żadnego prywatnego zakładu rzeźniczo-wędliniarskiego, z wyjątkiem masarni Mariana Cichockiego. Ostatecznie i on został zmuszony do jej likwidacji w 1952 r., aby następnie jako jeden z pierwszych uruchomić zakład ponownie po tzw. polskim

⁴ T. Gasztold, A. Muszyński, H. Rybicki, *Koszalin, Zarys dziejów*, Poznań 1974, s. 144-145



październiku 1956 r. Wybudował wówczas sklep na ul. Połtawskiej, a masarnię i własny dom na ul. Morskiej 38. Stanisław Braniecki – właściciel masarni i sklepu z ul. Gomułki (dziś Konstytucji 3 Maja) – został pracownikiem najemnym w swoim zakładzie (powierzono mu funkcję kierowniczą). Edmund Kostencki z ul. Gnieźnieńskiej 1 zlikwidował zakład masarniczy w 1950 r. i podjął pracę w masarni MHD, a później WSS w Koszalinie. Inni prywatni rzeźnicy zmuszeni do likwidacji własnych warsztatów przechodzili do pracy w Zakładach Mięsnych, Spółdzielni PSS „Pionier” lub do Konsumów.

Przestały istnieć w Koszalinie prawie wszystkie prywatne piekarnie z wyjątkiem firmy Ignacego Psutego na placu Gwiazdzystym i Leona Dominiaka na ul. Młyńskiej 48. Znany piekarz Kazimierz Słomowicz został pracownikiem zarządzającym w swoim zakładzie, który już do niego nie należał. Piekarz Jan Ćwik został aresztowany za dostarczenie na kolonię letnią ciepłego chleba, który w transporcie się pognił. Kiedy przebywał w kilkudniowym areszcie, zabrano mu piekarnię i sklep. Henrykowi Roszakowi odebrano dobrze prosperujący warsztat na ul. 1 Maja 26 (dziś w tym miejscu jest pasaż Milenium) a dano w zamian mały na ul. Brackiej (dziś ul. Bogusława II), do którego wchodziło się po schodach podobnych do drabiny. Rodzinę rzemieślnika przesiedlono do suteryny przy ul. Bolesława Krzywoustego 3.

Fryzjerzy musieli oddać swoje zakłady i podjąć pracę w Spółdzielni Fryzjerów. Np. Józef Rzyski (ur. w 1910) – pierwszy koszaliński fryzjer, który po przyjeździe z Gniezna prowadził swój zakład w latach 1945-1950, przeszedł do spółdzielczości i tam pracował aż do odejścia na emeryturę w 1973 r. Był on od 1938 r. mistrzem fryzjerskim, a w swoim zawodzie pracował w Gnieźnie od r. 1927. Inny koszaliński fryzjer Florian Suchy (kombatant) prowadził swój zakład od r. 1946 na placu Gwiazdzystym nr 7 i mimo wielu trudności utrzymał go w swoich rękach. Do dzisiaj zakład jest w tym samym miejscu, prowadzi go żona dawnego właściciela p. Krystyna.

W tamtych latach zostały zlikwidowane prawie wszystkie prywatne zakłady ślusarsko-mechaniczne, a w ich miejsce powstały upaństwowione punkty usługowe różnych branż metalowych (dużą ilość w ogóle zlikwidowano). W 1948 swój zakład zamknął zegarmistrz Józef Ludyński. Prowadził jeszcze zakład zegarmistrzowski Maksymilian Lijewski na ul. Zwycięstwa 160. Jego dziełem jest zegar zawieszony na koszalińskim Ratuszu.

Po 1951 r., kiedy zaczęły wchodzić w życie ostre przepisy stalinowskie, które w rezultacie w ciągu paru lat zlikwidowały sektor prywatny, rymarz – tapicer Ludwik Kasprzak zmuszony był zamknąć swój rodzinny warsztat oraz sklep i oddać nieodpłatnie swój majątek (sklep, wyposażenie w maszyny i narzędzia) do założonej przez siebie, syna Leona, Feliksa Sandra i kilku innych rzemieślników



branży skórzanej „Spółdzielni Pracy Rymarsko-Tapicerskiej”, która mieściła się w podwórzu na ul. 1 Maja 20-24. Z właściciela firmy (zgodnie z praktyką władz administracyjno-politycznych) stał się zwyczajnym wyrobnikiem, zaś jego uczeń w zawodzie rymarskim – Bogumił Graj wkrótce został powołany na jej prezesa.

Spółdzielnia ta istniała kilkadziesiąt lat w Koszalinie, zmieniając przez ten czas nazwy i miejsca, znajdując się nawet w stanie upadłości, łącząc się z innymi zakładami branży skórzanej, np. z przeżywającą poważne trudności, a założoną już w 1946 r. Spółdzielnią Pracy Szewców „Dobry But”. W latach osiemdziesiątych nazywała się Wojewódzką Spółdzielnią Przemysłu Skózanego. Mieściła się na ul. Gnieźnieńskiej 43 (na tyłach dzisiejszej firmy p. Dudojcia, którego ojciec też był pionierem w branży samochodowej). Tam, na Gnieźnieńskiej 43 był duży zakład usługowy, którym przez wiele lat – aż do przejścia na emeryturę w 1982 r. – kierował Leon Kasprzak (kombatant) – współzałożyciel Spółdzielni w r. 1951. Odchodzącemu na emeryturę w 1982 władze spółdzielcze nie chciały zaliczyć 3 lat pracy w warsztacie ojca, ponieważ była to firma prywatna i rodzinna. Bardzo przeżywał te kłopoty. Dopiero Sąd rozstrzygnął sprawę na jego korzyść i L. Kasprzak otrzymał nagrodę jubileuszową po 35 latach pracy.

Z inicjatywy działaczy rzemieślniczych, w celu obrony przed likwidacją warsztatów pracy, powstała spółdzielnia rzemieślnicza o nazwie „Pomocnicza Spółdzielnia Usług Remontowo-Budowlanych” w Koszalinie – świadcząca usługi stolarsko-budowlane, murarskie, malarskie, szklarskie, hydrauliczne, elektryczne, zduńskie, dekarstwo-błacharskie i kowalskie. Zebranie założycielskie tej spółdzielni odbyło się 17 III 1953 a wpisano ją do rejestru sądowego 18 V 1953 r. Wśród 12 członków założycieli byli m.in. Henryk Roszak – stolarz, Józef Paczoska (kował), Florian Gast (elektryk), Stanisław Breliński – malarz, Władysław Średzki (kował), Leon Larek, Marian Braciszewski (szklarze). Spółdzielnia ta pod koniec 1956 r. zrzeszała 58 rzemieślników, a w r. 1975 liczyła 86 członków. W r. 1986 miała ich już 320.

W lepszych czasach dla rzemiosła, bo 8 lutego 1958 r. powstała w Koszalinie „Rzemieślnicza Spółdzielnia Wielobranżowa”. Została wpisana do rejestru sądowego 27 VI 1958 r. pod nazwą Rzemieślnicza Spółdzielnia Zaopatrzenia i Zbytu „Wielobranżowa” w Koszalinie. Założyła ją grupa 11 rzemieślników. Zrzeszała w 1958 r. 40 członków, a w latach siedemdziesiątych, w r. 1972 – 138 członków. W r. 1971 spółdzielcy wybudowali istniejący do dziś dom handlowy „Feniks” na ul. Połtawskiej. Można jeszcze przypomnieć, że w Koszalinie już w r. 1945 powstała Koszalińska Pierwsza Zachodniopomorska Spółdzielnia Pracy Mechaników Samochodowych.

W latach 1950-1956 około 70% majątku prywatnego rzemiosła przeszło do spółdzielczości pracy lub pod zarząd przemysłu terenowego. Dopiero po 1956



roku udało się niektórym właścicielom odzyskać lokal i wyposażenie techniczne. Już jednak wielu rzemieślników, złamanych polityką byłych władz, nie wróciło do prywatnego rzemiosła, choć była pewna grupa, która zdecydowała się otworzyć własne firmy. Po 1960 zaczęto budować nowe zakłady rzemieślnicze w Koszalinie i w okolicach. Do 1970 r. wybudowano ich około 34 – różnych branż. Najczęściej budowano warsztaty rzemieślnicze na ul. Kaszubskiej, 1 Maja, Wojska Polskiego, Poławskiej i Bohaterów Warszawy (warsztaty samochodowe). Często z warsztatami budowano domy mieszkalne. I tak w tych latach powstał m.in. zakład rzeźniczo-wędliniarski M. Cichockiego na ul. Morskiej, piekarniczy Zenona Gronowskiego (syna J. Psutego) na ul. Wojska Polskiego, samochodowy Kazimierza Mojsiuka na ul. Zielonej, cukierniczy Józefa Pietraszewskiego na ul. Niepodległości (dziś Franciszkańska), samochodowy Telesfora Klockowskiego na ul. Kasprowicza, cukierniczy – Ryszarda Kaliszczaka – 1 Maja.

III. Organizacja rzemiosła

Zaraz po przybyciu do Koszalina w 1945 r. rzemieślnicy zaczynają samorzutnie organizować swój samorząd. Rozpoczynają działalność niektóre cechy: Piekarzy i Cukierników, Rzeźników i Wędliniarzy, Stolarzy. Ten ostatni obejmował również kołodziejów i bednarzy. Pierwsze ogólne zebranie koszalińskich rzemieślników odbyło się w dniu 29 października 1945 r. w lokalu przy ul. Armii Czerwonej 42/44 (dziś ul. J. Piłsudskiego), w budynku, który później zwano „Domem Rzemiosła”. Uczestniczyło w nim trzydziestu rzemieślników różnych branż a także dyrektor Izby Rzemieślniczej na Pomorze Zachodnie E. Namysł i z-ca Pełnomocnika Rządu na obwód Koszalin Jankowski. Na zebraniu omówiono sprawy organizacyjne, przynależności do Izby i cechów branżowych, zagadnienia szkoleniowe, rejestracji uczniów i przeprowadzania egzaminów czeladniczych i mistrzowskich. Zakomunikowano zebranym wówczas, że na Ziemiach Odzyskanych w drodze wyjątku cech może liczyć 30 członków, a na pozostałych powinien zrzeszać 50. Na zebraniu tym powołano również komitety założycielskie innych cechów branżowych, m.in. kominiarskie, krawieckie, szewskie, ślusarskie, fryzjerskie. Wybrano też reprezentującego wszystkie koszalińskie cechy delegata do Izby Rzemieślniczej na Pomorze Zachodnie w Szczecinie. Został nim piekarz Kazimierz Słomowicz.

W grudniu 1945 r. powstaje w Koszalinie Powiatowy Związek Cechów. (W dniu 19 XII powołano Biuro Powiatowego Związku Cechów w Koszalinie z siedzibą na ul. Armii Czerwonej 42/44). Prezesem zarządu PZC został Ludwik Wójcik (piekarz), zastępcą prezesa Kazimierz Kulik – elektryk,



a skarbnikiem Henryk Roszak (stolarz). Kierownikiem biura został Izidor Czosnowski.

W latach 1946-1947 nastąpił dalszy napływ rzemieślników do Koszalina i okolic z Kresów i różnych rejonów Polski. Nastąpił rozwój organizacji cechowych. Poza już wymienionymi zaczynają działać następujące Cechy: Ślusarzy i Kowali (obejmujący również kotlarzy, tokarzy, mechaników), starszy Cechu to Edward Lijewski; Szewców i Cholewkarzy – st. Cechu Piechowiak, a później W. Młot; Fryzjerów – st. Cechu Wincenty Jóźwiak; Malarzy (obejmujący również lakierników i szklarzy) – st. Cechu Alojzy Lamęcki; Krawców (obejmujący bieliźniarzy, czapników, kapeluszników, szciotkarzy i powroźników) – st. Cechu Leon Kabat; Elektryków (obejmował również rzemieślników z pow. Białogard, Kołobrzeg i Koszalin) – st. Cechu Kazimierz Kulik. Od roku 1947 koszalińskie cechy obejmowały również rzemieślników z okolicznych gmin: Będzino, Biesiekierz, Bobolice, Mielno, Sianów, Świeszyno. Na koniec 31 XII 1947 r. na naszym terenie było 48 piekarni i cukierni, 30 zakładów rzeźniczych, 33 zakładów szewskich, 20 zakładów fryzjerskich, 14 krawieckich, 7 zegarmistrzowskich i 6 fotograficznych. Na koniec 1948 r. zarejestrowane były w tutejszych cechach branżowych 253 zakłady rzemieślnicze. Większość warsztatów była zrzeszona w poszczególnych cechach branżowych od 1946 r., chociaż do 1948 nie było obowiązku przynależności do cechu. Unikalne zakłady rzemieślnicze były zrzeszone w cechach wojewódzkich lub rejonowych, które mieściły się poza Koszalinem (Szczecin, Kołobrzeg, Darłowo)⁵.

⁵ Informacje o organizacji rzemiosła i cechach zaczerpnąłem z *Kroniki dziejów rzemiosła*, oprac. Kazimierz Szutowicz, Cech Rzemiosł Różnych w Koszalinie.

IV. Koszalińskie cechy

1. Cech Piekarzy i Cukierników

Cech powołano 26 lipca 1945 r. w mieszkaniu Czesława Mikołajczyka – piekarza i późniejszego dwukrotnego burmistrza Koszalina w latach 1946-1947. Przybył on do Koszalina z Witkowa pod Gnieznem i tu prowadził piekarnię na ul. Harcerskiej 19. Był drugim burmistrzem Koszalina po odejściu ze stanowiska Stanisława Jakubowskiego. Na początku cech zrzeszał 24 członków, a starszym Cechu został Ludwik Wójcik, który prowadził piekarnię najpierw na ul. Hibnera a następnie na Armii Czerwonej (obecnie ul. J. Piłsudskiego), później mieściła się tam znana wszystkim „Piekarnia Drzewiańska” (od r. 1976). To tam stało się w kolejkach po pyszny chleb czy chrupiące bułeczki, wypiekane przez Wacława Chodkowskiego. Później i ta piekarnia została



zburzona w związku z budową obwodnicy śródmiejskiej. Właściciel przeniósł swój zakład na ul. Zwycięstwa.

O panu Ludwiku Wójciku mówiło się, że był ojcem koszalińskiego rzemiosła. Sprawował on funkcję prezesa Powiatowego Związku Cechów w Koszalinie od chwili jego powstania 19 grudnia 1945 r. do 1948, następnie zaś prezesował Okręgowemu Związkowi Cechów w latach 1948-1952.

Piekarze i cukiernicy, za zgodą Izby Rzemieślniczej w Szczecinie, powołali od chwili powstania Cechu Komisję Egzaminacyjną, która już 21 stycznia 1946 przeprowadziła egzaminy na tytuły mistrzowskie i czeladnicze w zawodzie piekarz (26), cukiernik (4).

Od 1947 starszym Cechu został Kazimierz Słomowicz – piekarz (ur. w Gnieźnie 1895 – zmarł w Koszalinie w 1973), prowadzący od maja 1945 r. własną piekarnię w Koszalinie. Dostarczał chleb dla więziennictwa i Starostwa (stołówki).

Już w 1945 Cech Piekarzy i Cukierników miał swój własny sztandar (tzw. „poniemiecki”), a następny, nowy – został wykonany dla nich w 1947 r. Piekarze obchodzili uroczystości cechowe każdego roku w Zielone Świąta, uczestnicząc w pochodzie ulicami miasta do kościoła i biorąc udział w mszy świętej. Wieczorem bawili się na „Strzelnicy” (dziś stoi tam amfiteatr). Nadeszły trudne czasy dla samorządu piekarzy. W sierpniu 1948 decyzją wojewody szczecińskiego rozwiązano samorządny Zarząd Cechu, który liczył wówczas 45 członków (16 członków w terenie, m.in. w Będzinie, Biesiekierzu, Bobolicach, Dobrzycy, Mielnie, Niedalinie, Szczeglinie) i powołano w to miejsce Zarząd Komisaryczny, by decyzją wojewody szczecińskiego z dnia 18 kwietnia 1950 r. włączyć Cech Piekarzy i Cukierników do powstałego Cechu Piekarzy, Młynarzy i Cukierników z komisarycznym zarządem.

2. Cech Stolarzy

Cech powołano we wrześniu 1945 r. na zebraniu w prywatnym mieszkaniu stolarza Henryka Roszaka przy ul. 1 Maja 26 (dom wyburzony, w tym miejscu jest pasaż Milenium). Uczestniczyło w spotkaniu 11 rzemieślników (stolarze, bednarze, kołodzieje). Powołano zarząd, a starszym cechu został gospodarz zebrania (ur. w 1901), rzemieślnik od 1922 r. Przez wiele lat H. Roszak pełnił tę funkcję, a później po Ludwiku Wójciku został przewodniczącym Okręgowego Związku Cechów w Koszalinie w latach 1952-1954. W trudnych latach dyskryminacji rzemiosła w r. 1953 był współzałożycielem i przewodniczącym Rady Nadzorczej Spółdzielni Remontowo-Budowlanej. W latach 1946-1948 do cechu należało 13 stolarzy i 5 kołodziejów. Znaczna ilość członków prowadziła warsztaty poza Koszalinem, m.in. w Sianowie, Sarbinowie, Dobrzycy, Chłopach, Śmiechowie i w Mści-



cach. Wielu z nich kształciło uczniów, którym kwalifikacje przyznawała powołana przez Cech komisja egzaminacyjna, a przewodniczył jej H. Roszak. W sierpniu 1948 rozwiązano cech i powołano nowy, z komisarycznym zarządem.

Do cechu włączono oprócz stolarzy takie zawody, jak: koszykarstwo, modelarstwo, pozłotnictwo, szkutnictwo. Terenem działania cechu były powiaty: koszaliński, białogardzki i kołobrzeski. W cechu było zrzeszonych 43 członków (Białogard 17, Kołobrzeg 11, Koszalin 15).

Z dniem 15 V 1950 r. decyzją wojewody szczecińskiego Cech Stolarzy włączono do Zjednoczonego Cechu Rzemiosł Budowlanych i Drzewnych i w powołanym komisarycznym zarządzie st. cechu został H. Roszak, a podstarszym koszaliński stolarz Wincenty Frąckowiak (1905-1980), który przyjechał do Koszalina z Gniezna w 1945 i tu uruchomił zakład stolarski na ul. Kaszubskiej 8.

3. Cech Rzeźników i Wędliniarzy

Cech powołano w lipcu 1945 r. na zebraniu organizacyjnym, które odbyło się w mieszkaniu Edmunda Kostenckiego (ur. w 1898 w Gnieźnie – zmarłego w Koszalinie w 1978 r.), przy ul. Gnieźnieńskiej 1. Powołano wówczas zarząd w składzie: st. cechu E. Kostencki (prowadził masarnię i sklep – ul. Gnieźnieńska 1), podstarszy cechu – Stanisław Braniecki (masarnia i sklep na ul. Gomułki – później nazwaną Dzierżyńskiego, obecnie Konstytucji 3 Maja), sekretarzem został Kazimierz Budny (zakład na Zwycięstwa 135, dziś mieści się tu antykwariat).

W 1947 r. jako jeden z pierwszych – cech ufundował sztandar, którego poświęcenia dokonano w kościele NMP, na nabożeństwie z udziałem zaproszonych gości i innych członków koszalińskich cechów. W Komitecie Honorowym Sztandaru był Leonard Borkowicz – wojewoda szczeciński (siedziba urzędu mieściła się wówczas w Koszalinie).

Kiedy poważnie ograniczono rzemiosło tej branży, wydając w 1948 r. zarządzenie, że nie wolno wyjeżdżać dalej niż 10 km od Koszalina po zakupy surowca, wielu rzeźników zrezygnowało z prowadzenia własnych warsztatów i sklepów. Decyzją wojewody szczecińskiego z 12 VII 1948 rozwiązano dotychczasowy Zarząd i powołano 5 VIII Komisaryczny Zarząd nowego Cechu Rzeźników

i Wędliniarzy (w składzie K. Budny, E. Kostencki, S. Braniecki). Cech ten działał na terenie pow. Koszalin i Sławno, obejmował wędliniarstwo (w tym końskie) wyroby musztardowe i sosy, a także wyrób konserw rybnych. Zrzeszał (na dzień 17 X 1948) 65 członków (z powiatu sławieńskiego 25, koszalińskiego 40 – w tym 15 członków na wsi). W dniu 15 IV 1950 r. decyzją woj. szczecińskiego Cech Wędliniarzy włączono do zjednoczonego Cechu Rzemiosł Różnych.



4. Cech Kowali i Ślusarzy

Cech powstał w sierpniu 1945 i zrzeszał 80 członków metalowców. Do zarządu m.in. weszli: E. Lijewski (st. cechu – hydraulik), J. Paczoska (kował), Cz. Dziel (ślusarz-mechanik), S. Bąkowski (ślusarz-hydraulik). Należeli do niego ślusarze, hydraulicy, kowale, tokarze, mechanicy. W samym Koszalinie w 1947 r. było trzech kowali, znaczna część zakładów kowalskich znajdowała się na wsi. Ogółem było ich 27, m.in. w Biesiekierzu, Bobolicach, Starych Bielicach, Dobrzycy, Świeszynie, Łęknie, w Mścicach, Parnowie, w Niekłonicach (Franciszek Bosacki).

W sierpniu 1948 r. rozwiązano samorządny Cech Kowali Ślusarzy i decyzją wojewody szczecińskiego ustanowiono komisaryczny zarząd nowego Cechu Kowali, a na st. cechu powołano J. Paczoskę. Blacharze i ślusarze zostali przeniesieni do cechu w Kołobrzegu, a Cech Kowali pozostał w Okręgowym Związku Cechów w Koszalinie i rozpoczął działalność 1 IX 1948 na terenie Białogardu, Kołobrzegu i Koszalina. W 1950 r. decyzją wojewody szczecińskiego z dn. 18 IV 1950 został włączony do utworzonego Cechu Rzemiosł Metalowych i Elektro- nicznych. Jednak już w grudniu 1950 r. włączono go, podobnie jak inne 4 cechy do Cechu Rzemiosł Różnych, by w 1951 r. połączyć wszystkie cechy w Cechu Rzemiosł Różnych w Koszalinie.

5. Cech Fryzjerów

Cech działał już w Koszalinie w 1945 r. W tym czasie w mieście było kilkanaście zakładów fryzjerskich, których założycielami byli głównie rzemieślnicy z Gniezna. Pierwszy uruchomił zakład na ul. Zwycięstwa 140 Józef Rzycki oraz Wincenty Józwiak na ul. Zwycięstwa (naprzeciw gmachu Urzędu Wojewódzkiego).

W 1946 r. starszym Cechu Fryzjerów został W. Józwiak. Fryzjerzy także szkolili uczniów i powołali również Komisję Egzaminacyjną, nadającą kwalifikacje zawodowe.

W sierpniu 1948 rozwiązano cech w Koszalinie i przeniesiono jego członków do Cechu Fryzjerów w Białogardzie.

6. Cech Malarzy i Szklarzy

Cech powołano 20 października 1945 r. w mieszkaniu mistrza malarskiego Alojzego Lamęckiego (1911-1967) przy ul. Bolesława Krzywoustego. Na zebraniu liczącym 16 osób wybrano władze ze starszym cechu Feliksem Antkowiakiem. W tamtych pionierskich czasach zakłady malarskie prowadzili m.in. F. Antko-



wiak (ul. Gomułki 9 – dziś Konstytucji 3 Maja), Kazimierz Habecki (Kazimierza Wielkiego 15), a szklarski Marian i Zygmunt Braciszewscy (ul. Młyńska 65, później na ul. Jana z Kolna) i Leon Larek (ul. 1 Maja 32). W 1948 rozwiązano samorządny zarząd cechu i powołano zarząd komisaryczny.

7. Cech Krawców

Cech powołał swój zarząd w grudniu 1945 r. Zrzeszał wówczas 28 członków. Starszym cechu został Leon Kabat (zakład krawiecki ul. Gnieźnieńska 31 dziś ul. H. Modrzejewskiej). Decyzją wojewody szczecińskiego w sierpniu 1948 zlikwidowano ten cech, a jego majątek przekazano do Cechu Krawców w Białogardzie.

8. Cech Szewców i Cholewkarzy

Cech powołano na zebraniu w dniu 4 lutego 1946 w biurze Pełnomocnika Rządu RP na obwód Koszalin. Uczestniczył w nim sam pełnomocnik E. Dobrzycki. Na zebraniu powołano zarząd w składzie: starszy cechu Z. Piechowicz (ul. Drzymały 3) i członkowie: W. Młot, L. Józwiak, K. Heropolitański. Szewcy pionierzy to m.in. J. Olszewski, W. Brzeski, J. Gawrych, J. Knitter, B. Mazuś, Z. Piechowicz, B. Wilk. W latach 1945-1948 zarejestrowanych było w cechu 19 zakładów, w tym po jednym w Sianowie, Sarbinowie, Dobrzycy, Świeszynie i Bobolicach. Działała również komisja egzaminacyjna nadająca stopnie mistrzowskie i czeladnicze. W sierpniu 1948 rozwiązano samorząd cechowy i powołano komisaryczny zarząd, którego terenem działania był powiat Koszalin i Kołobrzeg (zrzeszał 71 członków). Zarządzeniem z dnia 18.IV 1950 r. Cech Szewców i Cholewkarzy w Koszalinie został włączony do zjednoczonego Cechu Rzemiosł Skórzanych i Włókienniczych. Pod koniec 1950 r. zlikwidowano w mieście wszystkie prywatne zakłady, a szewcy podjęli pracę w usługach spółdzielczych. Pierwszym, który uruchomił prywatny warsztat szewski po 1956 r. był Bolesław Wilk.

Działał również w Koszalinie Cech Elektryków i Instalatorów, skupiający na początku 1947 r. dwunastu członków. Starszym cechu został K. Kulik (zakład na ul. 1 Maja 20). Do zarządu weszli: A. Breliński, F. Gast, F. Biskupski. W 1948 r. cech zrzeszał już 25 rzemieślników, również z Białogardu i Kołobrzegu, i został włączony do cechu w Szczecinie.

Był także w Koszalinie od r. 1947 Cech Młynarzy zrzeszający 19 członków, prowadzących prywatne młyny w powiecie koszalińskim. Na naszym terenie w latach 1947-1948 prowadzono 24 młyny (11 elektrycznych, 9 wodnych), cztery wiatraki. W 1948 r. wprowadzono zarząd komisaryczny cechu, by w kwietniu



1950 r. włączyć go do Cechu Piekarzy i Cukierników, a już w grudniu tego roku włączono go do powstałego Cechu Rzemiosł Różnych. Po 1950 r. wszystkie młyny prywatne przestały istnieć i zostały przejęte przez Wojewódzki Zarząd Młynów Gospodarczych.

V. Życie społeczno-towarzyskie i kulturalne rzemieślników

Zrzeszeni w cechach rzemieślnicy świadczyli wiele dobra na rzecz miasta i środowiska. Byli aktywni społecznie i dobrze zorganizowani. Już w 1946 r. przekazali zebrane przez siebie pieniądze na pomoc zdemobilizowanym żołnierzom, a także obdarowali paczkami świątecznymi żołnierzy Garnizonu Koszalińskiego. Przekazali również w 1948 pieniądze na budowę Pomnika Bohaterów Getta w Warszawie, a w roku 1949 ufundowali sztandar dla Bałtyckiej Brygady Wojsk Ochrony Pogranicza. Odgruzowywali śródmieście Koszalina a także pomagali społecznie w remontach szkół i przedszkoli. Tradycję pracy społecznej rzemieślników - pionierów kontynuowali ich następcy. W 1965 r. rzemieślnicy z okazji dwudziestolecia rzemiosła zakupili z własnych składek wyposażenie gabinetu dentystycznego dla Szkoły Podstawowej nr 2 w Koszalinie. W 1970 r. wykonali i zawiesili zegar na koszalińskim Ratuszu.

Szczególny wkład w wykonanie tego przedsięwzięcia miał M. Lijewski – zegarmistrz, a prace kowalskie wykonali: E. Kraszewski i M. Sędłak, plastykę w metalu – St. Bałdyga.

Rzemieślnicy lat 40 stworzyli zintegrowaną grupę zawodową. Poszczególne cechy branżowe organizowały uroczystości cechowe, zabawy taneczne i wieczorki towarzyskie. Na zabawach organizowano loterię na cele społeczne. Najbardziej aktywne były Cechy Piekarzy i Cukierników oraz Rzeźników i Wędliniarzy. Wodzirejami zabaw byli S. Braniecki – rzeźnik i L. Wójcik – piekarz. Bale najczęściej organizowano w parku w tzw. „Strzelnicy” (budynek wyburzony, a w tym miejscu wybudowano amfiteatr). Zabawy otwierano staropolskim polonezem. W latach 1945-1950 różne cechy branżowe organizowały 15 zabaw i wieczorków. W koszalińskim Archiwum znajduje się plakat z roku 1948, obwieszczający o organizowanym przez Cech Krawców w drugi dzień Wielkanocy pierwszej wiosennej zabawy tanecznej z tradycyjnym jaskiem wielkanocnym.

Rzemieślnicy organizowali również życie sportowe w mieście. Brali udział w różnego rodzaju zawodach sportowych, wędkarskich i polowaniach. Sukcesy w sportach motorowych odnosił zegarmistrz J. Ludyński. Piekarz – L. Wójcik



był organizatorem życia sportowego, a także sam uprawiał boks. Dobrze zapowiadającym się pięściarzem był Zdzisław Kasprzak – syn rymarza Ludwika.

VI. Oni stworzyli podstawy

Rzemiosło koszalińskie ma już ponad 60-letnią historię i tradycję, a jego dokonania są wynikiem pracy setek rzemieślników, jednak jego trwałe podstawy stworzyli rzemieślnicy – pionierzy. Wnieśli oni szczególny wkład w powojenną odbudowę miasta, otworzyli pierwsze sklepy i warsztaty różnych branż i zawodów. Ich nazwiska wpisują się w historię miasta złotymi literami. To rzemieślnicy – pionierzy doprowadzili do odrodzenia życia gospodarczego. Ich inicjatywa i przedsiębiorczość, poparta rzetelnymi i sprawdzonymi umiejętnościami, wydała obfite owoce (wykształcono setki fachowców różnych branż, kontynuowano rzemiosło z ojca na syna).

Koszalin w latach 1945-1946 był już znaczącym i rozwijającym się miastem, w którym działało kilkadziesiąt zakładów i warsztatów różnych branż. W 1945 powstały tu tradycyjne organizacje rzemieślnicze – cechy, zrzeszające rzemieślników Koszalina i okolic. Różne jednak koleje przechodziło w latach powojennych rzemiosło. Można wyodrębnić w jego dziejach trzy okresy: I. Lata 1945-1948, to okres jego rozwoju. Działo wtedy na naszym terenie trzysta zakładów rzemieślniczych, zrzeszonych w dziewięciu cechach branżowych, a w 1951 r. liczba ta spadła do 100. II okres, to lata 1949-1956. Już w drugiej połowie 1948 r. rozpoczynają się prześladowania ludzi rzemiosła. Rzemieślników uznano za element wrogo nastawiony do ludowego ustroju, odbierano im warsztaty pracy oraz prześladowano (np. utrudniano kształcenie i kariery dzieciom pochodzenia rzemieślniczego). Ówczesne władze administracyjno-polityczne w latach 1948-1949, stosując represyjne metody działania, powołały komisaryczne zarządy cechów, by w roku 1950 całkowicie zlikwidować samorządność rzemieślniczą. Z dziewięciu cechów branżowych dawniej funkcjonujących powstaje jeden cech wielobranżowy. W 1951 roku powołany zostaje pierwszy zarząd komisaryczny Cechu Rzemiosł Różnych w Koszalinie. Trzeci okres nastąpił po historycznym VIII Plenum KC PZPR. Wówczas potępiono błędną politykę stosowaną wobec rzemiosła i przystąpiono do jego odbudowy. Jednak prawdziwie doniosła dla rzemieślników okazała się dopiero ustawa z 8 V 1972 (z nowelizacją w latach 1976-1982) ze znamienym zapisem w preambule, że rzemiosło jest trwałym elementem socjalistycznej gospodarki: „W celu zwiększenia przez rzemiosło, będące trwałym elementem socjalistycznej gospodarki, zaspokajania potrzeb społecznych poprzez lepsze wykorzystywanie jego możliwości gospodarczych i zapewnienia rzemiosłu jednolitych z innymi jednostkami drobnej wytwórczości warunków działań i rozwoju, a także w celu



⁶ H. Rybicki, B. Zdrojewska, E.Z. Zdrojewski, Koszalin, *Rozwój miasta w Polsce Ludowej*, Poznań 1985, s.88

wzmocnienia samodzielności i samorządności organizacji rzemieślniczych oraz dalszego wzrostu rangi i godności zawodu rzemieślnika”⁶.

W rzemiośle koszalińskim nastąpiła wówczas swoboda wyboru władz samorządowych, wzrosła też znacząco liczba prywatnych zakładów, ze 109 w 1951 r. do 193 w 1960 r. W latach 60 i późniejszych różnie rozwijało się koszalińskie rzemiosło, gdyż zależne to było od sprawujących władzę kolejnych ekip politycznych, które najczęściej tylko deklarowały „zielone światło” dla jego rozwoju. Najważniejszy był jednak początek.



Stanisław Braniecki



Kazimierz Słomowicz – ur. 1895 r. w Gnieźnie. Przybył do Koszalina 9 maja 1945 r. Zmarł w 1973 r. Uruchomił piekarnię w maju 1945 r. (dostarczał chleb m.in. dla więziennictwa i stołówki Starostwa).



Józef Pietraszewski – piekarz, ur. 1916 r. w Węgorzewie k. Gniezna. Przybył do Koszalina 17 maja 1945 r. Jego zakład mieścił się na ul. Młyńskiej od 3 sierpnia 1945 r.



Henryk Roszak – stolarz



Czesław Dziel – ślusarz



Edmund Kostencki – ur. w 1898 w Gnieźnie, przybył do Koszalina 9 maja 1945 roku. Rzemieślnik od 1927 r. Po 1950 zlikwidował zakład i pracował w masarni MHD, później WSS. Zmarł w 1979 r.





Ludwik Wójcik – piekarz, był przewodniczącym Pow. Zw. Cechów w Koszalinie od powstania 19.12.45 r. do 1948 r., a następnie Okręg. Zw. Cechów (1948 – 1952). Jego zakład mieścił się początkowo na ul. Hibnera, a później Armii Czerwonej 7 (piekarnia „Drzewiańska”). Był piekarzem i cukiernikiem, a tytuł czeladnika uzyskał w 1939 w Inowrocławiu. W 1952 r. wyjechał do Warszawy, a następnie do Bielska Białej. Był znanym organizatorem sportu, sam uprawiał boks. Zmarł w 1982 roku. Zdjęcie udostępniła siostra Krystyna Ćwik.



Marian Cichocki (z prawej) i Feliks Sander



Jan Ćwik – piekarz, ur. 1920 w Janowcu k. Żnina. W Koszalinie od 1939 r. jako Wzrost. Rzemieślnik od 1939, chorąży sztandarowy. Jego firma mieściła się przy ul. Zwycięstwa 34. Po śmierci w 1971 zakład prowadziła żona Krystyna (siostra L. Wójcika).



Jerzy Grzeskiewicz – ślusarz precyzyjny, ur. w 1912 w Ciechocinku. W Koszalinie od 1940 r. prac. K. Szejfera (późniejszy KZNS). Prowadził zakład (spółkę) pn „Dotog” na ul. Zwycięstwa 27 razem z Franciszkiem Dygultem i Józefem Topolewskim, którzy podobnie jak on przebywali w łagrze przy ul. Jana z Kolna pracując u Szejfera w Zakładzie Maszyn Rolniczych.



Ignacy Psuty – piekarz, ur. w 1886 r. w Gałęzowie k. Żnina. Przybył do Koszalina w czerwcu 1945 r. Najpierw założył zakład na ul. Gwardii Ludowej 16, a później uruchomił piekarnię przy Gnieźnieńskiej. Był najstarszy wśród członków tutejszego cechu. Rzemieślnik od 1925 roku. Zmarł w 1952 roku.



Józef Rzyński – pierwszy fryzjer, który uruchomił zakład w Koszalinie. Urodził się w 1910 w Gnieźnie. Przybył do Koszalina 9 maja 1945 r. Rzemieślnik od 1929 r., mistrz od 1938. Prowadził zakład prywatny do 1950 roku, a później w spółdzielni. Na emeryturę przeszedł w 1975 roku





Florian Suchy – ur. 1916 r. Przybył do Koszalina z Niemiec w 1946 roku.



Władysław Helenkiewicz, ur. w 1899 – najstarszy fotograf Koszalina, od 1946 roku.



Cech Kowali i Ślusarzy. Na zdjęciu starszy cechu Józef Paczoska, z tyłu Stanisław Januszak.



Ludwik Wójcik – zasłużony organizator rzemiosła koszalińskiego i jego uczniowie.



Rzemieślnicy przy odgruzowywaniu Koszalina.



Fot. z uroczystości poświęcenia sztandaru Cechu Rzemieślników. E. Kostencki siedzi z buławą, M. Cichocki trzyma sztandar. Pierwsi rzemieślnicy branży rzeźniczej.



Poczet sztandarowy cechu na pogrzebie W. Bieniary. Sztandar niesie M. Cichocki. Z prawej Kazimierz Budny, z lewej J. Nowak.





Zakład Edmunda Kostenckiego. Ul. Szpitalna, róg Modrzejewskiej w Koszalinie.



Piekarze i cukiernicy na uroczystości Bożego Ciała - 1949 r. Od lewej - Cz. Pawłowski, J. Ćwik, S. Mechecki, J. Pechman (siedzi), J. Pietrzaszewski, S. Klimczyk, A. Mikołajczak - syn burmistrza, S. Kowalski.



Sztandar cechu Rzeźników w Koszalinie z 1948 r.



Pierwszy sztandar polski rzemieślników Koszalina. Sztandar Cechu Piekarzy i Cukierników z 1947 roku.



Genowefa Krudos

Daleka droga do mojego miasta Koszalina

**Moja droga do Koszalina była długa ikręta,
pełna nieoczekiwanych ciężkich iniekiedy smutnych
wydarzeń, to jednak często sprzyjających zbiegów
okoliczności iszczęśliwego doczekania się
tu sędziwego wieku.**

Nie urodziłam się w Koszalinie, miejsce to jednak stało się moim miastem. Po wojnie osiedliła się tu moja niemal cała bliższa i dalsza rodzina. W wyniku wysiedlenia z terenów wschodnich przedwojennej Polski i ocaleni z frontowych działań wojennych w tym mieście odnaleźli swą przystań życiową, żyjąc tu, pracując i umierając. Na koszalińskim cmentarzu pochowani są członkowie mojej rodziny, babcia, rodzice, rodzeństwo jak również inni członkowie mojej rodziny. Spędziłam tu smutne i radosne kilkadziesiąt lat swojego życia żyjąc w tym mieście, pracując, wychowując dzieci. Urodziły się tu nowe pokolenia, moje dzieci, wnuki i prawnuczki, staliśmy się owocami tej pomorskiej ziemi. Dlatego czuję się związana mocnymi więzami z tym miejscem i uważam teraz to miasto za swoje rodzinne miejsce.

Młodzińcze lata

Urodziłam się w 1920 roku w katolickiej polskiej rodzinie, miejscem mojego urodzenia była stara wieś Kniaże powiat Złoczów nieopodal Lwowa na wspaniałej polskiej kresowej Podolskiej Ziemi o pięknej wiekowej tradycji historycznej.

Kniaże położone było na pograniczu województwa tarnopolskiego i lwowskiego, ze względów odległościowych i dogodniejszego połączenia komunikacyjnego zawsze związane bardziej było jednak z naszym niezapomnianym pięknym Lwo-



wem. (*Tereny te po 1945 roku stały się częścią ZSRR a obecnie Ukrainy*) Przodkowie moi zamieszkiwali na tych terenach od niepamiętnych czasów.

Ludność naszej wioski była wielonarodowościowa, a zatem wielojęzyczna i wielowyznaniowa. Obok siebie w zgodzie żyli i gospodarzyli Polacy wyznania rzymskokatolickiego, Rusini i Ukraińcy czyli grekokatolicy i prawosławni oraz Żydzi wyznania mojżeszowego. W sąsiednich wioskach zamieszkiwały też rodziny narodowości niemieckiej. Od lat żyliśmy wspólnie w zgodzie, wzajemnej tolerancji oraz pełnym zrozumieniu i sąsiedzkiem poszanowaniu.

Były to niezapomniane wspnięcia i radosne czasy, spędziłam tam swoje dzieciństwo, lata młodości i tuż przed rozpoczęciem wojny wyszłam za mąż.

Początek wojny

Jednak dostatnie i spokojne życie w sąsiedzkiej zgodzie oraz szczęśliwe małżeństwo nie trwało długo, nastąpił smutny dzień -1 wrzesień 1939 roku - wybuch II Wojny Światowej.

Pamiętam jak pewnego wrześniowego dnia samoloty nieprzyjacielskie ostrzeliwały ustawione na polach suszące się jeszcze kopki siana i konopi myśląc pewnie z góry że to żołnierze rozbiegani na polach. Nie zapomnę też jaskrawej łuny, która rozświetlała nocne niebo z kierunku Lwowa z palącej się fabryki wódek – „Baczewski”. Szosą przez Lackie przesuwały się kolumny wojskowych transportów pełnych żołnierzy i uzbrojenia, a koleją przemikały składy pociągów wojskowych.

Dnia 17 września 1939 roku wschodnią granicę Polski przekroczyły wojska sowieckie, dzieląc się z faszystami dokonano IV Rozbioru Polski. W ten sposób znaleźliśmy się pod okupacją sowiecką i od tego czasu zaczynało się wyczuwać wzajemną wrogość i narastające napięcie.

Zaczęły się tragiczne czasy wojenne, zburzyło to spokojne życie i wzajemne dobrosąsiedzkie relacje. Nastąpiły niepokoje, uprzedzenia narodowościowe, sowieckie deportacje na Sybir, morderstwa banderowców (nacionalistów ukraińskich), później faszystów, a następnie terror komunistyczny. W późniejszym czasie przesunięcie granic i repatriacja na zachód. Doprowadziło to do zniszczenia wspólnej i zgodnej egzystencji żyjących tam razem od lat narodowości, oraz tragicznych losów i cierpień nie tylko Polaków. Przyczyniło się też to do rozproszenia ich po całym świecie.

Deportacja

Krótki czas małżeństwa, praca i spokojne życie szybko się zakończyło, nadszedł następny bolesny i pamiętny okres historii. Wydawało się wówczas że cały



świat się zawalił, był to dzień a właściwie noc, której nie da się zapomnieć do końca życia.

Pamiętniej zimowej mroźnej nocy 10 lutego 1940 roku o godz. 5 rano usłyszeliśmy wraz z mężem i teściami przeraźliwy skowyt i szczekanie naszych psów oraz mocne łomotanie do drzwi frontowych. Ochrypłym głosem ktoś rozkazywał po rosyjsku „atkrywaj milicja” (*otwierać milicja*). Za drzwiami stał sowiecki NKWD-dzista, pozostawiając nam pół godziny na spakowanie najpotrzebniejszych rzeczy i saniami odwieziono nas na stację kolejową by zapakować nas do towarowych („bydłęcych”) wagonów. Pod eskortą żołnierzy NKWD z karabinami rozpoczęła się kilkutygodniowa podróż w nieznany niezyczliwy mroźny i obcy nam „świat”.

Na długi czas staliśmy się niewolnikami, zabrano nam wszystko, dorobek życiowy, wielu z nas zabrano życie, starano się też odebrać godność i człowieczeństwo.

Syberia

Po długotrwałej i uciążliwej podróży koleją dojechaliśmy do końcowej stacji w miejscowości Muraszy na dalekiej północy pod kręgiem polarnym za Archangielskiem. Dalszą morderczą drogę godzinami przez zaśnieżony mroźny las pokonywaliśmy samochodami ciężarowymi, saniami i na końcu pieszo do miejsca naszego przeznaczenia. Po długim marszu dotarliśmy do celu naszej poniewierki, nasz łagier to była niewielka osada, gdzie czekały na nas przygotowane już prymitywne drewniane baraki. Już następnego dnia po rozdzieleniu zadań ruszyliśmy do pracy w tajdze. Tak rozpoczęła się nasza dwuletnia niewolnicza praca przy wyrębie lasu. Największym naszym utrapieniem fizycznym była mordercza praca, głód, wszawica, świerzb, choroby i przenikliwy mróz, a w czasie roztopów wszech otaczające bagna i nieznosne gryzące moskity. Mając nadzieję w poprawę naszej niedoli nie można było się poddać psychicznie. W rozłące z ojczyzną, bliskimi i kościołem niekiedy nie wiedzieliśmy jaki jest dzień tygodnia, nie mówiąc już o świętach. Niezwykle trudne czasy udało się nam z mężem, choć nie bez trudów to jednak przetrwać. Wielu z nas tam obecnych pozostało w tej nieludzkiej ziemi, zmarł tam też mój teść, teściowa również nie doczekała się powrotu, zmarli też niektórzy dalsi członkowie rodziny.

Oswobodzenie

Wiosną 1942 roku na podstawie podpisanej tak zwanej „Ugody Sikorskiego ze Związkiem Radzieckim” otrzymaliśmy „amnestię”, zostaliśmy wolnymi ludźmi. Zakończyła się nasz niewola, lecz nie zakończyła się nasza niedola. Od tego czasu



nie musieliśmy wyrabiać nakazane normy w pracy, mogliśmy bezkarnie opuścić las oraz nasz posesję i udać się w dowolnym kierunku. Jednak tam gdzie się znajdowaliśmy na dalekiej północy nie było to wcale takie proste i łatwe. Podstawowym pragnieniem było wydostanie się z polarnych syberyjskich mrozów. Większą grupką po kilkudniowym marszu udało się nam przybyć do stacji kolejowej, po kilku dniach stłoczeni w towarowych wagonach wyruszyliśmy w długotrwałą drogę w nieznane. Przedostając się przez góry Uralu zorientowaliśmy się, że znaleźliśmy się w Azji. Naszym następnym miejscem przeznaczenia w taki sposób stał się Uzbekistan.

Uzbekistan

Wraz z mężem Stanisławem wycieńczeni i w łachmanach znaleźliśmy się na uzbekiej azjatyckiej ziemi z daleka od kraju i rodziny. Nie zmuszani już byliśmy do niewolniczej pracy, ale z czegoś trzeba było żyć i aby nie być aresztowanym za włóczęgostwo należało znaleźć jakieś zajęcie i się zatrudnić. Udało się nam zatrudnić w kołchozie przy zbiorach bawełny. Warunki w jakich się znaleźliśmy stały się skrajnie odmiennie niż poprzednio, dawały się nam we znaki spiekane słońcem kołchozowe pola bawełny. Narażeni byliśmy na udary słoneczne, choroby tropikalne, jadowite węże i pająki jak również częste trzęsienia ziemi. Za ciężko zarobione ruble jednak nie było można żyć, więc nadal doskwierał nam głód i niedostatek. Rozeszła się wieść, że gen. Anders organizuje wojsko, była to radosna informacja i wielka nadzieja dla mężczyzn. Mój mąż wraz z innymi znajdującymi się w okolicy mężczyznami, podróżując przez kilka dni dotarli do miejsca formowania się Polskiego Wojska. Nie było nam nic wiadome o tym, że niektórym tylko rodzinom żołnierzy będących w pobliżu udało się również wydostać wraz z wojskiem. Pozostałam sama i jako młoda katoliczka w nieprzyjnym otoczeniu muzułmanów uciekłam z kołchozu do miasta Namangan. Pracowałam później przy budowie elektrowni, a następnie udało mi się zatrudnić jako pomoc medyczna w szpitalu. Wielkim moim pragnieniem była chęć powrotu do kraju, jednak takiej możliwości nie było. Po jakimś czasie dowiedziałam się o formującym się wojskowym szpitalu mającym udać się na front. Nieoczekiwanie była więc to dla mnie nadzieja na przedostanie się w kierunku Polski. Moje doświadczenie pracy w służbie zdrowia sprzyjało, stałam się sanitariuszką szpitala wojskowego Armii Czerwonej.

Frontowy czas

Po zorganizowaniu się wojskowego szpitala polowego cały skład kolejowy ruszył w kierunku frontu. Dosyć szybko rozpoczęły się przyjęcia z frontu całych transportów



rannych, pokaleczonych i cierpiących krasnoarmiejców poukładanych często na odkrytych wagonach – platformach. Ciężka praca przy przyjęciu, opatrywaniu, myciu, operacjach i leczeniu rannych była zwykłą codziennością. W całym składzie szpitalnym tylko ja i jeden z lekarzy byliśmy Polakami, nie było to łatwe, gdyż odosobnieni wśród Rosjan tylko ukradkiem rozmawialiśmy po polsku. Przechodząc cały szlak bojowy II Frontu Białoruskiego Armii Czerwonej narażeni byliśmy na typowe działania frontowe, ostrzeliwania i naloty samolotów niemieckich. Zaprzyjaźniłam się w międzyczasie z wieloma Rosjankami, bardzo serdecznymi i poczciwymi dziewczynami.

Po długo oczekiwanym czasie marzenie moje się spełniło, szczęśliwa dotarłam do polskiej ziemi ojczystej. Sarny to była pierwsza graniczna polska stacja kolejowa (obecnie terytorium Białorusi). Odczuwało się od razu, że jest się gdzie indziej niż poprzednio i wszystko wyglądało nieco inaczej – swojsko, a na dodatek wszędzie Polacy i rodzimy język. Łzy w oczach i radość zaparły mi dech w piersiach gdy usłyszałam upragnione pierwsze polskie słowa.

Koniec wojny 9 maja 1945 roku udało mi przywitać chociaż w obcej armii, ale już na mojej ojczystej ziemi. Mińsk Mazowiecki był ostatnim miastem w którym funkcjonował nasz szpital polowy. Przyjmowaliśmy jeszcze przez krótki czas ostatnich rannych z frontu, następnie rozkazem dowództwa Sowietkich Sił Zbrojnych szpital został rozwiązany. Dokonując niezbędnych formalności wydano zaświadczenia i nastąpiła ewakuacja szpitala do ZSRR. Rosjanie wracali pociągiem wraz ze szpitalem, ja pozostałam. Na szczęście po demobilizacji i ewakuacji szpitala zezwolono mi pozostać w kraju.

Powojenna tułaczka

O losach mojego męża i jego rodziny nie wiedziałam nic, niewiele też wiedziałam o losach moich rodziców i młodszego rodzeństwa. Po wojnie w wyniku przesunięcia granic nie mogłam już wrócić w swoje strony rodzinne. Przez jakiś czas szukając rodziny i swojego miejsca w nowej Polsce przez krótki czas przebywałam w Wałbrzychu, oraz w jakiś sposób podróżując pociągami, często w towarzystwie gromad szabrowników dojechałam do Lidzbarka Warmińskiego. Z otrzymanego wcześniej listu wiedziałam tylko, że rodzice po przymusowym wysiedleniu z rodzinnej wsi zamieszkali na Lubelszczyźnie.

Koszalin miastem docelowym

Wiosną 1946 roku rodzice dowiedzieli się od ciotki mieszkającej już w Koszalinie przy ulicy Zwycięstwa, że można jeszcze coś tam w mieście wolnego znaleźć. Pozo-



stawili więc wieś na Lubelszczyźnie gdzie przebywali i przeprowadzili się na „Ziemie Odzyskane”. Mieszkając już w Koszalinie ściągali też innych rodzinnych tułaczy.

Tak więc w wyniku przesunięcia granicy polskiej na zachód, po wysiedleniu z tych terenów ludności niemieckiej za Odrę, jedni więc wygnańcy zajmowali opuszczone miejsca i gospodarstwa drugich wygnańców.

Rodzice wraz z rodzeństwem i babcią osiedlili się na stałe w Koszalinie i zamieszkali u zbiegu ulic Piotra Skargi i Łużyckiej. Kiedy dowiedziałam się gdzie się osiedlili i ja też w 1947 roku do nich dołączyłam. Wojnę przeżyli moi rodzice oraz młodsze rodzeństwo, nie zastałam tylko swojej babci, która zaraz po przyjeździe do Koszalina zmarła w lipcu 1946 roku i jako pierwszą z rodziny pochowano na koszalińskim cmentarzu.

Koszalin jako miasto niemieckie z początku wydał mi się obcym dla mnie miejscem, ale odnalazłam tu swoją rodzinę i to było najważniejsze. Większość okolicznych mieszkań wtedy była już wyszabrowana, ale gdzieś tam można było jeszcze coś tam znaleźć z brakującego sprzętu do domu. Wraz z kolegami mojemu bratu udało się przynieść z jednego miejsca łóżka do spania, z innego zegar, z innego coś tam jeszcze.

Nie znane nikomu było jak potoczą się dalej losy polskich granic i nas samych. Zdarzało się nieraz, że po sąsiedzku zamieszkiwali obok nas jeszcze Niemcy, czy też i Rosjanie. Z takich nieco zabawnych zdarzeń pamiętam, że po drugiej stronie ulicy trzypokojowe mieszkanie na parterze zajmowała rodzina ruskich, on był oficerem więc mieszkania zajmowali oni wówczas jak swoje. Pamiętam że mieli krowę którą trzymali w jednym z tych pokoi. W jednym rogu podłogi w pokoju wyrębana była duża dziura przez którą odchody zgarniali do piwnicy. Krowa ta nawet była tak sprytna iż nauczyła się pokonywać kilkunastostopniowe betonowe szerokie schody. Długo jednak nie byli naszymi sąsiadami, po pewnym czasie przekwaterowano ich na wschód do ZSRR.

Rodzice moi też przy domu w komórce chowali krowę, świnię i kury, gdyż posiadanie zwierząt było podstawą wyżywienia rodziny. Należało jednak bacznie strzec całego posiadanego inwentarza oraz dobytku, gdyż wówczas rabunki i kradzieże były na porządku dziennym a właściwie nocnym.

Z takich ciekawszych zdarzeń pamiętam z opowieści, że pewnego dnia mój tato załatwiał jakieś formalności w polskim urzędzie i ku swojemu zdziwieniu rozpoznał w polskim urzędniku twarz oficera SS-mana, który w czasie wojny w rodzinnej wiosce grożąc pistoletem chciał ojca wraz z rodziną rozstrzelać. Nie będąc jednak tego pewnym, ojciec przedkładając dokumenty z tych stron zagadał coś na ten temat prowokując go do zdemaskowania się. Na reakcję nie długo było czekać, wykorzystując parter ten „polski” urzędnik wysko-



czył i zniknął bez śladu. Powiadomieni milicjanci przebywający na korytarzu urzędu nie mieli nawet najmniejszych szans na jego złapanie.

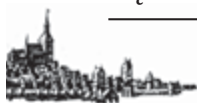
Mając doświadczenie w służbie zdrowia pierwszym moim miejscem pracy w Koszalinie był Szpital Wojskowy przy ulicy Młyńskiej w istniejącym do tej pory gmachu z czerwonej cegły. Następnie pracowałam na Rokosowie aż pod samym lasem w szpitalu, który specjalizował się wtedy w leczeniu chorób płuc. Teraz jest tam chyba oddział psychiatryczny. Jedną z moich koleżanek z pracy była wtedy Jadwiga Ptaszyńska późniejsza redaktorka Polskiego Radia Koszalin.

W Koszalinie na ulicach sporo jeszcze było torowisk tramwajowych, ale składów tramwajowych już nie było jedynym środkiem komunikacji było parę linii autobusowych. Rokosowo leżące na drugim końcu miasta było zbyt daleko oddalone aby codziennie dojeżdżać na zmiany do pracy.

Następną pracę znalazłam bliżej miejsca zamieszkania w gastronomii. Dostyc duża jak na tamte czasy restauracja „Polonia” mieściła się w nieistniejącym już budynku u zbiegu ulic Zwycięstwa i Dzieci Wrzesińskich, przez kilka lat byłam tam bileterka i rozliczeniową. Restauracja ta stała się później „spelunką” i chyba w latach sześćdziesiątych budynek ten rozebrano.

Przez cały czas od zakończenia wojny szukałam wiadomości o mężu i jego rodzinie. Nie było to wcale takie łatwe, ponieważ jakiekolwiek informacje jeżeli się zdarzyły trudne były do pozyskania. Informacje z Zachodu wydawały się niemal nieosiągalne, staliśmy się przecież krajem komunistycznym pod opieką „naszego wspaniałego brata” – Związku Radzieckiego. Jednak jakoś listownie poprzez sąsiadkę z rodzinnej wsi dowiedziałam się, że nasi mężowie znajdują się w Londynie. Wraz z generałem Andersem jako żołnierze, 2 Korpusu Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie przeszli cały szlak bojowy przez Irak, Iran, Palestynę, Egipt, Włochy (Monte Cassino, Anconę, Bolonię) znaleźli się w Anglii. Udało się szczęśliwie pozyskać adres i nawiązać kontakt listowny z moim mężem, który również cały i zdrowy przetrwał wojenne lata. Korzystając z możliwości powrotu do Polski pod koniec 1947 roku wraz z wieloma polskimi żołnierzami statkiem przybył do Sopotu, stamtąd do Koszalina, uradowani po latach spotkaliśmy się znowu.

Mąż powracając przecież z Zachodu coś tam przywiózł z Anglii, mogłam się więc elegancko ubrać i jakoś tam nawet nieźle wyglądać. Podjął pracę w kancelarii w Starostwie Powiatowym w Koszalinie, jako przystojny brunet do pracy chodził porządnie i dumnie ubrany w angielski mundur (oczywiście już bez oznak wojskowych). Życie jednak kładzie kłody pod nogi i mąż jako „Andersowiec z Zachodu” w Ludowej Polsce stał się tym gorszym, czyli obywatelem drugiej kategorii. Codziennie jak kryminalista przez dłuższy czas meldować się musiał na posterunku UB. Praca w starostwie też była nie dla niego, pozostała więc tylko ciężka fizyczna aż do emerytury.



Refleksja

Gdy czasy wojennej rozłąki i poniewierki się zakończyły. Zamieszkaliśmy więc z moim mężem Stanisławem na stałe w Koszalinie, mieście które stało się naszym miastem – miastem rodzinnym. Tu przez lata żyłam i pracowałam, urodziły i wychowały się też tu nasze dzieci. Pomimo trudnych i ciężkich lat powojennych z radością patrzyliśmy na zmieniające i rozwijające się miasto, nasze miasto.

Przeżywając w ponemieckim zrujnowanym Koszalinie te powojenne czasy, choć niełatwe i w zmienionej ojczyźnie pozwoliły mi jednak żyć w kraju, w którym można było rozmawiać i uczyć się w języku ojczystym, pod białą-czerwoną flagą i choć bez korony ale polskim godłem – orłem.

W wyniku zawirowań wojennych i zawiłości historii wiele wycierpiałam i doznałam wielu krzywd zarówno od Rosjan, Ukraińców, Niemców, ale też i od Polaków. Wśród tych wymienionych przeze mnie też narodowości spotkałam również wielu dobrych, porządných i wspaniałych ludzi. Ufając Bogu i wierząc w dobro uważam, że doznane zło wojennej niedoli jest niezależne od narodowości, wyznania i miejsca zamieszkania. Należy żyć i postępować zgodnie ze swoim sumieniem, nie czyniąc innym krzywdy, szanując też tych którzy byli i żyli tu przed nami.

Koszalin 2004 r.

(Tekst zredagowany przez Henryka Krudos – syna)



Z mężem na ul. Piłsudskiego (dawna Armii Czerwonej)



Z koleżankami z pracy w szpitalu na Rokosowie



Wacław Nowicki

Józef Baran Chrząszczyński /1899–1969/

„Urzekala miłość, jaką Chrząszczyński darzył Koszalin i jego okolice. Ileż to razy można było spotkać gromadkę ludzi prowadzonych przez wysokiego, szczupłego, młodzieńczo trzymającego się pana Józefa. Siwa, bujna czupryna kontrastowała z ogorzałą twarzą. Ogorzałą od wędrówek nad morzem i po okolicznych wioskach, po których to wyprawach niezmiennie promieniał radością. Miał zawsze coś nowego do powiedzenia. Gestykulował przy tym jedną ręką, drugą trzymając za sobą.... Marzył o napisaniu dużego przewodnika po Koszalinie. Nie zdążył tego uczynić. Pozostało po nim kilka pionierskich wydawnictw turystycznych, które oprowadzają czytelników po ukochanym mieście Józefa Chrząszczyńskiego”. Te słowa napisane przez Eugeniusza Buczaka odnoszą się tylko do jednej, krajoznawczej pasji Chrząszczyńskiego i to w okresie po 1945 r. Nie odzwierciedlają wcześniejszych zasług żołniersko-patriotycznych z okresu II wojny światowej. Losy wojenne kapitana Barana, a później majora i podpułkownika „Lucjana” Chrząszczyńskiego, niosą przesłanie patriotyzmu wzorowane na pozytywistycznych bohaterach powieści Henryka Sienkiewicza – pułkownikowi Wołodyjowskiemu, Kmicicowi czy Skrzetuskiemu. „Lucjana” cechowała ta sama żołnierska fantazja, której nie brakowało u świętokrzyskiego „Hubala”, podhalańskiego „Ognia” czy wileńskiego „Łupaszki”.



Józef Baran urodził się 18 marca 1899 r. w przysiółku Königsberg koło Woli Żarczyckiej (dziś w gminie Nowa Sarzyna należącej do powiatu leżajskiego) w inteligenckiej rodzinie. Ojciec Jan był galicyjskim urzędnikiem, a matka Karolina z domu Sawicka – nauczycielką. Wzorem matki fach nauczycielski kontynuowało rodzeństwo Józusia – brat Julian, który w Polsce międzywojennej awansował na kierownika szkoły oraz siostry – Maria Lenczewska i Stanisława Haszto. Z tej tradycji rodzinnej wyłamał się Pan Józef, któ-



ry poszedł w rekruty. W Leżajsku ukończył gimnazjum i zdał maturę. W 1918 r. został zmobilizowany jako poborowy i skierowany do Szkoły Podchorążych Artylerii w Poznaniu, po ukończeniu której (18.03.1921) otrzymał przydział na praktykę do 8 Pułku Artylerii Ciężkiej w Toruniu. Szlify oficerskie podporucznika otrzymał po zaliczeniu praktyki dn. 1.09.1921 r., a mianowanie na porucznika – w 1923 r. W 1930 r. wstąpił w związek małżeński z uroczą torunianką Łucją Kühn. Pani Łucja była z zawodu księgową, urodziła się w 1910 r. w Essen, w rodzinie wielkopolskich emigrantów za chlebem. Po śmierci męża wróciła do Torunia, gdzie Baranowie spędzili najszcześniejsze dni wspólnego życia. Odeszła do wieczności dn. 16 lipca 1987 r., spoczęła w rodzinnym grobowcu obok małżonka na toruńskim cmentarzu. Z tego związku urodził się jedyny syn Tadeusz. Pomimo przyjęcia na siebie obowiązków głowy rodziny Pan Józef prowadził ożywioną działalność społeczną, za którą w 1938 r. otrzymał Srebrny Krzyż Zasługi. Między innymi zajmował się w garnizonie toruńskim działalnością turystyczną – w 1932 r. wstąpił w szeregi Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego.

Po wybuchu II wojny światowej, już w stopniu kapitana, został mianowany dowódcą Oddziału Zbierania Nadwyżek 8 pac. Zajął się organizacją zaplecza mobilizacyjnego dla macierzystej jednostki – Ośrodka Zapasowego Artylerii Ciężkiej nr 4 w Przemyślu. Z resztką oddziału (liczący początkowo 300 świeżo zmobilizowanych rezerwistów oddział na skutek dezercji głównie z mniejszości narodowościowych Podkarpacia i bombardowań stopniał już w pierwszych dniach do 150 żołnierzy) przemierzył w ciągu 10 dni trasę Sompolno – Przedecz – Chodec – Sochaczew – Gostynin – Gąbin i dotarł w rejon Puszczy Kampinoskiej, w ostatniej fazie bitwy nad Bzurą. Dnia 18.09.1939 r. liczący już tylko 80 żołnierzy oddział został rozwiązany, a sztandar pułkowy zakopany w rejonie puszczańskiej osady Budy (obecnie w zbiorach Muzeum WP w Warszawie). Kapitan Baran wraz z garstką 13 żołnierzy przedarł się nocą 20/21 września do twierdzy modlińskiej, gdzie objął dowództwo 2 baterii 8 Pułku Artylerii Lekkiej. Bohaterska obrona broniącej od północy przedpola Warszawy twierdzy, walczącej od 21 września w całkowitym okrążeniu, zakończyła się kapitulacją w dniu 29 września. Po upadku stolicy dalsza walka nie miała już sensu. Polscy jeńcy trafili do obozu przejściowego w Działdowie, zorganizowanego w przedwojennych koszarach 32 Pułku Piechoty, którego komendantem był hauptsturmführer SS Hans Krause. Tutaj jeńcy byli segregowani i przemieszczani do oflagów i stalagów, a ci – uznani za najmniej niebezpiecznych – zwalniani.

Pod koniec października 1939 r., na podstawie umowy o honorowej kapitulacji, nasz bohater został z obozu wypuszczony i udał się w rodzinne strony. Wspólnie z małżonką Łucją prowadził sklep galanterijno-pasmanteryjny. Nawiązał kontakty z obozem narodowo-patriotycznym środowiska leżajskiego – działaczami



przedwojennego Stronnictwa Narodowego i powracającymi w rodzinne pielesze młodymi podchorążymi. Tak rozpoczął się dla niego kolejny etap walki zbrojnej, tym razem prowadzony metodami partyzanckimi. Zimą na początku 1940 r. kapitan Baran rozpoczął organizować zręby Batalionu Ziemi Leżajskiej Organizacji Wojskowej SN. Na skutek donosu volksdeutscheów Keiprów dn. 16 maja 1941 r. cała ta grupa została aresztowana i osadzona w leżajskim więzieniu. Wkrótce jeden z aresztowanych – Adam Koszacki, w obawie przed torturami, popełnił samobójstwo. Wówczas Gestapo, na krótko przed napaścią Hitlera na ZSRR, przewiozło kpt. Barana do więzienia na Zasaniu w Przemyślu, skąd szczęśliwie udało mu się z całą grupą więźniów zbiec przez wyłom w murze, co było skutkiem ostrzału artylerii radzieckiej 21.06.1941 r. Początkowo ukrywał się we wsi Maleniska w powiecie jarosławskim (obecnie gmina Pawłosiów), u rolnika – żołnierza Narodowej Organizacji Wojskowej. W lutym wyjechał do siostry, nauczycielki Marii Lenczewskiej, mieszkającej w Łosicach (miasto wówczas należało do powiatu siedleckiego). Aby zdobyć środki na utrzymanie, zatrudnił się pod przybranym nazwiskiem Antoni Zakrzewski w spółdzielni rolniczej. Działalność konspiracyjną kontynuował jako członek Narodowych Sił Zbrojnych, najbardziej aktywnej organizacji zbrojnej w tym rejonie. W lutym 1943 r. awansował na komendanta tworzących się struktur Okręgu IV C Rzeszów NSZ i przyjął pseudonim „Modliński”. Pan Józef nie był świadomy stanowiska Delegatury Rządu RP na Kraj, potępiającego utworzenie NSZ (artykuł pt. „Warcholstwo” został opublikowany w biuletynie KG AK). Już latem tego roku złożył pisemną rezygnację z przynależności do struktur NSZ i łącznie ze szkieletem swojego oddziału wstąpił do NOW. Należy nadmienić, że taką decyzję podjął wspólnie ze swoim bezpośrednim przełożonym – komendantem Okręgu VII Krakowskiego NSZ o pseudonimie „Geograf”. Już jako „Lucjan” został mianowany szefem sztabu w komendzie Okręgu Rzeszowskiego NOW. Po pacyfikacji przez Niemców Leżajska, Woli Żarczyckiej i innych miejscowości zajął się reorganizacją struktur podziemnego państwa na terenie ówczesnego powiatu łańcuckiego. Jego główną konspiracyjną kryjówką był matecznik słynnych „Jędrusiów” w Maleniskach, gdzie korzystał z pomocy m.in. Wicka Mokrzyckiego i sołtysa – Andrzeja Marciniaka. Rozpoczęte już pod koniec 1942 r. na szczeblu centralnym scalanie NOW i AK, w Okręgu Rzeszów rozpoczęło się pod koniec 1943 r., ale nigdy do końca nie zostało tam zrealizowane.

Konsekwencje działalności konspiracyjnej dosięgły najbliższą rodzinę. Łucja Baran została aresztowana 28 maja 1943 r. podczas pacyfikacji Leżajska. Była przesłuchiwana przez Gestapo najpierw w Leżajsku, później w Jarosławiu. Została łagodniej potraktowana ze względu na miejsce urodzenia i doskonałą znajomość języka niemieckiego, jednak nie uległa presji i volkslisty nie podpisała.



Poszukiwany przez Gestapo, aby uchronić się przed ponownym aresztowaniem, przyjął pseudonim „Lucjan” i nazwisko „Chrząszczyński”. Żaden Niemiec nie potrafił wymówić tego słowa poprawnie, a tym bardziej zapisać. W sławetnej scenie z filmu Tadeusza Chmielewskiego „Jak rozpętałem II wojnę światową” wykorzystuje to Franek Dolas (Marian Kociniak), podając niemieckiemu żandar-mowi nazwisko „Chrząszczykiewicz”. Chichotem historii jest to, że ten sam argu-ment posłużył mieszkańcom osiedla w Koszalinie jako uzasadnienie do wniosku o zmianę nazwy ulicy na Chełmską.

Józef Baran Chrząszczyński zawsze odznaczał się charakterem oficera – ar-tylerzysty. Nawet podczas okupacji tak naprawdę interesowała go „królowa” pola walki. Po scaleniu NOW z AK, na polecenie komendanta Okręgu AK Kraków, w październiku 1943 r. rozpoczął organizację zrębów dywizjonu artylerii, ko-rzystając z zasobów przedwojennej kadry oficerów i podchorążych. Jednocześnie został mianowany dowódcą 24 Pułku Artylerii Lekkiej, którego organizacja była związana z przygotowaniem planów akcji „Burza”. Major Baran przyjął na sie-bie zadanie szybkiego przeszkolenia partyzantów w zakresie strzelania i działo-czynów. Przyspieszone szkolenie, w obliczu zbliżającego się frontu, prowadził w warunkach polowych w okolicach Łańcuta, w lasach należących do hr. Alfreda i Jerzego Potockich pod Brzozą Królewską, w sąsiedztwie Malenisk. Wyszkoleni przez Chrząszczyńskiego partyzanci wzięli udział w akcji „Burza”, choć jej uwa-runkowania polityczne w okręgu rzeszowskim nie dawały im większych szans. W Okręgu Rzeszowskim żołnierze podziemnego państwa polskiego likwidowali pododdziały uciekinierów oraz zdobyli sprzęt wojskowy i amunicję w magazy-nach niemieckich w Dąbrówkach, Leżajsku i Sarzynie. Zgodnie z planowany-mi zadaniami utworzenia polskiej administracji podległej rządowi londyńskiemu partyzanci AK zajęli Leżajsk, przez który oddziały frontowe Armii Czerwonej przetoczyły się 24 lipca 1944 r. Józef Baran za zasługi na polu organizacji struktur i szkolenia partyzantów awansował dwukrotnie: dn. 19 lutego 1944 do stopnia majora, na wniosek Komendy Głównej AK przez rząd emigracyjny w Londynie; do stopnia podpułkownika, przez Komendę Okręgu Południowego NOW.

Pierwsze dni po wyzwoleniu spod okupacji niemieckiej pełne były euforii spo-wodowanej wywalczoną wolnością. Natychmiast przystąpiono do realizacji pla-nów akcji „Burza” polegających na tworzeniu struktur administracyjnych państwa polskiego podległych rządowi londyńskiemu. Ppłk Józef Baran z mandatu Polski Podziemnej został Komendantem Wojennym Miasta Leżajska i wspólnie z bur-mistrzem Leopoldem Zawilskim przystąpił do organizacji polskich urzędów. Komendę nad Milicją Obywatelską AK objął Józef Zadzierski ps. „Wołyniak”, a Urzędem Pocztowym zajęła się Michalina Dziadecka. Świadectwem tamtych dni pozostają nadal znaczki okupacyjne Generalnej Guberni, przedrukowane



w przygotowanym wcześniej stemplem (informacja pochodzi z *Katalogu specjalizowanego znaków pocztowych Ziem Polskich*, KAW, 1990). Obejmując stanowisko komendanta AK „Lucjan” swojej decyzji, równoznacznej z ujawnieniem się, nie skonsultował z dowództwem NOW. Całkowicie wolna Polska w Leżajsku trwała przez okres kilkunastu dni, jedynie do czasu instalacji przez NKWD organów „władzy ludowej”.

Samo przechwycenie władzy w Leżajsku, we wspomnieniach Stanisława Haszty – siostrzeńca pana Józefa – wyglądało następująco: *„Nietatwe było życie ppłka Józefa Barana jako Komendanta Miasta, bo już po krótkim czasie od wkroczenia Armii Czerwonej, zjawiała się tu ekipa Radzieckiej Komendantury NKWD. Ppłk Józef Baran został przez nowe Władze Radzieckie zobowiązany do codziennego meldowania się na komendzie, a również do wykonywania poleceń służbowych. Jedno z pierwszych i najważniejszych dla nowych Władców było zlecenie zorganizowania mitingu na placu obok „Domu Narodowego”. Zawiadomiona ludność miasta zgromadziła się bardzo licznie w oczekiwaniu na bardzo ważne informacje dotyczące organizacji życia w mieście. Jakie było zdziwienie, gdy pod koniec wystąpienia ppłka Barana na miejsce zebrania obywatelskiego przybył szef NKWD w asyście swoich pracowników – przerwał wystąpienie ppłka Barana – i w krótkich słowach, łamaną polszczyzną oznajmił zebranym, że Władza Radziecka oswobodziła nasze tereny i będzie tu rządziła za pośrednictwem „Polskiej Raboczej Partii”... Rozstawieni w różnych miejscach, pośród zebranych, pracownicy NKWD, jak na komendę wydali 3-krotny okrzyk „Hurra” i błyskawicznie opuścili plac na którym odbywało się zebranie. Chyba najprędzej ulotnił się ppłk Baran, wyczuwając następstwa zaistniałej sytuacji... Chyba za sprawą Opatrzności ppłk Baran często zmieniał miejsce pobytu, unikając w ten sposób aresztowania i likwidacji, jak to miało miejsce w odniesieniu do Burmistrza Miasta Leopolda Zawilskiego i sekretarza Toltoczki, którzy aresztowani zniknęli bez śladu”. Szczęście dopisało również aresztowanemu „Wołyniakowi”, który zbiegł z transportu 1200 żołnierzy wyklętych przewożonych z obozu NKWD w Bałkończycach pod Przemyślem do łagru w Borowiczach.*

Dla Józefa Chrząszczyńskiego kolejny etap ukrywania się i konspiracji, tym razem przed władzą ludową, rozpoczął się ucieczką w połowie sierpnia 1944 r., dosłownie w przeddzień otoczenia przez NKWD jego domu rodzinnego. Często zmieniał miejsce pobytu, ukrywał się m.in. we wspomnianych już Maleniskach, Grodzisku Dolnym, ale też w Przeworsku. Wówczas nabrał przekonania, że „jest to druga okupacja”. Dnia 26 lutego 1945 „Lucjan” ponownie objął funkcję szefa sztabu Okręgu Rzeszowskiego NOW. Uczestniczył m.in. 3 maja 1945 r. w od-

Leżajsk

Stempelek do przedruku I przygotowano jeszcze przed odejściem okupanta. Z chwilą wyzwolenia przez oddziały AK i ujawnienia się konspiracyjnych władz cywilnych, przedrukowano pozostałości znaczków okupacyjnych. Wszystkie wartości były sprzedawane na pocztę, a większość wartości spotyka się na listach. Po przejściu Leżajska przez władze cywilne PKWN, a pocztę przez resort MPiT w Lublinie, zaprzestano używania znaczków i dokonano rozliczenia przekazujących pieniądze i nie sprzedane znaczki poddyrekcji PiT w Rzeszowie.

Znaczki

1944, 2 sierpnia. Znaczki GG z czarnym nadrukiem metalowymi stemplami – typ I na zn. z Hitlerem, typ II na zn. widokowych (ON131–132). Nakład: 1 – 1051; 2 – 650; 3 – 1308; 4 – 2531; 5 – 2523; 6 – 207; 7 – 338; 8 – 5433; 9 – 721; 10 – 265; 11 – 346; 12 – 385; 13 – 830; 14 – 286; 15 – 415; 16 – 28; 17 – 95; 18 – 133; 19 – 50 szt.



prawie oddziałów leśnych przed zwycięską potyczką z ekspedycją karną NKWD pod Kuryłówką. Wobec braku perspektyw dalszego oporu zbrojnego Komenda Oddziałów Leśnych została rozwiązana miesiąc później przez dowódcę Okręgu „Groma”. Natomiast Józef Baran – teraz już jako Józef Chrzęszczyński, dalej zagrożony aresztowaniem i represjami, podjął wraz z małżonką decyzję o osiedleniu się na Ziemiach Odzyskanych i rozpoczęciu normalnego, cywilnego życia. Zrządzeniem losu przez Poznań, Toruń, Gdańsk, Słupsk jako osadnik – pionier trafił w lipcu 1945 r. do Koszalina.

Pierwszą pracę otrzymał już 1 sierpnia 1945 r. w Społecznym Przedsiębiorstwie Budowlanym, a w maju 1946 r. został inspektorem osadnictwa w Państwowym Urzędzie Repatriacyjnym, jeszcze później – urzędnikiem Starostwa Powiatowego w Koszalinie. Tutaj zastała go uchwalona przez Sejm Polski Ludowej ustawa amnestyjna. Ujawnił swoją konspiracyjną działalność 11 marca 1947 r., wystąpił także o zmianę nazwiska rodowego na konspiracyjne do władz wojewódzkich. Pozytywną decyzję w tej sprawie podjął wojewoda Leonard Borkowicz 27 lutego 1948 r. Pracujący w urzędzie Pan Józef natychmiast znalazł się w kręgu zainteresowania bezpieki. Dnia 19 lipca 1947 r. został zarejestrowany przez Janusza Bielskiego z referatu V PUBP jako tajny informator o pseudonimie „Portret”. Nawet to nie uchroniło pana Józefa przed represjami za wcześniejszą działalność. Już w sierpniu, podczas rozpracowywania struktur i aresztowań byłych żołnierzy NZW, został aresztowany przez funkcjonariuszy Wydziału III WUBP w Rzeszowie i tam przez miesiąc był przesłuchiwany. Prowadzący przesłuchania ppor. UB Wacław Świdorski nie dopatrzył się różnic pomiędzy oświadczeniem amnestyjnym i zeznaniami, wobec czego Chrzęszczyński został zwolniony i powrócił do Koszalina.

Trzeba było jeszcze wypłatać się ze współpracy z Urzędem Bezpieczeństwa. Z zapisów w teczce osobowej „Portreta” (cytaty pochodzą z pracy Krzysztofa Kaczmarskiego, p. 4 bibliografii) wynika, że zwerbowanie nie przyniosło bezpiece żadnych wymiernych korzyści: *Wykazuje niechęć do pracy i unika spotkań. Dostarcza przeważnie materiały o treści ogólnoinformacyjnej, mało wartościowe... zapatrywania do obecnego ustroju są wrogie, z zasad i obyczajów jest prawicowcem... nie chce współpracować z Org. Bezp. Publ. gdyż nie ma żadnych możliwości w rozpracowaniu podziemia oraz nie chce się mieszać do polityki... po linii III Wydziału nie przedstawia żadnej wartości operacyjnej... I wreszcie z wniosku kpt. Igora Burdzieja: ...niecelowe jest przekazywanie w/w do Wydz. IV-tego (prowadzącego sprawy gospodarcze), lecz należy go wyeliminować.* I tak się stało, Chrzęszczyński został „wyłączony z sieci” decyzją z dn. 31 marca 1952 r. Również obecnie, w ocenie historyków Instytutu Pamięci Narodowej, dokonanej przed pośmiertnym odznaczeniem przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego, epizod współpracy z UB nie był przeszkodą w wysoce



pozytywnej ocenie całokształtu działalności Józefa Chrząszczyńskiego w walce o wolność i niepodległość Polski. Szczegółowe uzasadnienie takiego stanowiska IPN zawiera cytowana wyżej monografia K. Kaczmarekiego. Wydaje się, że Baran-Chrząszczyński nie rozróżniał niuansów politycznych już podczas okupacji, co uwidoczniło się kilkakrotnie jego wyborami pomiędzy NOW, NSZ i AK. Dla niego najważniejszym zadaniem pozostawała walka z okupantem, co zostało wykorzystane przez oficera UB do werbunku, dał się złapać na tzw. „patriotyzm”.

Jeszcze w 1947 r. pan Józef wstąpił do „lubelskiego” Stronnictwa Ludowego i przyjął funkcję wiceprzewodniczącego Zarządu Powiatowego w Koszalinie. Jednocześnie – do października 1948 r. – był prezesem Zarządu Powiatowego Związku Samopomocy Chłopskiej. Zgłoszony przez Stronnictwo został wybrany radnym Powiatowej Rady Narodowej i przewodniczył Komisji Rolnictwa. Po zwolnieniu z rzeszowskiego UB pracował kolejno w dyrekcji Okręgu Morskiego Funduszu Wczasów Pracowniczych, następnie w Centrali Rybnej, a później jako plastyk w Spółdzielni Pracy „Sztuka”. Przejściowo był również pracownikiem „Orbisu”, a od 1961 r. do czasu przejścia na emeryturę zajmował w Wojewódzkim Zrzeszeniu Prywatnego Handlu i Usług stanowisko pracownika socjalnego. Zmarł w Koszalinie 29 kwietnia 1969 r., spoczął w rodzinnym grobowcu na cmentarzu św. Jerzego w Toruniu.

W latach pięćdziesiątych rzucił się w wir pracy społecznej, a przede wszystkim urealniał nabyte jeszcze przed wojną zainteresowania krajoznawcze, w czym dzielnie sekundowała Chrząszczyńskiemu małżonka Łucja. *„Ciekawi jesteśmy z żoną przeszłości tej ziemi, na której przyszło nam żyć. Studiujemy więc niemiecką literaturę dotyczącą powiatu koszalińskiego i miasta Koszalina. Wkrótce podajemy do prasy artykuł na temat historii i przeszłości słowiańskiej Koszalina, chwyta. Odtąd niemal w każdym świątecznym numerze ukazują się nasze artykuły historyczne”* – wspomina pan Józef (2). Wrócił również do pracy organizacyjnej. Na pierwszym spotkaniu zorganizowanym przez inż. Bronisława Bogusza (pełnomocnika do założenia Oddziału PTK w Koszalinie ustanowionego dn. 23.10.1950 przez Bolesława Czwójdzińskiego i Czesława Piskorskiego z Okręgu PTK w Szczecinie, od grudnia 1950 – Okręgu PTTK) w styczniu lub lutym 1951 r., Józef Chrząszczyński został wybrany pierwszym prezesem Oddziału PTTK w Koszalinie. W skład społecznych władz oddziału – oprócz inż. Bogusza – weszli również: wicestarosta powiatu koszalińskiego Mieczysław Kalita, kierownik Wydziału Powiatowego Kazimierz Bienkiewicz i wiceprzewodniczący Prezydium PRN, Niewiadomski. *„Z pierwszych imprez, które wówczas organizowaliśmy, pamiętam wycieczki piesze na Górę Chełmską, przewodnikiem bywał najczęściej Józef Chrząszczyński... Pracowaliśmy też przy pierwszych poczynaniach związanych z zagospodarowaniem Góry Chełmskiej m.in. przy urządzaniu amfiteatru, ścieżek spacerowych i oznakowaniu”* – wspomina B. Bogusz.



Z inicjatywy Józefa Chrzęszczyńskiego powstała w 1954 r. przy Zarządzie Okręgu PTTK w Koszalinie Komisja Krajoznawcza i Opieki nad Zabytkami. Efektem jej pracy była pierwsza koszalińska publikacja o regionie – przewodnik „Błękitny Szlak Ziemi Koszalińskiej”, wydany w 1956 roku. Kolejne przewodniki ukazały się już pod własnym nazwiskiem: „Koszalin, Mielno i okolice” (1958 r.) oraz „Koszalin i okolice” (Wydawnictwo Poznańskie, 1967). Ten ostatni – pomimo upływu czasu – najciekawiej przedstawia dzieje Koszalina umiejętnie kompilując podania kronikarzy niemieckich oraz fakty historyczne; tutaj wspierała autora swoją doskonałą znajomością języka niemieckiego pani Łucja. Na pierwszej stronie Chrzęszczyński pisze: *„Mimo wieków niewoli przetrwało tu wiele nazw słowiańskich, świadczących o polskości tych ziem, jak Boża Góra, Stroma Góra; jeziora – Cieszyń, Dobry, Lubiatowo; rzeki – Unieść, Polnica, Raduszka, Świdniczka i inne.”* Podobnie, jak pozostali pionierzy koszalińscy nie zdawał sobie sprawy, że przed wiekami gospodarzami Pomorza były mówiące swoim językiem plemiona Kaszubów, a przytoczone, spolszczone nazwy były efektem działań Komisji Przywrócenia Nazw Słowiańskich DOKP w Poznaniu (inicjatorem jej założenia był wspomniany już krajoznawca Bolesław Czwójdziński). W zasadniczej części rację trzeba przyznać Chrzęszczyńskiemu: nie tylko te przytoczone nazwy, ale również wiele innych, bardziej kaszubskich, jak np. jezioro Dołgie (= Długie), świadczy o słowiańskiej przeszłości całego Pomorza.

Oprócz przewodniczenia Komisji Krajoznawczej udzielał się również w innych komisjach PTTK: turystyki pieszej i przewodniczącej. Był pierwszym przewodnikiem turystycznym w Koszalinie i wychowawcą kolejnych przewodników. Oficjalne uprawnienia otrzymał „z urzędu” dnia 10 kwietnia 1962 r., po powstaniu GKKFiT, który uregulował przepisy prawne w turystyce polskiej, w tym także wykonywanie zawodu przewodnika turystycznego (tak samo potraktowano również trzy inne osoby: Irenę Bęcką, Zenona Lisieckiego i Jerzego Zagórskiego). Za całokształt działalności turystyczno-krajoznawczej, z uwzględnieniem okresu przedwojennego, został w 1959 r. wyróżniony Złotą Honorową odznaką PTTK. W 1960 r. władze PTTK postanowiły wydzielić z Okręgu PTTK Oddział PTTK w Koszalinie, obejmujący swoim zasięgiem miasto i powiat koszaliński. Pod wnioskiem do ówczesnego Urzędu Spraw Wewnętrznych Prezydium WRN w Koszalinie podpisało się 15 członków założycieli, wśród nich figurują również podpisy Józefa i Łucji Chrzęszczyńskich.

Działalność społeczną pana Józefa należy rozpatrywać również w innych przejawach życia społecznego Koszalina. Był współorganizatorem Towarzystwa Przyjaciół Pamiętnikarstwa, udzielał się także w Związku Byłych Więźniów Politycz-



nych. W Zjednoczonym Stronnictwie Ludowym był przewodniczącym powiatowego sądu partyjnego, a także przewodniczącym okręgowej komisji kultury i oświaty. Koszaliński oddział PTTK nazwał Jego imieniem czerwony szlak pieszy prowadzący z Góry Chełmskiej do Tychowa, liczący 50 km. Nieoficjalnie na Jego cześć został nazwany imieniem „Józef” rosnący przy tym szlaku pomiędzy Manowem i Rosnowem pomnikowy, dorodny dąb szypułkowy. Działacze społeczni Koszalina doprowadzili do nadania imienia Józefa



Chrząszczyńskiego nowej ulicy w mieście. Tak było do zmiany ustroju – uchwałą Rady Miejskiej Koszalina ulica ta została przemianowana na Chełmską, jedną uchwałą usuwającą z koszalińskich ulic nazwiska „utrwalaczy władzy ludowej” i wielce zasłużonego patrioty. Stało się tak m.in. dlatego, że nikt z urzędników Ratusza, ani rajców miejskich nie wiedział, kim był Józef Chrząszczyński.

Dopiero w 2009 roku postanowieniem Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego został pośmiertnie odznaczony Krzyżem Komandorskim Odrodzenia Polski *za wybitne zasługi dla niepodległości Rzeczypospolitej Polskiej, za działalność na rzecz przemian demokratycznych w Polsce oraz działalność kombatancką i społeczną, za osiągnięcia w podejmowanej z pożytkiem dla kraju pracy zawodowej i działalności społecznej* (4). Order w imieniu ojca odebrał dn. 27.11.2009 r. jego syn, Tadeusz. Wobec takiego zaszczytu nikt nie powinien mieć wątpliwości, że pamięć Józefa Barana Chrząszczyńskiego powinna być przywrócona również w grodzie koszalińskim.

Zebrał i opracował Wacław Nowicki.

W przypadku rozbieżnych i niekiedy sprzecznych informacji oparłem się na pracy Krzysztofa Kaczmarek, którą przyjąłem jako najbardziej udokumentowaną źródło.



Bibliografia:

1. Eugeniusz Buczak: *Współtwórcy koszalińskiej kultury*. Koszalin, 1974.
2. Józef Chrząszczyński: *Wśród pierwszych osadników*. W: *Zapiski Koszalińskie* nr 3, Koszalin 1964.
3. Maria Hudymowa: *Ocalić od zapomnienia*. TPP, Koszalin 2002.
4. Krzysztof Kaczmarek: *Przypadek majora „Lucjana”*. Zarys biografii Józefa Barana vel Chrząszczyńskiego (1899–1969). W: *Zeszyty Historyczne WiN-u* nr 32–33 z 2010 r., IPN Wrocław.
5. Bernard Konarski: *Ich pasją była turystyka*. ZW PTTK, Koszalin 1983.
6. Wacław Nowicki: *Rozwój Oddziału PTTK w Koszalinie w latach 1950 – 1990*. AWF Poznań, 1991.
7. Anna Ordyczyńska: *Sylwetki Leżajszczan*. Internet
8. Józef Sprutta: *Biuletyn Miejski*, Koszalin 1997



Mikołaj Praczuk

Takie były początki

Wnieznane

Drogą na Sochaczew, Łódź, Kalisz, Poznań mknie kolumna w składzie dzieściu rozklekotanych po wysiłkach wojennych, lecz własnym sumptem naprawionych „gazików”. Na przydzielonych z demobilu samochodach posuwa się wojewódzka grupa operacyjna pierwszego pełnomocnika Rządu Polski Ludowej na teren Pomorza Zachodniego.

Celem tej grupy było możliwie szybkie dotarcie do Szczecina, przyszłej stolicy województwa, opanowanie terenu poprzez organizację administracji, zabezpieczenie opuszczonego przez Niemców mienia oraz zagospodarowanie terenu.

W skład ekipy liczącej do sześćdziesięciu osób wchodziłi ludzie reprezentujący różne dziedziny życia – oni też w znacznej większości byli delegatami resortów.

Na czele ekipy był Aleksander Kaczocha-Józefski, pierwszy pełnomocnik Rządu. Delegatem Ministra Oświaty był prof. dr Stanisław Helsztyński. Kierownictwo transportu spoczywało w rękach Lubczyńskiego, obecnie pracującego w koszalińskim szpitalu miejskim. Żona jego była osobistym tłumaczem pełnomocnika.

Każdy z członków ekipy zdawał sobie sprawę z ogromu odpowiedzialności i zaszczytnej roli, jaka przypadła mu w udziale. Posuwano się w nieznane. Przyszłość była zagadką.

Grupa oświatowców wchodząca do ekipy wyjechała z Warszawy w składzie dwóch osób. W Łodzi dołączył jeszcze jeden. Tym trzecim był autor niniejszych wspomnień. Wczesna, stosunkowo ciepła wiosna sprzyjała odbywającym podróż w otwartych samochodach. Znaczna większość grupy to mieszkańcy Warszawy, którzy w czasie powstania stracili cały swój dobytek, a tym samym i wiele rzeczy z ciepłego ubrania.



Na drugi dzień, po złożeniu kurtuazyjnych wizyt i załatwieniu formalności związanych z dalszą podróżą, postanowiono w tym samym dniu dotrzeć do Piły. Przed samym wyjazdem z Poznania jeden z grona oświatowców rezygnuje z dalszej podróży decydując się na powrót do Warszawy. Z drugiej strony skład osobowy kolumny znacznie się zwiększył i to o kilka ciężarówek. Z Poznania bowiem dołączyła uzbrojona kompania Milicji Obywatelskiej, zadaniem której było zabezpieczenie grupy operacyjnej od niespodzianek ze strony chociażby wałęsających się w lasach niedobitków wroga, a z drugiej strony zabezpieczenie ładu, bezpieczeństwa i porządku na odzyskanej ziemi.

W miarę zbliżania się do granicy państwowej sprzed roku 1939 podniecenie wzrastało. W mijanych osiedlach na skrzyżowaniach dróg wojskowe posterunki radzieckie – regulujące ruch. Wreszcie dawna granica państwowa. Czarnków, Noteć, most pontonowy strzeżony przez wojsko i duża brama tryumfalna z napisem rosyjskim „Oto ona przeklęta Germania!”. Za bramą nowy nieznanym dla jadących teren. Krajobrazowych różnic nie widać, prócz chyba tego, że jest więcej lasu.

W lasach i na polach uszkodzone czołgi, wraki dział, furgony, beczki po benzynie, stosy artyleryjskich pocisków, szmat, papieru poruszanego wiatrem. Ani jednej żywej duszy.

Mijane z dotkliwymi śladami niedawnego frontu osiedla zupełnie puste. Jedyne gdzieś tam wałęsające się w poszukiwaniu żeru bezpańskie koty ożywiają krajobraz.

W większych przydrożnych osiedlach jednostki wojsk radzieckich przy specjalnie ustawionych szlabanach sprawdzają dokumenty i wskazują kierunek dalszej jazdy. Wreszcie przed wieczorem 9 IV 1945 r. kolumna dociera do Piły.

Piła

Przy wjeździe do miasta obok szlabanu wojskowa pikietka. Sprawdzanie dokumentów. Wjazd wolny. Piła. Miasto w ponad 90% zniszczone, bez mieszkańców, ożywiane jedynie ruchem kolumn wojskowych posuwających się w pewnych odstępach czasu na zachód. Domy zburzone lub wypalone, w powietrzu swąd spalenizny i woń rozkładających się ciał padłych koni, których jeszcze nie sprzątnięto. W kilku miejscach jeszcze się pali. Na ulicach wśród szkła i rozbitej cegły pełno wyrzuconych i zdemolowanych urządzeń sklepowych, mebli, szyldów. Kawalkada samochodów zatrzymała się na placu przed okazałym gmachem dawnej rejencji pilskiej. Po krótkiej odprawie już o zmierzchu ludzie grupami udali się na poszukiwanie miejsca, gdzie można przenocować. Po długim błędzeniu grupa oświatowców dotarła do skraju miasta, gdzie natrafiono na zamieszkały przez Niemców budynek. Noclegu odmówiono tłumacząc się brakiem miejsca. W dro-



dze powrotnej trafiono na nieduży, ukryty w głębi ogrodu parterowy ocalały, nie zajęty budynek. Tam też po spożyciu suchych racji żywnościowych z własnych zapasów, zmęczeni drogą i wrażeniami, wkrótce usnęli snem sprawiedliwego.

Na drugi dzień o godzinie 10.00 zebrano się w sali obrad dawnej rejencji na odprawę. Tamże dotychczasowy pełnomocnik Rządu przekazuje swoje pełnomocnictwa oraz województwo nowemu wojewodzie – pułkownikowi WP Leonardowi Borkowiczowi.

W swoim przemówieniu nowy wojewoda podał do wiadomości najbliższe zadania i udzielił wytycznych odnośnie dalszego postępowania.

Dalsze posuwanie się grupy wojewódzkiej do Szczecina było na razie wstrzymane. Stolicą województwa do czasu ukazania się nowych zarządzeń pozostaje Piła. Należy więc poszczególnym grupom resortowym, wykorzystując możliwe do osiągnięcia środki lokalowe zorganizować biura, załatwiać interesantów, rekrutować kandydatów do obsadzenia stanowisk na szczeblu powiatowym. Zwerbowanych przez poszczególne wydziały wojewódzkie kandydatów należy łączyć w powiatowe grupy operacyjne, które pod kierownictwem mianowanych pełnomocników powiatowych (starostów) wyjeżdżały z Piły do wyznaczonych powiatów, a to celem zorganizowania starostwa, inspektoratu szkolnego i innych urzędów I-szej instancji.

Stosownie do wytycznych oświatowcy – załazek Kuratorium Okręgu Szkolnego Szczecińskiego – w osobach prof. dr. Stanisława Helsztyńskiego, zarazem delegata Ministra Oświaty i niżej podpisanego, któremu z dniem 10 kwietnia 1945 r. powierzono pełnienie obowiązków naczelnika wydziału Szkolnictwa Powszechnego, udali się do miasta na poszukiwanie obiektu dla Kuratorium.

Po pewnym czasie natrafiono na taki budynek. Postanowiono zorganizować biuro w skrzydle tego budynku. Po chwili na frontowych drzwiach zawieszono naprędce, lecz starannie wykonaną tablicę z napisem „Kuratorium Okręgu Szkolnego na okręg Zachodnie Pomorze”. Podano też adres do wiadomości urzędowi wojewódzkiemu.

W międzyczasie skład osobowy oświatowców zostaje powiększony. Pierwszym petentem był Wiktor Pachorski, nauczyciel szkoły powszechnej z ukończonym WKN w Łodzi. Powierzono mu stanowisko inspektora szkolnego w Pile. Na etat referendarza w Kuratorium powołano Zdzisława Adamowskiego – nauczyciela szkoły powszechnej z ukończonym WKN w Poznaniu. Stanowisko Okręgowego wizytatora szkół powszechnych powierzono Józefowi Bochniakowi – absolwentowi instytutu nauczycielskiego.

Pracownicy Kuratorium już w nieco zwiększonym składzie zajęli się urządzeniem biura, na które przeznaczono jedną z większych sal w budynku szkolnym. Była to sala o stosunkowo najmniej uszkodzonych szybach.



Usunięto własnymi siłami śmiecie, zmyto podłogę, pośrodku sali ustawiono w jeden rząd stoły przegradzając w ten sposób izbę na dwie części. Z jednej strony ustawiono zniesione z okolicznych domów leżanki dla personelu, z drugiej 10 leżanek dla zgłaszających się interesantów. W kącie sali wmontowano żelazny piecyk do ogrzewania i przyrządzania gorących posiłków dla potrzeb własnych oraz dla interesantów. Rurę od piecyka odprowadzono do jednego z okien budynku.

Brykietów w suterrenach było pod dostatkiem, a noce były chłodne.

Tak urządzony lokal stał się biurem, mieszkaniem dla obsady Kuratorium, zarazem hotelem dla zgłaszających się do pracy kandydatów.

Raz dziennie korzystano z bezpłatnych obiadów składających się z jednej zupy, a wydawanych w wojewódzkiej stołówce. Śniadania i kolacje siłą rzeczy organizowano we własnym zakresie. Na szczęście w piwnicach domów można było znaleźć zapasy ziemniaków, marchwi, pietruszki i cebuli, a w spiżarniach trafiało się zawekowane mięso, tłuszcz, groszek, itp.

Wolne od zajęć służbowych chwile spędzano według upodobań osobistych. Kurator Okręgu Szkolnego dr St. Helsztyński wykorzystywał każdą wolną chwilę i do późnych godzin nocnych przy palącym się ogarku świecy był zajęty pisanem artykułów do prasy, opisując piękno ziemi zachodniopomorskiej, wydarzenia historyczne jakie miały miejsce na tej ziemi, gorąco apelował do ludzi dobrej woli zachęcając w ten sposób do przesiedlania się na ziemie nowo odzyskane. Stale zamyślony, znany uczony, wielki erudyta, był z natury swej człowiekiem bardzo skromnym w swoich potrzebach. Pogodnie znosił braki i trudy życia pionierskiego, w czym pomocną mu była duża doza posiadanego optymizmu. W obcowaniu z ludźmi bardzo ujmujący, dobry psycholog, potrafił porywać ludzi dla sprawy. Sam pełen zapału umiał ten zapal rozniecić u innych. Stąd też ludzie chętnie szli pracować na stanowiska przezeń proponowane. Mistrz słowa. Świadczy o tym chociażby taki drobny wypadek.

Pewnego dnia w godzinach wieczornych nie opowiadając się nikomu wychodzi sam do miasta. Długo nie wraca. Zbliża się zmierzch. Zaniepokojenie. Pozostali pracownicy Kuratorium udają się na poszukiwania. W tym czasie ulice były nieoświetlone. Wodociągi, elektrownia, gazownia były doszczętnie zniszczone.

Po długim błędzeniu bezludnymi ulicami miasta widzę z daleka sylwetkę kuratora stojącego przed niedużym skromnym domem. Wokół nikogo. Podchodzę bliżej.

Dr Helsztyński nie zmienia postawy, trwa nadal w skupieniu zapatrzony w stojący przed nim obiekt. Nie zauważa zbliżającego się doń współpracownika, który staje cichutko nieco w tyle i czeka. Dopiero po kwadransie doktor się ocknął, odwrócił i poznał. Przyjaźnie się uśmiecha oraz wskazując na obiekt będący przedmiotem jego obserwacji oznajmia, że jest to dom, w którym urodził się Stanisław Staszic.



Po powrocie do domu długo, kiedy reszta pracowników już spała, pisał. Wkrótce potem w prasie ukazał się piękny, patriotyczny, pełen liryki jego artykuł pt. „Rozmowa z duchem Stanisława Staszica”.

Dużo wolnego czasu poświęcano na poszukiwania, oględziny miejscowych budynków szkolnych, ustalenie ich ilości, typu i rodzaju. Udział w tego rodzaju wycieczkach brał Tadeusz Mikolaszek, nauczyciel, absolwent Państwowego Instytutu Nauczycielskiego, któremu zgodnie z jego życzeniem powierzono z dniem 3 V 1945 r. kierownictwo jednej z miejscowych szkół.

Był to w tym okresie pierwszy i jedyny kierownik szkoły powszechnej w Pile. Toteż zobowiązano go do zabezpieczenia bogatego sprzętu i pomocy naukowych, w jakie były zaopatrzone miejscowe szkoły, tym bardziej, że z każdym dniem od maruderów robiło się coraz rojniej.

Do Szczecina

W dniu 7 maja 1945 r. o godzinie 12.00 przed lokal Kuratorium podjeżdża częściowo załadowana ludźmi jedna z wielu otwartych ciężarówek i zabiera pracowników kuratorium, tym razem w składzie sześciu osób. O wygodach w podróży z powodu niedostatecznej liczby wozów nie było mowy. Trzeba było jechać w pozycji stojącej. Wolno też było zabrać ze sobą tylko rzeczy osobiste, no i akta. Nikt jednak nie narzekał. Każdy pragnął dostać się nareszcie do Szczecina, gdzie wydawało się nastąpi koniec koczowniczego życia. Dopiero za miastem wszystkie wyjeżdżające samochody utworzyły kolumnę, która szybko skierowała się na Stargard.

Kikuty uszkodzonych ogniem artyleryjskim całych połaci sosnowych lasów.

W przydrożnych rowach co chwila leżące do góry kołami kadłuby samochodów wojskowych. Niektóre już zardzewiałe, jakby wojna skończyła się kilka lat temu. Chwilami obok drogi samotne świeże mogiły oznaczone grubo ciosanym krzyżem.

Na niektórych krzyżach zawieszone wojskowe hełmy. Na placach mijanych miast zbiorowe mogiły poległych żołnierzy Armii Czerwonej.

I tym razem przemarznięci, głodni podróżni musieli zanoćować na zakurzonych biurkach lub podłodze w zanieczyszczonych i pełnych różnych rupieci izbach. Takie urządzenia komunalne jak elektrownia, wodociągi – były zniszczone. Na szczęście niektórzy byli zaopatrzeni w świece. Aby po podróży się umyć wykorzystywano wodę z rzeki Odry.

Na drugi dzień z powodu chwilowej nieprzydatności obiektu przeniesiono się do bardziej uporządkowanego budynku. Tym razem w śródmieściu. W budynku tym obecnie rezyduje Prezydium Miejskiej Rady Narodowej. W gmachu tym dla Kuratorium wydzielono sześć izb. Jak na ówczesne potrzeby było to całkiem wy-



starczające. Z miejsca zawieszono przygotowane tablice orientacyjne, ustawiono dobre meble, dopasowano klucze, poukładano przywiezione z Piły skromne akta i rzeczy osobiste.

W drugiej połowie maja nagle – z przyczyn bliżej nieznanых – zarządzono, aby wszystkie instytucje a również Polacy-osiedleńcy opuścili Szczecin. Zaczęto się pakować i pewnego dnia załadowano akta i personel na ciężarówkę. W ciągu kilku godzin, z trudem mijając posuwające się na Stargard pojazdy i kolumny pieszych, dojechano do Stargardu. W Stargardzie zatrzymano się na kilka dni w oczekiwaniu na dalszą podróż, tym razem pociągiem do Koszalina, który upatrzone jako tymczasową, do czasu wyjaśnienia sytuacji w Szczecinie, siedzibę województwa.

W Stargardzie dla Kuratorium przeznaczono kilka prywatnych mieszkań w jednym z ocalałych bloków. W okresie pobytu w tym mieście zlustrowano miejscowy Inspektorat Szkolny. Dzięki sprężystości i inicjatywie inspektora Jana Ziemnickiego biuro inspektoratu ulokowało się w jednej z ocalałych ładnych wille. Zdołano zabezpieczyć sześć budynków szkolnych, z których jeden przeznaczono dla przyszłego Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącego. Na miejscu już był i dyrektor w osobie Jana Podoby. Ponadto powołano do trzech szkół powszechnych kierowników. Byli to Jan Kaliciński, obecny prezes Zarządu Okręgu ZNP w Szczecinie, Dionizy Abramowicz i Wacław Małecki. Już też byli i nauczyciele szkół powszechnych – Stanisław Duda, Tadeusz Plewiński, Julia Lisowska oraz Stefania Samiłowska. Spisano już inwentarz szkolny i przeprowadzono rejestrację dzieci i młodzieży.

Do Koszalina

Wreszcie 25 V 1945 r. załadowano się do wagonu towarowego – pociągu zmierzającego do Koszalina. Rankiem następnego dnia przyjazd do Koszalina.

Z dworca samochodami do gmachu zajmowanego obecnie przez Prezydium WRN. Zmęczenie, brak stałego własnego kąta, dawał się dotkliwie we znaki. Dzięki pomocy miejscowego inspektora szkolnego, Klaudiusza Górskiego, część personelu wraz z Kuratorem znalazła pomieszczenia i noclegi w gościnnym lokalu Komitetu PPS, położonym w sąsiedztwie dworca. W ciągu najbliższych dni postarano się o prywatne mieszkania, a to celem sprowadzenia swoich rodzin.

Koszalin już wtedy miał sporo mieszkańców. Wszystkie lepsze, mniej zdewastowane budynki były albo zamieszkałe lub też zabezpieczone, znakiem czego były zawieszane na drzwiach frontowych kartki z odpowiednim napisem.

Jeden z organizatorów szkolnictwa średniego na terenie miasta Koszalina, nauczyciel Edward Pikutowski zabezpieczył w ten sposób cały budynek przy



ul. Matejki 37, w którym zamieszkał kurator i część pracowników. Miejsce pracy w gmachu dawnej rejencji miało już charakter urzędu. Właściwe umeblowanie sprowadzono własnym wysiłkiem pracowników, czystość, wyznaczenie godzin pracy, posiadanie maszyn do pisania i materiałów kancelaryjnych – sprzyjało pracy. Odczuwało się jednak niedostateczny kontakt z Ministerstwem Oświaty, brak instrukcji, zarządzeń, dzienników urzędowych, wytycznych itp. Pracę trzeba było prowadzić samodzielnie, często w oparciu o dawne przedwojenne wzory, które zdołano zachować w pamięci.

W czasie pracy w Koszalinie, Kuratorium odwiedził naczelnik wydziału Ministerstwa Oświaty Jan Szurek. Po dokładnym zorientowaniu się w sytuacji, po udzieleniu rad, wskazań i wytycznych naczelnik Ministerstwa Oświaty wraz ze mną dokonał inspekcji Inspektoratu Szkolnego w Koszalinie oraz szkoły powszechnej w Mścicach w pow. koszalińskim.

W czasie inspekcji stwierdzono poważny dorobek i postępy w pracy miejscowego Inspektoratu, który mimo zajmowania budynków szkolnych przez wojskowe szpitale zdołał zorganizować szkoły tymczasowo w prywatnych budynkach. W samym Inspektoracie mieszczącym się w ładnym piętrowym budynku przy ul. Armii Czerwonej – ład i porządek. Założono już teczki akt i spisano wraz z charakterystyką wszystkie budynki szkolne w powiecie. Obsada prawie w komplecie. Na czele kancelarii doświadczony pracownik, sekretarz Inspektoratu Anastazy Gromiszewski. Biuro zaopatrzone w maszyny biurowe, powielacz i dostateczny zapas materiałów kancelaryjnych. Do dyspozycji służbowy powóz i para koni. Osobisty kontakt Inspektora z zarządami gmin nawiązany. Staraniem nauczyciela Karola Mytnika organizuje się powiatowa komórka ZNP.

Będąc w Mścicach stwierdzono, że nauczycielka tej szkoły Zofia Czajkova, pracuje według sporządzonego rozkładu materiału naukowego. Lekcje odbyte są zapisywane systematycznie w prowizorycznym, własnoręcznie sporządzonym dzienniku lekcyjnym. W klasie czysto, dzieci pełna klasa. Są śmiałe i żywe, lecz zachowują się karnie. Przysłuchując się lekcji odnosi się wrażenie, że nauczycielka ma za sobą duże doświadczenie.

W ostatnich dniach sierpnia 1945 roku kurator Helsztyński oznajmił, że wobec wykonania zadań, które mu powierzono, wraca do ukochanej Warszawy. Na jego miejsce został powołany kurator w osobie Józefa Kani. Przekazanie Kuratorium odbyło się w dniach 1 - 13 września 1945 r. A 15 września po pożegnaniu się z współpracownikami dr Helsztyński wraca do Warszawy, pozostawiając po sobie dorobek w postaci 293 szkół powszechnych, 421 nauczycieli, 29.500 uczniów.

Szkół średnich ogólniopszkolnych 16; uczniów 1.400, szkół zawodowych 4, uczniów 215, szkół dla dorosłych – 102, uczniów 1. 735.



Na pierwszej odprawie wewnętrznej, odbytej dnia 26 IX 1945 r. kurator Kania, po wysłuchaniu sprawozdań i po zapoznaniu się z sytuacją szkolnictwa w okręgu, udzielił wytycznych do dalszej pracy, zwracając uwagę na rolę narad wewnętrznych wydziałowych i międzywydziałowych. Zapoznał obecnych z treścią całego szeregu ważnych narad, w których brał osobiście udział. Zakomunikował o wyjednaniu dla potrzeb Kuratorium 2 samochodów. Wezwał do uporządkowania akt personalnych pracowników Kuratorium, inspektorów szkolnych i nauczycieli. Poinformował też, że urząd wojewódzki w niedalekiej przyszłości zostanie ostatecznie przeniesiony do Szczecina. Zapytany o dalsze losy Kuratorium, oświadczył, że w tej sprawie porozumie się jeszcze z Pełnomocnikiem Rządu, ale po powrocie z Warszawy i w razie konieczności przeniesienia się zajdzie potrzeba przeprowadzenia całego szeregu prac przygotowawczych w samym Szczecinie, jak wybór lokalu dla Kuratorium, zabezpieczenie mieszkań dla pracowników itp.

Iznów do Szczecina

W pierwszych dniach grudnia 1945 r. zgodnie z zarządzeniem władz, Kuratorium Okręgu Szkolnego musiało pożegnać się z gościnnym Koszalinem i przenieść się do Szczecina. Zaczęto pakować do specjalnie zbitych własnymi siłami skrzyń maszyny i sporą już ilość akt urzędowych. Akcja przeprowadzki i transportu mnie była zlecona.

W połowie grudnia podstawiono trzy ciężarówki, na które załadowano bagaże i ludzi. Koło południa w pochmurny dżdżysty dzień ruszono na Karlino, Goleńców do Szczecina.

Przedruk z Lata pionierskiego trudu – wybór wspomnień mieszkańców, Koszalin 1970



Janina i Mikołaj Praczkowie w zaciszu domowym. 1959 r.



Warszawa, dnia 15 sierpnia 1948 r.

Nr IPB-11688/48

Obywatel Mikołaj Praczuk

p.o. Inspektora Szkolnego

w Koszalinie

Na podstawie art. 5 i 17 ustawy z dnia 17.II.1922 r.
o państwowej służbie cywilnej /Dz.U.R.P. Nr 21, poz.164/,
mianuję Obywatela z dniem 15 sierpnia 1948 r. do odwołania
Inspektorem Szkolnym z uposażeniem według VII /siódmej/
grupy na obwód szkolny koszaliński z siedzibą w Koszalinie.

Rozwiązanie stosunku służbowego może nastąpić po
uprzednim trzymiesięcznym wypowiedzeniu.



Minister

Dokument z 1948 roku powołujący Mikołaja Praczuka na Inspektora Szkolnego.

Prezydium Wojewódzkiej Rady
Narodowej
w K o s z a l i n i e
Wydział Oświaty

Nr.K.I. - 9 4 50
dnia 15 lipca 1950 r.

Ob. Praczuk Mikołaj
Inspektor Szkolny

Sprawa: powierzenie obowiązków
kierownika Oddziału.

w Koszalinie

Powierzam Obywatelowi za Jego
zgoda tymczasowo pełnienie obowiązków kierownika Oddziału
Planowania w Wydziale Oświaty Prezydium Wojewódzkiej Rady
Narodowej w Koszalinie od dnia 15 lipca 1950 r. do czasu
załatwienia sprawy przez Ministerstwo Oświaty.

Celem objęcia nowych obowiązków
winien Obywatel zgłosić się u kierownika Wydziału Oświaty
Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Koszalinie.

Data objęcia obowiązków
służbowych 13. VII. 1950 r.

Za Prezydium R.N.
Kierownik Wydziału Oświaty

Wojciech

Za Prezydium Wojewódzkiej
Rady Narodowej

Leon Kukulski
Leon Kukulski
Vice-przewodniczący

Dokument z 1950 roku powołujący Mikołaja Praczkę na stanowisko kierownika Oddziału Planowania
w Wydziale Oświaty Prezydium WRN w Koszalinie.



Henryk Roszak – pierwszy stolarz

Skończyłam 80 lat! Czy z tak dalekiej odległości można realnie i prawdziwie spojrzeć na lata 40 i 50-te XX wieku? Może się uda, bo choć zdrowie już nieco szwankuje, ale rozum jeszcze „nie śpi”. Na dodatek mam autentyczną i wiarygodną podporę – mianowicie ręcznie napisany pamiętnik mojego Ojca – jednego z pionierów przybyłych wraz z końcem wojny na Ziemię Koszalińską.

Ojciec, wysiedlony z rodziną z Bydgoszczy w 1940 r. – po 5-letniej tułaczce, nie mając już szansy na powrót do swojego warsztatu stolarskiego – dążył na Zachód razem z grupą osiedleńczą, skierowaną przez Związek Ziemi Zachodnich. Grupa ta (Gniezno, Bydgoszcz, Poznań) próbując znaleźć dla siebie i rodzin miejsce



H. Roszak

zamieszkania i pracy – poprzez Piłę, Szczecinek, Białogard – trafiła w końcu do Koszalina. Trudna to była droga, wszak trwała jeszcze wojna (kwiecień 1945 r.), zdarzały się miny, strzały wielorakiego pochodzenia, kłopoty z przemieszczaniem się, o wejście do wagonów trzeba było walczyć „sposobem”. Trzeba pamiętać, że szli na Zachód ci nasi osadnicy w towarzystwie doborowym, acz wymagającym, pewnym siebie – to przecież towarzysze z czerwoną gwiazdą na czapce byli naszymi wyzwoliciełami, mieli więc swoje wymagania, czasem wręcz bezwzględne żądania. Na szczęście, Ojciec i jego nowo poznani w tej niecodziennej podróży koledzy byli przezorni – znali słabość Rosjan. Udało im się wcześniej zaopatrzyć w kilka litrów bimbru. Jeszcze wiele razy później ten właśnie cenny trunek służył im jako „argument” w tym mierzeniu się z losem.

A w Koszalinie działało już starostwo (wcześniej udzielał im pomocy Polski Czerwony Krzyż). Ojciec, jako rzemieślnik-stolarz dostał przydział na warsztat stolarski z mieszkaniem przy ul. 1 Maja 26 (dom dziś wyburzony – tu zaczyna się Pasaż Millenium). Z przejściem pomieszczeń było jednak sporo kłopotów, bo były właściciel, Niemiec – nie bardzo chyba rozumiejąc, co się dzieje, czekał na powrót zięcia z wojny i uważał, że będzie mógł liczyć na odpłatność czy pobieranie czynszu.

A mnie się nasuwa myśl taka: Czy w tym momencie, kiedy Ojciec był zmuszony pokonywać kolejne trudy w zdobyciu kluczy do warsztatu i domu – czy wówczas przypomniał sobie rok 1940, kiedy Niemcy wywłaszczyli go z warsztatu („w robocie” było 12 kompletów mebli do sypialni) i mieszkania i w ciągu 20 minut o godz. 4 rano kazali się wynosić z żoną i dwojgiem małych dzieci? Na pewno nie. On się nigdy nie poddawał i nie chciał też pamiętać o przeszłości. I kiedy w tymże dużym warsztacie oprócz czeladników zatrudnił mieszkających jeszcze przecież w Koszalinie Niemców (dwóch stolarzy i jednego tokarza) a mama, ze względu na wiele osób do stołowania, musiała zatrudnić pomoc w kuchni i była nią również Niemka. Nie było mowy, ażeby ci Niemcy jadali osobno. Siedzieliśmy więc wszyscy razem przy jednym dużym stole w jadalnym pokoju. My, dzieci, również musieliśmy wobec Niemców zachowywać się przyzwoicie. Niemcy pracowali u nas do czasu swojego wyjazdu w 1946 r.

Tak uważali Rodzice; szczęśliwi, że koszmar wojny się skończył, dążyli jedynie do unormowania życia sobie i dzieciom. A ci Niemcy byli też Bogu ducha winnymi zwykłymi ludźmi – też ofiarami wojny – tak jak my.

Jakie więc znaczenie, jakie uzasadnienie ma dzisiejsze, nieobiektywne, wielkie larum o „wypędzeniach”, wszczynane i ożywiane przez pewne środowiska w Niemczech?

Ja – wówczas 14-latka – i brat o 2 lata młodszy – rozpoczęliśmy naukę w szkołach. Nie mieliśmy wojennych zaległości, bo na wysiedleniu w Generalnej Guberni uczyliśmy się w polskiej szkole; ja rozpoczęłam naukę gimnazjalną już w czasie wojny na tajnych kompletach, zatem w Koszalinie posłam do trzeciej klasy gimnazjum, początkowo przy ul. Traugutta, następnie ul. Zwycięstwa i dalej przy ul. Stalingradzkiej (obecnie Komisji Edukacji Narodowej) w moim ukochanym Dubois (w tamtych latach nie nazywaliśmy szkoły „klasztorem” jak obecnie). I do dziś z „dziewczynami i chłopakami z tamtych lat” spotykamy się na Zjazdach. W 2010 r. na jubileuszu 65-lecia szkoły z okazji X już Zjazdu miałam możliwość również przekazać swoje osobiste wspomnienia.

A Ojciec? Właściwą też (dla niego naturalną) postawę zachował, decydując, że trzeba znaleźć godnego odbiorcę ogromnej ilości niemieckojęzycznych książek, które były złożone (ratowane?) w holu mieszkania przy 1 Maja 26, pochodzą-



ce prawdopodobnie z jakiejś biblioteki. Wkrótce księgozbiór został przewieziony na Uniwersytet w Toruniu.

Niebywała niespodzianka spotkała Ojca jeszcze w 1945 r., bo oto w czasie rozmowy z jakimś człowiekiem, który usłyszawszy jego nazwisko (Roszak) powiedział, że on tu jechał razem z kobietą o tym samym nazwisku i okazało się, że to siostra Ojca, która również po powrocie z wysiedlenia znalazła się z grupą pionierów w Koszalinie. Radość była tym większa, że krótko po tym jej dzieci (syn z obozu, córka z robót przymusowych w Niemczech) odnalazły swoją mamę. Ciotka prowadziła przy ul.



Stoją: syn H. Roszaka Zbigniew (od prawej - niższy) i siostrzeniec Stanisław. Za nimi brama wjazdowa a na ścianie widoczna i czytelna tablica: Zakład Stolarski, Henryk Roszak, ul. 1 Maja 26.

Czystej ręczny magiel. Cóż to był za ogromny, piękny, stary mebel! Zawsze uważałam, że powinien znaleźć się w jakimś muzeum. Niestety, tak się nie stało.

Następną wielką radością Ojca – miłośnika zwierząt – było nabycie konia. Umożliwił mu to kwaterujący w naszym domu major rosyjski w zamian za kupon materiału na suknię dla pani majorowej. Koń okazał się klaczą, dostał imię Baśka; po krótkim czasie została zorganizowana (też pewnie poprzez handel wymienny – tak to bywało!) bryczka – no i nad polskie już morze, do Mielna, rodzina przymieszała się tym eleganckim pojazdem.

Warsztat Ojca rozwijał swoje moce produkcyjne; urzędy, instytucje, banki zamawiały biurka, szafy, stoliki. A pewnego razu przyszedł pan aptekarz z ulicy Armii Czerwonej i poprosił o zrobienie liczydła. Ojciec się nieco zdziwił: „liczydło”? ale że „nigdy żadnej pracy się nie bał” – zgodził się. Efekt? 1500 liczydeł rozeszło się w mig, na dodatek kilkanaście kompletów szachów, których przedtem również nigdy nie robił. Zysk może był mierny, ale satysfakcja duża.

Słyszałam często od Ojca, że rzemiosło ogólne – a więc piekarze, cukiernicy, kowale, rymarze, rzeźnicy, krawcy, stolarze oraz wiele innych, którzy przybyli na ziemię koszalińską, w znacznym stopniu przyczyniło się do jej odbudowy, zagospodarowania i rozwoju. Już w październiku 1945 samorządnie organizowali się w branżowych cechach. Cech stolarzy powstawał z inicjatywy i w mieszkaniu Ojca i to on został starszym cechu a potem rzeczoznawcą sądowym do spraw stolarstwa. Te rozproszone cechy dopiero w 1951 r. zjednoczyły się w Cech Rzemiosł Różnych.

Ojciec zawsze czuł potrzebę działania; w czasie wojny „stawał na głowie” aby utrzymać rodzinę, narażał się, wożąc żywność ze wsi do Warszawy, do getta –



i po wojnie, właśnie w Koszalinie, również musiał być taki czynny. Warsztat, cech, funkcja radnego w Radzie Narodowej, w następnych latach rola przewodniczącego Zarządu Okręgowego Cechów, potem współzałożyciela Spółdzielni Rzemieślniczej i w tejże aż do 1969 r. przewodniczenie Radzie Nadzorczej – wszystko to wypełniało mu dzień po dniu. Przez te wszystkie koszalińskie lata pracował w Rzemieślniczej Komisji Egzaminacyjnej.

Jak pamiętam Ojca z tamtych lat? Wychodził z domu około 5 rano, wpadał na śniadanie (15 minut), na obiad (20 minut + 15-minutowa drzemka w fotelu), po czym wracał do warsztatu. Kończył pracę pod wieczór. A w sobotę sam szedł na targ (mała przerwa!) przynosił dorodnego (żywego!) koguta (znał się na drobiu), załatwiał z nim wszystko, co trzeba, żeby mama miała gotowy produkt do przyrządzenia niedzielnego obiadu.

Dziś się zastanawiam skąd on czerpał siły? Słowa stres, apatia, depresja i to wszystko, o czym słyszymy dziś na co dzień i do znudzenia, były mu obce nie

tylko z racji samego słownictwa, obce też było mu ich znaczenie. Pokolenie silnych?

Ojciec urodził się w 1901 roku, uodpornienie organizmu poprzez trudy życia? (I wojna światowa; udział w wojnie w 1920 r., II wojna światowa, głód, tułaczka) – imperatyw przetrwania za wszelką cenę? Nie wiem. Coś go krzepiło.

Z racji aktywności rzemieślników pod patronatem rzemiosła wiele się działo w Koszalinie – a były to imprezy sportowe, kulturalne, również rozrywkowe, wspólne wycieczki do Krakowa,

Henryk Roszak pierwszy z prawej - z pracownikami.

Wieliczki, na Targi Poznańskie, różne okazjonalne bale. Pierwszy bal pamiętam doskonale, bo był zorganizowany w dużym holu na piętrze u nas w domu przy ul. 1 Maja 26 – już w październiku 1945. Pewnie rzemieślnicy chcieli szybko odreagować wszystkie emocje i perypetie związane z osiedleniem się na nowych ziemiach.

Koszalin po przejściu zawieruchy wojennej został poważnie zniszczony, w gruzach leżała cała strona lewa (idąc od Rynku) ul. 1 Maja, Rynek i wiele innych miejsc. Widoki były czasem aż komiczne, bo po tych gruzach paradowały sobie... kozy. Też przepłoszone przez zawieruchę wojenną. A gruzy trzeba było uprzątać. W ramach tzw. „czynów społecznych” społeczeństwo razem z młodzieżą musiało miasto odgruzowywać. Szkoły jeździły też na tzw. „wykopki” – pomagać rolnikom zbierać ziemniaki.



Jednak nadeszły lata gorsze. Rok 1948-1949 przyniósł dezaprobatę rządzących dla sektora prywatnego. „Inicjatywa prywatna” (taki twór językowy) czy bardziej dosadnie „prywaciarze” stali się szkodliwym dla ustroju elementem, zaczęły się prześladowania. Urząd Skarbowy przysyłał kontrole, nakazywał wymyślone „domiary”, śledzono ich w restauracji, jeżeli spotkali się towarzysko, zdarzały się wizyty „smutnych panów” sprawdzających, ile w domu jest obrazów (z likwidacją tych większych – bo pewnie wartość mierzono rozmiarem!), pierzyn („4 osoby i 4 pierzyny” – powiedział jeden z nich – ale pierzyny jednak zostały. Pewnie się zreflektował, co mówi).



Czas relaksu.

Ojcu odebrano duży warsztat przy ul. 1 Maja 26, dano w zamian mały, do którego wchodziło się po schodach podobnych do drabiny – przy ul. Brackiej. Przesiedlono też do suteryny przy ul. Bolesława Krzywoustego 3 – na szczęście ta suteryna miała pełne okna wychodzące na ogród, więc po wyremontowaniu nie było tak tragicznie, jednak pomieszczenie łazienko-podobne Ojciec musiał wygospodarować z pralni.

Ja też – co było przecież powszechne w tych latach – odczułam tę dyskryminację na własnej skórze. Na maturze w Dubois’a – ja „córka prywaciarza” (na pewno przypadek nie odosobniony) byłam o wiele baczniej obserwowana przez tzw. wówczas „czynnik społeczny” (jakieś służby przysyłały na matury swojego „wysłannika”) – dowiedziałam się szybko, że celem było oblewanie młodzieży o niewłaściwym pochodzeniu. Cóż za paradoks; rządy robotnicze, ojciec stolarz a więc robotnik. Ale „prywaciarz” więc „wróg”. W 1949 brakuje mi punktów (albo mam minusowe?) przy egzaminach na uczelnię w Łodzi; w 1950 rodzice przemeldowują mnie (z naiwną myślą, że się im tym śledzącym „zagubię”) do ciotki do Warszawy; staram się na Uniwersytet – „brak punktów” i tak jeszcze w Toruniu i w Gdańsku. To był skuteczny sposób na utrudnianie dostępu na wyższe uczelnie.

Prześladowania ustąpiły dopiero w 1956 r. („polski październik”) z nadejściem „odwilży”. Ojciec mawiał często: „To Gomułka nas uratował”. Rzemieślnikom po 1956 r. żyło się już faktycznie lepiej. W Cechu w Koszalinie wzrosła ilość zakładów rzemieślniczych i mieli większą swobodę działania.



Ojciec znów dostał „skrzydeł” – dla wielu księgarń w terenie wykonywał regały, lady, pracował dużo, dzięki czemu mógł zacząć gromadzić oszczędności na budowę domu w Bydgoszczy, do której chciał wrócić na „stare lata”. Budowa trwała oczywiście latami, kończył ją mój brat Zbyszek (pilot), który swoją „powietrzną” karierę rozpoczynał w Koszalinie w Lidze Lotniczej. A ojciec z mamą wrócili do Bydgoszczy w 1970 r. Ja – za mężem – wyjechałam do Wrocławia. Ojciec oczywiście nadal parał się stolarką. Był niezwykcieżony – dlatego pewnie żył aż 95 lat. Dopiero w Bydgoszczy korzystał z wyjazdów na wczasy – sam lub z rodziną.

Nigdy też nie zapomniał o Koszalinie, ani Koszalin o nim. Przez wiele lat był zapraszany na różne okolicznościowe jubileusze i nagradzany przez Cech i Spółdzielnię Rzemieślniczą. Wiele razy jeździłam do Koszalina z Ojcem jako jego straż „przyboczna”. Był w pewnym sensie skarbnicą wiedzy na temat rzemiosła koszalińskiego. Miał w domu wiele ważnych materiałów, które okazały się przydatne do opracowania przez pana Kazimierza Szutowicza (przyjeżdżał do Ojca wielokrotnie) Kroniki Rzemiosła w Koszalinie, czy wręcz dziejów rzemiosła rozsianego po całej Ziemi Koszalińskiej. Absolutnie bezcennym skarbem okazała się tu dana mu przez Ojca „Księga rzemiosła”.



Procesja Bożego Ciała 1947 przed zakładem.

Jesienią 1995 roku na 50-lecie istnienia rzemiosła koszalińskiego przez Cech Rzemiosł Różnych zaproszony był także mój Ojciec. Niestety, stan zdrowia nie pozwolił mu już uczestniczyć (choć serce się rwało!) w tym ważnym święcie. Złoty Medal, którym został tam oznaczony, przywiózł mu do Bydgoszczy kolega. Medal dołączył do kolekcji innych, wielu odznaczeń oraz 18-stu przeróżnych dyplomów, oprawionych we własnoręcznie (a więc starannie) zrobione ramki, które to dyplomy, przyznane za rozmaite zasługi wisiały na ścianie w Ojca pokoju.

Wspominając tamte lata, czuję satysfakcję, że mogłam uczestniczyć – uczyć się i wychowywać w takiej skonsolidowanej, przyjaznej i pomagającej sobie nawzajem społeczności. Wszyscy dążyli do jednego celu, aby uratować to, co ma jakąkolwiek wartość, odbudować to, co zostało zburzone i przyczynić się do rozwoju Ziemi Koszalińskiej, na której z konieczności dziejowej dane im było się osiedlić.

A ja – jako osoba sentymentalna („moje serce zostało w Koszalinie”) ze wzruszeniem wspominam: mój ówczesny piękny płaszcz uszyty „na miarę” przez krawca





z ul. Zwycięstwa p. Nagórkę; moje gustowne i piękne sukienki szyte przez świetną krawcową z ul. Lechickiej – p. I. Krzywicką; moje eleganckie buty – oficerki własnoręcznie (z prawdziwej skóry!) zrobione przez szewca z ul. Pawła Findera (nazwisko uleciało z pamięci). A jakie pyszne wędliny wyrabiał p. Cichocki, a jak zapomnieć smak lodów włoskich z ul. Zwycięstwa? A nasze pierwsze powojenne portretowe zdjęcia wykonane artystycznie przez p. Helenkiewicza (autochtona) z ul. B. Chrobrego?

Cóż nam pozostało? W oku kręci się łza a w sercu wzbiera żal. I powraca pytanie: gdzie są Ci bohaterscy, świetni fachowcy z tamtych lat? Ich etos pracy mógłby być dziś wzorem. Mógłby – ale...

Cieszę się niezmiernie, że dziś w Koszalinie tak prężnie działa Klub Pioniera Miasta Koszalina, Stowarzyszenie Przyjaciół Koszalina (oczywiście Towarzystwo Wychowanków Liceum Dubois także) skupiające ludzi, którzy chcą zatrzymać tamte chwile i wiedzę o tamtych czasach przekazać następnym pokoleniom. Dzieci i wnuki powinny znać historię swoich przodków. Czasem żałuję, że opuściłam Koszalin...

A te przywołane z zakamarków pamięci myśli z przełomu połowy XX stulecia – Ojcu mojemu – jako jednemu z wielu Pionierów Ziemi Koszalińskiej – poświęcam.



Maria Rudecka

Szkoła i morze – wspomnienie o Wandzie Wojdyło – pionierce koszalińskiej oświaty

Imię Wanda brzmi mocno. Jego nosicielki mają opinię silnych, stanowczych, konsekwentnych, gotowych do podejmowania decyzji, nawet ryzykownych.

Właśnie te cechy posiadała pani Wanda Wojdyło, jedna z pionierek szkolnictwa polskiego w Koszalinie.

Chłubię się tym, że znałam panią Wandę od sierpnia 1957 roku do końca Jej życia. Dziś, mając lat więcej aniżeli Ona w chwili odejścia na wieczny niepowrót, bo chyba nie na wieczne wakacje, myślę to samo, co myślałam wtedy: szkoda, że nie mam przynajmniej niektórych Jej przymiotów, a wśród nich zdumiewającego wręcz poczucia ładu i odpowiedzialności za powierzone Jej sprawy i oddanych pod Jej pieczę ludzi a do tego tej odmiany patriotyzmu, któ-



Wanda Wojdyło

ry słownej deklaracji daje natychmiast i zawsze kształt czynu, gotowości do wykonania czegoś, co będzie potrzebne uczniowi, szkole, miastu, naszemu krajowi.

Kiedy poznałam p. Wandę, miała Ona już 46 lat a więc „pod lat niewieścich schodziła południe”. Była kobietą słusznego wzrostu, o dość krzepkiej budowie ciała. Miała ładne, zawsze zadbane włosy, czoło nie tyle wysokie co jasne a oczy ciemne i wyraziste, patrzące na rozmówcę tak, jakby chciały powiedzieć: mów śmiało, patrzymy, słuchamy uważnie. Umiała słuchać, co



u nauczycieli, z natury tej profesji egocentryków, jest ważne bardzo, a nieprzesadnie częste.

Spśród innych nauczycieli wyróżniała się wyjątkową dokładnością, której dowody dawała, wykonując każde powierzone jej zadanie, a już szczególnie trudne porządkowanie dokumentów archiwum Technikum Ekonomicznego, co było pracą uciążliwą z wielu powodów i też – dla Niej – alergiczki – niezdrowe.

Pani Wanda zawsze zajmowała się innymi ludźmi – o sobie myślała mało i dopiero wtedy, gdy działo się z nią coś bardzo złego, na końcu.

Napisała (nie opublikowaną dotąd, bo nie zdążyła) „Pracę o morzu”, która mogłaby też mieć tytuł „Oczarowana morzem” lub „Zawsze chciałam być nauczycielką”.

Wanda Wojdyło urodziła się 6 czerwca 1911 roku w Przemyśle, w rodzinie pracownika kolejowego. Miała trzech braci i dwie siostry. Kiedy była jeszcze małym dzieckiem, ojciec wraz z całą rodziną został przeniesiony do Gniezna i Wanda może by tam została na zawsze, bo miasto bardzo Jej się podobało, gdyby nie pewne wakacje i rodzinny wyjazd (zaledwie na kilka dni) nad morze. Z dwu możliwości – góry lub morze – zwyciężyła propozycja brata p. Wandy – matu-rzysty i rodzina po raz pierwszy zobaczyła morze a także Gdynię, wtedy jeszcze niewielką osadę koncentrującą życie wzdłuż i wokół ulicy Świętojańskiej. Dopiero później – już po zrealizowaniu ambitnych planów Eugeniusza Kwiatkowskiego i kilku jemu podobnych śmiałków a przy tym marzycieli – zaistniała jako miasto portowe i miejsce liczące się w Europie, bo przecież był czas, że Gdynia była jednym z największych portów w basenie Morza Bałtyckiego.

Zaraz po maturze pani Wanda podjęła pracę, najpierw w Gnieźnie na prawach bezpłatnego pracownika oświaty, zastępującego chorych kolegów i wykonującego wszelkie zlecone jej zajęcia, a potem w Grotnikach koło Leszna już z nominacją, miesięczną pensją i pod koniecznym do spełnienia warunkiem przywyknięcia do określonych możliwości w nowym dla niej środowisku wiejskim – dotąd znała przecież tylko miasta.

Po dwóch latach pracy w szkole w Grotnikach została nauczycielką w Świerczynie (z drugiej strony Leszna) i tu egzamin kwalifikacyjny zdała na ocenę bardzo dobrą.

Tutaj też, w Świerczynie, przez lata wypełnione pracą, życiem w atmosferze koleżeństwa, życzliwości, także ze strony właścicieli dworu i władz oświatowych, na pewien czas zapomniiała o postanowieniu powrotu nad morze.

Zauroczona nim przed laty, siostra już dwóch braci marynarzy, nie mogła jednak nie marzyć o nim – dlatego rozpoczęła starania o pracę w szkole w Gdyni i otrzymała przeniesienie służbowe na etat nauczycielki w Szkole Podstawowej nr 13 w Gdyni – Orłowo.

Praca w szkole miejskiej i wychowawstwo w klasie licznej, z przewagą mocno przerośniętych chłopców z rodzin robotniczych a biednych, wielodzietnych,



często wcale nie współpracujących ze szkołą – to było doświadczenie zupełnie innej natury, jednak konsekwencja p. Wandy, silna ręka z jednej strony, matczyne zrozumienie z drugiej, a przy tym umiejętność dotarcia do przyczyn określonej sytuacji rodzinnej, potem skuteczny sposób porozumienia się z uczniem dały rezultat i przyniosły satysfakcję i uczniom, i nauczycielce.

Miłość do morza i zachwyt dla pięknej, znaczącej już w świecie, Gdyni udało się p. Wandzie zaszcześcić też swoim uczniom. Pewnie zostałyaby w tym mieście do emerytury, gdyby nie wojna, najpierw niepokojące sygnały o niej a potem już bezpośrednie niebezpieczeństwo.

P. Wanda, wtedy jeszcze nawet nie 30-letnia, miała niewiele dóbr materialnych, jej dobytkiem i skarbem zarazem były książki. Prawie wszystko to musiała zostawić w zagrożonej Gdyni i z niewielkim bagażem, korzystając ze znajomości ojca, wyjechała do Gniezna. Wróciła do rodziców. Tak jak inni gnieźnianie, pracowała przy kopaniu schronów.

Był wrzesień, ale szkoły polskie były zamknięte. Książeczki oszczędnościowe straciły ważność, świadczeń emerytalnych ojca nie wypłacano. Przez cztery miesiące cała rodzina żywiła się produktami z ogrodu, który – na szczęście – państwo Wojdyłowie mieli i prowadzili jak należy.

Trzej bracia Wojdyłowie służyli w marynarce i to na liczących się w tej wojnie okrętach, m.in. na „Gromie”. Najstarsza siostra, mieszkająca w Murowanej Goślinie, była ciężko chora a jej męża wywieziono na roboty do Niemiec. Wanda pomagała więc zarówno siostrze jak i rodzicom, których najpierw uwięziono w Garbarni pod Gnieznem a potem wywieziono w Kieleckie. Podjęcie pracy u Niemców było jedynym sposobem uniknięcia wywieżenia do Reichu. Odtąd pracowała w niedużym wojskowym szpitalu rehabilitacyjnym w Biedrusku, w którym zwykle przebywało 100 chorych, a właściwie ciężko okaleczonych żołnierzy. Zadaniem Wandy było obliczać wydatki szpitala, diety dla chorych i tak było do 15 sierpnia 1944 roku, kiedy to została przeniesiona do pracy fizycznej, bo obawiano się, że Polka, pracująca w biurze, mająca dostęp do telefonu, mogłaby przekazywać tajne informacje.

W Biedrusku poznała późniejszą swoją przyjaciółkę Adę Hajduk i obydwie – po pospiesznym wyjeździe niemieckiego personelu medycznego – opiekowały się ciężko chorymi żołnierzami, którzy zresztą, mimo wszelkich starań, umierali po kolei. Grozę bombardowań, głód i niepewność przeżyła w piwnicy wraz z koleżanką Adą. Do Gniezna wracały długo, prawie połowę drogi przebywając pieszo, także po zniszczonych przęsłach mostu na Warcie, drugą pociągami najpierw długo wyczekiwanym a tak zatłoczonym, że samo wejście do niego było sztuką. Z Kielc wrócili do Gniezna także rodzice Wandy. Przez kilka tygodni obydwie, Wanda Wojdyło i Ada Hajduk, pracowały w szkole w Gnieźnie.



Kiedy Rząd ogłosił w Gnieźnie rekrutację do pracy na Ziemiach Odzyskanych, p. Wanda Wojdyło zgłosiła się wraz z innymi nauczycielami i wyjechała z pierwszą grupą ochotników gotowych do organizowania szkolnictwa. Ona ciągle myślała o Gdyni, Gdańsku, morzu, ale znalazła się w Koszalinie, w którym ruiny, i to w centrum miasta, mogły tylko zniechęcać do pozostania w nim.

Działająca w Gnieźnie grupa działaczy z inicjatywy Polskiego Związku Zachodniego wyznaczyła odpowiednie osoby na stanowiska i przybyła do Koszalina w dniu znamienym, czyli 9 maja 1945 roku. Jej zadaniem było zabezpieczenie mienia niemieckiego i zorganizowanie m.in. oświaty na tej ziemi odzyskanej, ale zupełnie nieznanej.

Inspektorem oświaty został p. Klaudiusz Górski, kierownikiem Szkoły Podstawowej nr 1 – Feliks Wielgosz a Szkoły Podstawowej nr 2 p. Leon Domiński. Panie Wanda Wojdyło i Ada Hajduk przyjechały bez skierowania i bez przydziału, wiedziały jednak, że będą potrzebne i będą miały co robić.

We wspomnieniach p. Wandy wrażenia na temat Koszalina są bardzo smutne, ale innych na początku chyba mieć nie mogła. Dopiero po trzech tygodniach starań usilnych i różnorodnych udało się zgromadzić dziewiętnaścioro dzieci w różnym wieku a potem w dniu 20 czerwca 1945 w budynku przedszkola przy ulicy Podgórnej 5 uroczystie rozpocząć nowy rok szkolny i tym samym otworzyć pierwszą polską szkołę. (fot. 2)



Szkoła na ul. Podgórnej

Na uroczystości tej było więcej gości aniżeli uczniów, bo oprócz przedstawicieli władz administracyjnych (wojewody, starosty, burmistrza, władz oświatowych) byli też przedstawiciele wojska polskiego i radzieckiego.

P. Wanda, odpowiedzialna za plan lekcji (układała go), podkreśla zmienność sytuacji i konieczność dostosowania realizacji programu do niezwykle krótkiego roku szkolnego, zaczął się już po połowie czerwca a trwał niecałe 2 miesiące.

Uczniów przybywało codziennie tak, że budynek przy Podgórnej robił się za ciasny. Wstęp do szkoły dawał egzamin z czytania i podstawowych działań na liczbach.

Kierownik szkoły p. Leon Domiński uczył przedmiotów ścisłych w starszych klasach, resztę przedmiotów dzieliły między siebie p. Wanda Wojdyło, Ada Hajduk a później panie Olga Turkietti i p. Maria Gdulowa.

Po latach ze wzruszeniem wspominała p. Wanda sposoby organizowania pracy w szkole: chłopców z klas starszych, którzy wytropili gdzieś ławki i przynieśli je



na własnych plecach – zdobyli globus (niemiecki), dzieci piszące nie w zeszytach, lecz na luźnych kartkach znalezionych przez uczniów lub przyniesionych przez nauczycieli, rozsuwane drzwi sali pozwalające z jednej sali zrobić dwie, śpiew grupy uczniów udających się do innego budynku.

Pierwsi osadnicy Koszalina z rozrzewnieniem słuchali prostych ale polskich piosenek śpiewanych w czasie marszu. Z tym śpiewem wracała radość zabijana przez lata okupacji.

Sama p. Wanda czuła, że nie będzie nigdy potem takiej ochoty i takiego entuzjazmu, jakie ogarniały i uczniów, i nauczycieli, i rodziców uczniów w ciągu tego najkrótszego roku szkolnego, który przypadał tylko na jeden rok kalendarzowy 1945 a naprawdę na kilka jego letnich tygodni.

Świadectwa promocyjne wypisywały dla wszystkich obydwie panie, Wanda i Ada, bo miały pismo i ładne, i czytelne. Do klasy drugiej szkoły podstawowej przeszły też trzynastoletnie pierwszaki.

W dniu 15 lipca ucząca historii Wanda Wojdyło z grupą 27 uczniów z różnych klas pierwszej polskiej szkoły w Koszalinie – w 535 rocznicę bitwy pod Grunwaldem – poprowadziła lekcję – można powiedzieć – historyczną.

O wiktorii odniesionej na polach Grunwaldu młodzi Polacy ze swoją nauczycielką z Gniezna, właśnie z Gniezna, mówili tutaj, w Koszalinie, na gruzach potęgi butnych pogrobowców Zakonu Krzyżowego. Kontury granic Polski Wanda – nauczycielka historii – nakreśliła po drugiej stronie mapy wielkich Niemiec – wśród zgromadzonych pomocy naukowych nie było jeszcze mapy Polski, zresztą przedwojenna mapa byłaby i tak nieaktualna, Tej lekcji niepodobna zapomnieć.

Koszalin, polski Koszalin żył, chociaż nie wypłacano regularnych pensji, na początku w ogóle ich nie wypłacano, a w ogóle mieszkańcy nie oczekiwali niczego w zamian za to, co robili. Tak przynajmniej było w przypadku pani Wandy i podobnych jej nauczycieli – entuzjastów.

Bony na obiady (konkretnie eintopf gotowany przez Niemkę) i wydawane w gmachu późniejszego WRN, mieszkanie kątem w domu przydzielonym jakiejś rodzinie przez dwa miesiące zaspokajały ich zapotrzebowania. Panie, Wanda i Ada mieszkaly przy rodzinie p. Leona Domińskiego. Dopiero w sierpniu – za trzy miesiące pracy – otrzymały po 300 złotych tytułem zaliczki – wyrównanie zresztą nie nastąpiło nigdy a i tych 300 złotych nie starczało na zakup 1 kg masła (kto zjadłby tyle masła?). Nikt się też nie objadał, nikt nie kalkulował, toteż i p. Wanda kazała sobie zapomnieć o Gdyni i powrocie do swojej ostatniej szkoły sprzed wojny. Była tu, w Koszalinie, i tutaj była potrzebna. Wszystkie przeciwności i trudności na silną psychicznie osobę działały jak zachęta i doping.





Szkoła przy ul. Krzywoustego.

Teraz szkoła mieściła się w części budynku przy ulicy Krzywoustego. Miało być, ale nie było lepiej niż na Podgórnej a to z powodu przeznaczenia drugiej części budynku dla Państwowego Urzędu Repatriacyjnego. Tu następowało zetknięcie się jakby dwóch światów: jeden stanowiły dzieci szkolne, symbol młodości – drugi

– umęczeni długą podróżą z odległych stron i niepewnością co do przyszłości osadnicy czekający na jakiś przydział mieszkania, domu czy gospodarstwa. Liczba uczniów zmusiła w końcu władze do przeniesienia PUR-u i oddania oświacie całego budynku.

Kiedy po latach p. Wanda wspominała to wszystko, mówiła ze wzruszeniem o uczniach, rodzicach z komitetu rodzicielskiego, o wystawianych w szkole jaśółkach, o balach dla dzieci, o pięknych pokazach gimnastycznych w układzie samej p. Wandy z okazji Święta Kultury Fizycznej organizowanego z mozołem, ale i z sukcesami już w skali całego miasta.

Do roku 1947/48 p. Wanda była nauczycielką tylko w szkole podstawowej, odtąd uczyła wychowania fizycznego dziewczęta w Gimnazjum i Liceum Handlowym.

Władze oświatowe dostrzegły jej pracę, doceniły ją i we wrześniu 1949 została powołana na stanowisko dyrektora Liceum Odzieżowego (szkoła żeńska) a od lipca 1951 roku została dyrektorem Technikum Handlowego mieszczącego się również w budynku przy ul. A. Lampego 30, dziś gen. Andersa.

Przejęcie do pracy w administracji p. Wandzie, jak sama mówiła, urodzonej do pracy z uczniem, z młodzieżą i kochającej wybrane przedmioty (wf- historia) odebrało satysfakcję pracy z nimi. Musiała teraz opanować przepisy urzędowe, ale udało jej się zrobić to tak dobrze, że na sierpniowej konferencji dyrektorów w Warszawie znalazła się wśród trzech dyrektorów a była też jedną z czterech kobiet (w całej Polsce) na stanowisku dyrektora szkoły zawodowej. Technikum Handlowe prowadziła do roku 1955, by je oddać Eugeniuszowi Kotowi, na krótko, bo po nim dyrektorem został p. W. Sikorski.

Po połączeniu Technikum Handlowego z Technikum Finansowym i zaistnieniu Technikum Ekonomicznego w roku 1957 kol. Wojdyło była nauczycielką maszynopisania, korespondencji i biurowości a także (trochę) historii. Maszynopisania uczyła, stosując metodę dziesięciopalcową, bezwzrokową, z całą konsekwencją i systematycznością osoby, która posiadaną przez siebie umiejętnością, więcej nawet – sztuką chce się podzielić z innymi. Jeszcze obecnie w Koszalinie mieszkają emerytki, kiedyś uczennice p. Wojdyło, które biegle piszą na maszynie



a klawiaturą posługują się tak w dzień jak i w nocy, ponieważ ich nauczycielka przekazała im wiedzę popartą wyegzekwowanymi ćwiczeniami.

Jej uczniowie nie zawsze rozpoznawali rzeczywiste intencje nauczycielki i, zdarzało się, że uważali ją za bardzo surową, ale po latach, korzystając biegle i ze swobodą z przekazanych umiejętności w zakresie pracy biurowej i awansując, doceniali jej pracę i talent pedagogiczny a także właśnie konsekwencję.

Kiedy Koszalin został stolicą województwa, przybyło stanowisk w administracji, a nie było dość osób przygotowanych w kierunku korespondencji i biurowości a także maszynopisania, Pani Wanda, znająca dobrze te przedmioty, prowadziła kursy maszynopisania – od 1953 jako filię Stowarzyszenia Stenografów i Maszynopisania Oddział w Szczecinie, a potem od 1960 roku już samodzielnie.

Było to możliwe dzięki konsekwencji organizatorki, jej ambicji, operatywności i wejściu w kontakt z dyrekcją Technikum Ekonomicznego, później Zespołu Szkół Zawodowych nr 1 i możliwości organizowania nauki maszynopisania, konkursów i treningów na maszynach do pisania należących do szkoły.

Absolwenci kursów (było także kilku panów) podejmowali pracę natychmiast a wielu już pracujących doskonaliło swój warsztat pracy. Od 1973 SSiM już samodzielne, koszalińskie, świadczyło też usługi na zamówienie biur, uczelni, studentów i tak ekonomicznie uzasadniało sens swojego istnienia. Istniało przez 20 lat a czujność i odpowiedzialność organizatorki co roku przynosiła jakąś korzystną zmianę.

Pani Wanda pracowała praktycznie przez cały dzień, nigdy się nie skarżyła, nie narzekała; my koledzy, wiedzieliśmy, że to wszystko wykonywała, tracąc (i to zupełnie) wzrok w jednym oku, cierpiąc z powodu dokuczliwej alergii i – choć niezamężna – ciągle dźwigając odpowiedzialność za dom i pozostające pod jej opieką osoby (bratanków jej koleżanki a potem jeszcze córki bratanka), które traktowała jak najbliższą rodzinę.

Własnej rodziny już nie miała, lecz wielu ludzi uważała za osoby jej bliskie, czego dowody dawała, pamiętając o ich świętach czy też ważnych dla nich wydarzeniach, np. urodzeniu dziecka. Ze wzruszeniem wspominam bukiet bordowych goździków przysłany przez p. Wandę do szpitala po urodzeniu mojego syna.

Nie miała zwyczaju dopominać się o wyrazy uznania dla siebie, ale jej pracę dostrzeżono tak jak też chyba i dość wyjątkowy związek z morzem – osobisty i rodzinny, była wszak siostrą trzech marynarzy: Michała – starszego bosmana na „Gromie” – Kazimierza i Karola. Przed wojną sam prezydent Mościcki składał podziękowanie ich matce za wychowanie i oddanie na służbę w marynarce wojennej trzech synów. Wszyscy zresztą w czasie działań wojennych zginęli.

Kiedy w roku 1960 zbudowano statek m/s Koszalin, na matkę chrzestną wybrano panią Wandę. Była to dla niej niespodzianka, wyróżnienie a przy tym



wielkie przeżycie. Stało się to 5 sierpnia 1960 roku w Gdyni. Z bijącym sercem o godzinie 1100 stanęła na specjalnie zbudowanym mostku udekorowanym biało-czerwonymi flagami.



Statek ms Koszalin.

spokojne wody Bałtyku. Pani Wandzie mocno zabiło serce nie tylko z radości i dumy, lecz także z powodu wspomnień o braciach, którzy morzu oddali swoje siły i życie.

Krótko, bo tylko pięć miesięcy trwało nadawanie zaprojektowanego wyglądu statkowi, i już m/s „Koszalin” – piękny podarek urodzinowy dla Koszalina (na 15 urodziny – polskie urodziny) gotowy i piękny wyruszył w dniu 5 stycznia 1961 w swój dziewiczy rejs do Hull. Po komendzie kapitana „Bandera na maszt!” i wciągnięciu jej przy dźwiękach hymnu razem z innymi honorowymi gośćmi na statek weszła jego matka chrzestna – pani Wanda Wojdyło.

Dla niej ten rejs Polska - Anglia i myśli o załodze statku były czymś zupełnie nowym. Dotąd była zafascynowana morzem, ale w istocie niewiele wiedziała o nim, teraz z pokładu swojego „Koszalina” mogła oglądać na nabrzeżach skutki sztormu, czyli gniewu morza. O swoje bezpieczeństwo była naprawdę spokojna, ponieważ statek prowadził wprawną ręką kapitan ż.w. Czesław Maciejewski – oficer z półwiecznym doświadczeniem. Do roku 1979 „chrześniak” p. Wandy odbył 400 rejsów i dobrze służył, przy tym zgodnie ze swoim przeznaczeniem – był drobnicowcem – pływał na ważnych i różnych liniach a w ostatnich latach obsługiwał linię Szczecin – Rotterdam.

Pod polską banderą m/s Koszalin pływał przez 23 lata, a nie podzielił losu statków, które po wysłużeniu się skazane były na kasację – on, jak biblijny Józef (tak pisze p. Wanda) został sprzedany do Egiptu. I tam służył cudzoziemskiemu armatorowi. Biało-czerwoną banderę ze wzruszeniem w głosie kazał ściągnąć z masztu kapitan ż.w. W. Kozłowski, ucałował z szacunkiem i przesłał matce chrzestnej statku – pani Wandzie.

Głosem nabrzmiałym od wzruszenia, ale silnym, wypowiedziała słowa: „Nadaję ci imię Koszalin. Płyn przez morza i oceany, rozstawiaj imię polskich stoczniovców – przynosz chwałę banderze Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”. Potem z całą siłą uderzyła butelką z francuskim szampanem o burtę statku. Przy ostatnich dźwiękach hymnu narodowego granego przez orkiestrę kadłub statku „Koszalin” powolutku zsuwał się z pochylni stoczniowej na



Zanim ją włożyła do szuflady z najcenniejszymi pamiątkami, przycisnęła ją do piersi i ze smutkiem pomyślała i o nim, i o losie marynarki polskiej w latach kryzysu.

Wbrew jej woli nasunęła jej się analogia szkoły i absolwenta oraz marynarki i statków: w szkole po odejściu z niej absolwentów zawsze następuje nabór uczniów do nowych klas – marynarka polska – na skutek kryzysu ekonomicznego – nie potrzebuje nowych statków, mimo iż wysłużone odpływają na zawsze. To otrzymanie bandery z masztu m/s statku „Koszalin” było więc smutne bardziej jeszcze aniżeli byłoby wtedy, gdyby m/s Koszalin, statek już wysłużony, został zastąpiony przez inny, nowy.

Zachwyt dla morza, zauroczenie nim trwały prawie przez całe życie p. Wandy, godność matki chrzestnej statku o imieniu naszego miasta była dla niej czymś niezwykłym, ale i zasłużonym. Miała też smak przygody. Pani Wanda była jednak przede wszystkim nauczycielką.

Jej postępowanie, wybory, całe życie inspirowały dwie miłości: morze i szkoła.

Zawód nauczyciela należy do tych profesji, które nie są, a właściwie nie powinny być sposobem na przeżycie, lecz wyborem drogi życia, na którą nie wchodzi się przypadkowo. Gdy dziś słyszy się czasem z ust młodych nauczycieli motywację wyboru właśnie tego zawodu a są nią przede wszystkim długie wakacje i stosunkowo liczne inne przerwy w pracy, takie jak ferie zimowe czy świąteczne, natychmiast przypominam sobie panią Wandę, jej ciągłą obecność w szkole, jej gotowość do wspomagania innych a także jej wspomnienia z pracy z dziećmi na koloniach letnich. Przed 1939 rokiem i jeszcze wiele lat potem dla wielu dzieci wyjazd na kolonie był jedyną szansą ujrzenia czegoś oprócz rodzinnej miejscowości, a p. Wanda robiła wszystko, aby zapewnić im wzbogacenie swoich przeżyć.

Na zawsze zapamiętała obraz dziewczynki z Chorzowa, która na kolonie przyjechała boso, w jednej sukieneczynie, chora, z wszawicą w bujnych ładnych włosach i, oczywiście, nie miała jakichkolwiek przyborów do higieny. To dziecko najpierw należało doprowadzić do jakiegoś takiego wyglądu i stanu higienicznego, a potem dopiero można było myśleć o jakiejś rozrywce, zabawie, w ogóle letnisku.

Do wybuchu wojny na koloniach dla ubogich dzieci p. Wojdyło pracowała sześć razy. Praca z dziećmi i obserwowanie ich zmian, nawet w tak krótkim czasie, była dla tej Nauczycielki ważnym doświadczeniem pedagogicznym.

Mając do wyboru góry lub morze, zawsze wybierała morze, swoje ukochane morze, zresztą przez cały rok szkolny nie miała czasu na bywanie nad nim. Z grupą powierzonych jej wychowanków śpiewała też piosenki o nim, także marynarskie, a miała doskonały słuch i mocny czysty głos.

Także i potem, już na krótko przed odejściem na emeryturę, w chórze, który napędce tworzyliśmy w pokoju nauczycielskim Technikum Ekonomicznego głos pani Wandy – mocny jak dzwon – słyhać było sympatycznie wśród naszych głosów.



Była bardzo rzetelną nauczycielką, ale jeszcze lepszym człowiekiem.

W stosunku do kolegów, przyjaciół i rodziny była zawsze życzliwa i lojalna, a ja nie mam wątpliwości, że kiedy prof. Tadeusz Kotarbiński tworzył pojęcie opiekun spolegliwy myślał o takim człowieku jak p. Wanda Wojdyło – nauczycielka całym sercem i całym umysłem oddana uczniom i szkole, osoba, na którą zawsze można było liczyć.

Moje wspomnienia o Niej oddychają podziwem i szacunkiem.



Tablica pamiątkowa na budynku szkoły przy ul. Krzywoustego.



Zespół Szkół Zawodowych nr1.



Koszalin – miasto mego dzieciństwa

Koszalin to miasto mego dzieciństwa, młodości i dorosłości. Tu pierwszego września 1945 r. rozpoczęłam swoją edukację w Szkole Podstawowej nr 2 w pierwszej klasie. Jestem absolwentką tej szkoły, a potem, po ukończeniu Liceum Pedagogicznego w Koszalinie, długoletnią jej nauczycielką.

Przebyłam długą drogę, aby tu żyć, uczyć się i uczyć młodych Polaków, którzy wraz ze swoimi rodzicami przybyli z różnych stron. Tu założyłam wraz z mężem Igorem Wojtowiczem rodzinę, wychowaliśmy dwie córki, Dorotę i Agnieszkę. Mamy czworo wnucząt i nawet jednego prawnuka.

Zapuściłam tu korzenie, ale często myślami wracam do miejsca mego urodzenia – do Wilna. W tym pięknym mieście urodziłam się 24 września 1937 roku. Moi rodzice, Leokadia Jankowska z domu Jotkiewicz i Michał Jankowski oraz najbliższa rodzina: babcia Leokadia Jotkiewicz, ciocia Helena Jotkiewicz i ciocia Anna z domu Jotkiewicz wraz z mężem Piotrem Kurlowiczem, to wilnianie z dziada pradiada.

Ojciec mój zaginął we wrześniu 1939 roku. Po wielu latach poszukiwań przez Czerwony Krzyż w Genewie, dopiero Stowarzyszenie MEMORIAŁ w Moskwie dotarło do cudem zachowanych dokumentów poświadczających, że ojciec mój



Janina Wojtowicz trzy dni przed maturą w 1956 roku.



został wywieziony do obozu jenieckiego niedaleko Archangielska i tam, w czasie prac przy układaniu torów, zginął tragicznie.

Trudno było żyć bez taty, ale dzięki wspólnocie rodzinnej przeżyliśmy wojenne czasy. Mama, pielęgniarka, pracowała w żłobku, ciocia Hela, również pielęgniarka, w szpitalu, a ciocia Ania i jej mąż prowadzili mały warsztat naprawy różnych przedmiotów gospodarstwa domowego. Babcia Leokadia prowadziła nam nasze małe gospodarstwo i opiekowała się mną w czasie nieobecności mamy. Byłam jedynym dzieckiem w rodzinie, kochanym i hołubionym. Chowałam się bez trosk, jak pod ochronnym parasolem.

Nadszedł dzień zakończenia wojny. Rodzina stanęła przed ważnym dylematem: co dalej? Zostać w Wilnie, czy wyjeżdżać? Dylemat rozstrzygnął się wkrótce. Pewnego dnia ciocia Hela oznajmiła, że jej dyrektor szpitala dr Feliks Pawłowicz i drugi lekarz Mikołaj Bokszański zachęcają personel medyczny do wyjazdu na Ziemię Odzyskaną, bo tam potrzebna jest pomoc dla ludności napływowej.

Zaczęło się wielkie pakowanie. Do dużych kufrów ładowano pościel, bieliznę, ubrania. O wiktuały zadbała babcia. I tak w słoneczny dzień, 8 lipca 1945 roku wyruszyliśmy całą rodziną w podróż obfitującą w wiele przeżyć i przygód. „Zakwaterowano” nas do bydłęcego, obskurnego wagonu i wyruszyliśmy w nieznane.

Po kilkunastu dniach, 22 lipca 1945 roku, po morderczej podróży transport zatrzymał się w Koszalinie. Wypalony dworzec, pełne gruzu ulice nie zachęcały do osiedlenia się. Ale organizatorzy wyjazdu, wspomniani już lekarze, zdecydowali, że Koszalin będzie naszym miastem docelowym.

Dzięki zaradności mamy i wujka Piotra oraz ludzi zatrudnionych w Państwowym Urzędzie Repatriacyjnym (PUR) otrzymaliśmy mieszkanie opuszczone przez Niemców przy ulicy Barlickiego. Cieszyliśmy się, że jesteśmy razem. Mieszkanie było splądrowane, na nielicznych meblach i na podłodze było pełno piór i puchu, bo „szabrownicy” szukali „skarbów” w pierzynach i poduszkach.

Czasy były niebezpieczne. O zmroku nikt już nie wychodził z domu, bo były częste napaści i mordy rabunkowe. Sama byłam świadkiem, kiedy żołnierze radzieccy dobijali się do naszych drzwi. Pomogła perswazja mojej mamy i groźny głos wujka w języku rosyjskim. Skończyło się na strachu.

Mama wywiesiła w oknie od ulicy małą chorągiewkę biało-czerwoną uszytą ze skrawków płótna, żeby każdy wiedział, że mieszkanie jest zajęte przez Polaków. Życie w Koszalinie powoli wracało do normalności: organizowano administrację, opiekę medyczną, handel, szkolnictwo. Mama i ciocia Hela rozpoczęły pracę w służbie zdrowia. Mama została zatrudniona w Ośrodku Zdrowia zorganizowanym przez dr. Michała Bokszańskiego, a ciocia Hela w szpitalu zakaźnym pod dyktando dr. Feliksa Pawłowicza.



Zajęto się również moją edukacją. Mama zapisała mnie do Szkoły Podstawowej nr 2 do klasy pierwszej. To był sierpień 1945 r. Jeszcze w budynku był PUR, a już zwożono sprzęt, pomoce naukowe. Codziennie chodziłam z babcią na spacer i obserwowałam ludzi zajętych urządzaniem szkoły. Pomagała starsza młodzież, były też dzieci w moim wieku z rodzicami, którzy włączali się w nurt pomocy.

Mama uszyła mi granatową spódniczkę i białą bluzeczkę, z butami był tylko kłopot, ale udało się w ostatniej chwili kupić je na bazarze.

I tak przyszedł dzień 1 września 1945 roku, dzień rozpoczęcia roku szkolnego 1945/1946. Szłam na tę uroczystość bardzo przejęta, stremowana. Na całe szczęście była ze mną mama, która dodawała mi otuchy. Uroczystość odbyła się dla dwóch szkół podstawowych i liceum w kinie „Polonia” przy ul. Grunwaldzkiej.

Na drugi dzień zasiadłam wraz z innymi pierwszoklasistami w szkolnej ławce, trochę wysokiej jak na mój wzrost, ale to miało niewielkie znaczenie. Usiadłam w pierwszej ławce. Przyglądałam się koleżankom i kolegom z dużym zainteresowaniem. Wyraźnie było widać, że nie wszyscy byli moimi rówieśnikami. Okazało się później, że były również różnice w opanowaniu umiejętności pisania i czytania. Nie mieliśmy zeszytów, książek, ołówków, piór do pisania. Wybawieniem dla nas były paczki UNRRA, pełne przyborów szkolnych. Każdego dnia dostawaliśmy tran, którego serdecznie nie znośłam.

Naszą nauczycielką i jednocześnie wychowawczynią była pani Wanda Wojdyło, która była współorganizatorką pierwszej szkoły przy ulicy Podgórnej. Przeszła do „dwójki” z dyrektorem tej szkoły Leonem Domińskim, Adą Hajduk i innymi nauczycielami i uczniami. Tak więc właściwie „dwójka” była kontynuatką pierwszej szkoły w Koszalinie.

Panią Wojdyło dobrze pamiętam. Była nauczycielką cierpliwą, serdeczną i wymagającą. Uczyła nas nie tylko pisania i czytania, ale również wierszyków i piosenek. Wpajała nam zasady właściwych manier (dziewczynka przy powitaniu ma dygnąć, chłopcy skłonić głowę, a nauczycieli, sąsiadów grzecznie pozdrowić). Dbała również o higienę: na dużej przerwie należało rozłożyć serwetkę i dopiero na niej położyć kanapkę przyniesioną z domu, przed jedzeniem należało umyć ręce w misce z wodą stojącą w kącie klasy. Zwracała uwagę na schludny strój szkolny i czystość osobistą.

Jedyną pamiątką z klasy pierwszej jest mój pierwszy zeszyt do języka polskiego. Dotarł do mnie po latach. A było to tak.

Mąż mój pracował z panią Wojdyło w Liceum Ekonomicznym. W rozmowie z nią, napomknął, że jestem z domu Jankowska i byłam pierwszoklasistką w „dwójce”. Na drugi dzień pani Wojdyło przyniosła mój pierwszy zeszyt, który przechowywała przez długie lata. Ten zeszyt to jakby moje relikwie, coś najdroższego i ważnego. Czasem patrzę na równiutkie literki pisane ołówkiem, potem



piórem, gdzieś tam są oceny pisane przez moją panią. Przeważają „jedyńki” czyli „piątki” (taka była skala ocen).

Rok szkolny w klasie pierwszej nie był łatwy. Budynek był nieogrzewany, siedzieliśmy w ławkach w ciepłych ubraniach. Podłogi były pociągnięte pyłochłodem, taką czarną, śliską mazią. Okna były nieszczelne. Zimno, niezbyt sprzyjający klimat był powodem częstej absencji, bo „choróbska” nawiedzały mnie często. Kiedy po długiej nieobecności wróciłam po półroczu do szkoły, nie zastałam kilkorga moich kolegów i koleżanek, którzy ze względu na wiek zostali przesunięci do klas wyższych. Pozostali uczniowie i ja również z nimi kontynuowaliśmy naukę w klasie pierwszej.

Zaprzyjaźniłam się z kilkoma koleżankami, z którymi „dotarłam” do klasy siódmej. Były to: Stenia Wójcik, Marysia Rodziewicz, Krysia Drutel. Moi rówieśnicy byli w przeważającej liczbie sierotami lub półsierotami i, tak jak ja, przeżyli traumę wojenną.

Wielkim przeżyciem dla mnie był udział w szkolnych jasełkach. Byłam wraz z innymi dziewczynkami „gwiazdeczką”. Wyglądałyśmy pięknie. Uszyto nam różowe i białe spódniczki. Na czole lśniła opaska z gwiazdką. Jasełka oglądała cała szkoła. Zaproszono również rodziców. Przedstawienie przygotowały panie: Wanda Wojdyło i Ada Hajduk. Owacjom nie było końca. Wszyscy „artyści” byli bardzo wzruszeni. Niejeden z rodziców uronił łezkę.

W roku szkolnym 1946/47 odeszła pani Wojdyło, wówczas uczyła nas i jednocześnie była wychowawczynią pani Ada Hajduk. Bardzo lubiłam tę nauczycielkę. Była bardzo elegancka, zadbana. Cierpliwa, miła, serdeczna – szybko zaskarbiła sobie miłość moją i moich rówieśników.

Z klasy trzeciej (rok szkolny 1947/48) najbardziej zapamiętałam I Komunię Świętą, do której przygotował nas ksiądz, nasz katecheta z parafii Najświętszej Marii Panny. Po kościelnej uroczystości wróciliśmy do szkoły. W dużej auli rodzice przygotowali dla nas śniadanie: były smaczne kanapki i pyszne ciasta upieczone przez nasze mamy. Nie dostawaliśmy żadnych prezentów, ponieważ Komunia Święta miała być przeżyciem duchowym.

Od klasy piątej do siódmej uczyły mnie nauczycielki, które zajęły się dalszą moją edukacją. Nauczycielką języka polskiego i jednocześnie wychowawczynią była niezrównana pani Helena Niepokojczycka – wilnianka. Czytając nam „Pana Tadeusza” często ocierała łezki z policzka. Wszyscy ją kochaliśmy i szanowaliśmy.

Dzień jej imienin, 22 maja, był dla nas wielkim świętem. Chłopcy buszowali po ogrodach i przynosili naręcza tulipanów, kolega (syn cukiernika) przynosił ciasteczka, a my dziewczynki, wręczałyśmy naszej pani prezent, na który wszyscy składaliśmy się. A potem „sto lat” roznosiło się po całej szkole.



Matematyki uczyła nas pani Helena Rudzin, pochodząca z Polesia. Była trochę sroga i wymagająca, ale miała złote serce.

W świat przygód i wędrówek po Polsce i świecie wprowadzała nas pani „od geografii” Teresa Gąsowska – warszawianka. Miała cudowny dar narracji. Słuchaliśmy jej z ogromnym zaciekawieniem.

Pani kierownik szkoły i równocześnie nauczycielka języka rosyjskiego, Maria Wasilewska, była bardzo energiczna, a w nauczaniu tego języka podkreślała śpiewność tej mowy oraz wykazywała wiele podobieństw między tym językiem i językiem polskim.

Mając takie wzorce, postanowiłam, że zostanę nauczycielką. Wraz z moją koleżanką Zosią (obecnie Korczyńską-Szrubka) wybrałyśmy Liceum Pedagogiczne w Koszalinie, a po jego ukończeniu uczyłyśmy potem w „swojej” szkole. Nasi nauczyciele przyjęli nas bardzo serdecznie. Znalazienie się w gronie tak szacownych pedagogów, było dla mnie dużym przeżyciem. Z „dwójki” przeniosłam się wraz z rodziną w 1975 r. do „siódemki”, ale w Słupsku. Koszalin jednak na zawsze pozostanie w moim sercu. Znalazło się również miejsce dla mojej kochanej „dwójki”. Często wspominamy ją z Zosią, z którą w tym roku będziemy obchodzić 60-lecie przyjaźni.



Rok 2012, od lewej: Janina Wojtowicz i Zofia Korczyńska – Szrubka.



Henryk Żudro

O mojej pracy w byłej delegaturze NIK

Tak, byłej, bo jej już nie ma. Ale zacznę od początku. Pamiętam dobrze ten dzień, choć miało to miejsce ponad 61 temu. Po raz pierwszy znalazłem się wtedy w Koszalinie. Było to 2 stycznia 1951 r. Od dworca kolejowego długo wędrowałem ul. Zwycięstwa potem skręciłem w Armii Czerwonej (dziś Piłsudskiego) w poszukiwaniu siedziby Delegatury NIK. Dzień był mroźny. Nie czyniły na mnie większego wrażenia mijane ruiny śródmieścia, przykryte śniegiem bryły wypalonych domów. Wszak był to wtedy widok zwyczajny. Tak, a nawet gorzej, wyglądała większość miast na terenach poniemieckich zwanych wówczas Ziemiami Odzyskanymi.

Szedłem z mocno bijącym sercem, przejęty nową rolą życiową, mając w kieszeni nominację na referenta inspekcyjnego podpisaną przez samego prezesa NIK Franciszka Józwiaka - Witolda i skierowanie do pracy właśnie w koszalińskiej Delegaturze. Miałem za sobą 22 lata życia, niepełne średnie wykształcenie, roczny staż pracy w branży rolniczej, zakończony w grudniu poprzedniego roku półroczny kurs inspektorów NIK w Falentach k. Raszyna i szczerą wolę zaangażowanej pracy w organach kontroli państwowej.

Delegatura mieściła się pod numerem 55 wspomnianej wyżej ulicy. Był to szary, jednopiętrowy dom, w którym oprócz Delegatury miał swoje biura Powiatowy



Inspektorat Oświaty, a w zaadoptowanym na cele mieszkalne poddaszu mieszkał rodem z Warszawy woźny i dozorca w jednej osobie, p. Jan Grabowski z rodziną.

W tym samym dniu zameldowało się do pracy w Delegaturze jeszcze czterech innych absolwentów z Falent – liczące się wsparcie kadrowe dla tej młodej, powstałej dwa miesiące wcześniej placówki terenowej NIK. Przyjął nas nieoficjalny zastępca szefa (etatowego jeszcze wtedy nie było), jedyny wówczas z wykształceniem magisterskim w Delegaturze, st. inspektor kontroli państw. p. Leon Łoś, życzliwie z nami porozmawiał, wprowadził w środowisko pracownicze Delegatury. Taki był początek mojej, trwającej do połowy 1990 r., pracy w Delegaturze.

Ten właśnie okres działalności Delegatury, tak jak go pamiętam, pragnę skrótowo przedstawić w dalszej części niniejszej relacji wspomnieniowej.



Budynek Delegatury NIK w Koszalinie.

Delegatura NIK w Koszalinie powstała w IV kwartale 1950 r. Na początku pracę w niej podjęło 10 osób oddelegowanych z delegatury szczecińskiej. Z czasem stan zatrudnienia zwiększał się, trwała ciągła rotacja kadr. Jak obliczyłem, do 1990 r. przewinęło się przez delegaturę ok. 120 osób, przy średnim stanie zatrudnienia ok. 30. Nie uwzględniam przy tym pracowników Inspekcji Robotniczo-Chłopskiej (IRCH). Ten trochę dziwaczny twór

powstał w warunkach stanu wojennego w latach 80-tych, tylko luźno był wpisany w strukturę Delegatury, zachowując własną odrębność organizacyjną.

Z biegiem lat w miejsce starszych wiekiem, nie zawsze z odpowiednim wykształceniem, za to z reguły z piękną kartą z czasów wojny, przychodzili ludzie młodszy, po wyższych studiach. Wdrażani byli do zawodu kontrolerskiego w rozbudowanym systemie szkolenia zawodowego w trakcie bieżącej pracy i na stacjonarnych kursach w ośrodkach szkoleniowych NIK w Falentach, a później w Goławicach.

Delegaturą kierowali kolejno – w latach 1950-1951 Marian Zborowski, 1952-1970 Leon Łoś, 1970-1975 Klemens Cieślak, 1975-1993 Józef Kobryń. Jedynie dwaj pierwsi mieli solidniejsze przygotowanie kontrolerskie. Dwaj pozostali wywodzili się z urzędniczej kadry administracyjno-gospodarczej województwa, wszakże trzeba przyznać, że stosunkowo szybko potrafili przestawić się, zgłębić mechanizmy działania kontroli państwowej i w miarę sprawnie kierowali pracą Delegatury. W okresowych ocenach dokonywanych przez centralę NIK Delegatura plasowała się zazwyczaj w pierwszej połowie poddawanych ocenie placówek terenowych NIK.



Osobiście, spośród szefów pod rządami których przyszło mi pracować, najcieplej wspominam mgr L. Łosia. Był od początku wobec mnie wielce życzliwy, w pierwszych latach z zaangażowaniem wspomagał w praktycznym opanowaniu warsztatu kontrolerskiego, dodawał otuchy w chwilach trudnych, udzielał istotnej pomocy w rozwiązywaniu trudnych problemów życiowych. I nie stanowiłem pod tym względem wyjątku. Podobnie odnosił się do wszystkich podwładnych. A swoją drogą był wymagającym szefem w egzekwowaniu obowiązków pracowniczych.

Delegatura niezupełnie z własnej inicjatywy trzykrotnie zmieniała swoje lokum. Z ul. A. Czerwonej w roku 1957 przeniosła się na ul. A. Lampego (obecnie Gen. Andersa) pod nr 17, stamtąd na początku lat 60-tych do, dziś już nieistniejącego, gmachu PKO przy ul. Zwycięstwa 37, by w latach 70-tych powrócić na A. Czerwonej, gdzie na początku bieżącej dekady zakończyła swoją działalność.

W zależności od usytuowania naczelnego organu kontroli państwowej na szczeblu centralnym, ulegała także zmianie rola jego jednostek terenowych. Tak więc po utworzeniu w roku 1952 w miejsce NIK Ministerstwa Kontroli Państwowej Delegatura została przekształcona w urząd Pełnomocnika M.K.P. „Zbrojnym ramieniem” Ministerstwa były tzw. Grupy Terenowe Kontroli Państwowej powołane do przeprowadzania bezpośrednich kontroli na terenie całego kraju. W roku 1957 powróciła do swej poprzedniej nazwy. Z kolei W latach 70-tych stała się Okręgowym Urzędem Kontroli podporządkowanym delegaturze w Szczecinie. Niedługo, bo po dwóch latach powróciła do swej tradycyjnej nazwy. W parze z tym uległy zmianie także nazwy służbowych stanowisk kierujących Delegaturą, od szefa Delegatury poprzez pełnomocnika MKP, przewodniczącego, do dyrektora Delegatury.

Wyposażenie Delegatury w sprzęt i niezbędne urządzenia początkowo było bardzo skromne. Ot, poniemieckie meble, w sekretariacie jedyna maszyna do pisania i jeden sekretarsko-dyrektorski telefon, nie licząc tajemniczego aparatu WE-CZE do wyłącznej dyspozycji szefa w kontaktach z kierownictwem Centrali. W rachubie archaiczne liczydła. Do wyjazdów służbowych jeden samochód marki skoda. Prawda, bodajże w roku 1952 Delegatura otrzymała z Centrali przydział na dwa motocykle z przeznaczeniem dla



Po wykonaniu „czynu społecznego” na Górze Chełmskiej w Koszalinie, lipiec 1962 r. W górnym rzędzie, piąty z prawej, szef Delegatury NIK mgr Leon Łoś. Obok niego (z lewej strony) autor.



inspektorów na dogodnych warunkach nabycia. Losowanie rozstrzygnęło komu je przydzielić. Płace też nie były atrakcyjne. Moje początkowe wynagrodzenie wynosiło niecałe 800 zł, a szefa nie przekraczało 3 tys.

Sytuacja z upływem czasu ulegała poprawie. W ostatniej dekadzie ubiegłego wieku w szerokim zakresie wkroczyła do Delegatury elektronika. Komputer i internet skutecznie wyeliminowały wczesne liczydła, prymitywne arytmometry, późniejsze kalkulatory, ograniczyły maszyny do pisania, pracę czyniły łatwiejszą i ciekawszą. Mnie już wtedy w Delegaturze nie było, a za moich czasów wyraźnym znakiem postępu był teleks zainstalowany w Delegaturze w latach 80-tych. Ani przez myśl mi wtedy nie przeszło, że za kilkanaście lat pojawią się w posiadaniu każdego inspektora owe laptopy z ich podziwu godną doskonałością.

Delegatura, oprócz województwa koszalińskiego zasięgiem swego działania w latach 70-tych obejmowała także teren województwa pilskiego, a w latach 80-tych województwa słupskiego. Ustawowo zajmowała się kontrolowaniem wykonywania zadań wynikających z rocznych planów społeczno-gospodarczych i budżetów województw. Uczestniczyła też w kontrolach centralnie planowanych przez NIK. Pod względem podmiotowym kontroli podlegały urzędy administracji terenowej, zakłady przemysłowe, przedsiębiorstwa rolne, służba zdrowia i oświaty, także spółdzielczość w zakresie zadań finansowanych przez państwo. Spod kontroli Delegatury wyłączone były służby mundurowe: wojsko i milicja. Zasadą obowiązującą każdego inspektora było badanie zaszłości gospodarczych i procesów inwestycyjnych pod kątem celowości, legalności, gospodarności i rzetelności podejmowanych decyzji i ponoszonych nakładów.

Delegatura, szczególnie w pierwszych latach, wkraczała z kontrolami, mogącymi dziś dziwić ze względu na ich wąski zakres przedmiotowy i ingerowanie w procesy gospodarcze. Na przykład kontrolowaliśmy organizację zwalczania stonki ziemniaczanej, przebiegu sezonowych prac w rolnictwie: siewów, żniw, omłotów, wykopków czy też likwidacji odłogów. Wtedy jednak na tego typu kontrole było zapotrzebowanie.

Ustalenia kontroli Delegatura wykorzystywała do wystąpień pokontrolnych, które wraz z wnioskami usprawniającymi kierowała do jednostek kontrolowanych i ich władz zwierzchnich. W przypadku nadużyć występowała do właściwych prokuratur. Poza tym materiały pokontrolne służyły do sporządzania uwag do rocznych sprawozdań prezydiów wojewódzkich rad narodowych z wykonania budżetów i planów społeczno-gospodarczych. Na dorocznych sesjach sprawozdawczych WRN szef Delegatury występował z krytycznym referatem na ten temat. Dla radnych tego rodzaju opracowania stanowiły istotną pomoc w ocenie pracy prezydiów i podległych im organów za dany rok. Były też wykorzystywane przez Centralę NIK przy opracowywaniu podobnych uwag w skali państwa.



Pod koniec lat 70-tych, a szczególnie w latach 80-tych na fali ogólnonarodowego ożywienia społecznego nasiliła się ilość skarg i wniosków napływających do Delegatury od obywateli. Wytykano w nich różnego rodzaju przekręty, korupcję, nadużycia stanowisk służbowych na różnych szczeblach władzy. Delegatura w szerokim zakresie wykorzystywała tego rodzaju sygnały w swoich kontrolach. Wiele zarzutów znajdowało potwierdzenie w ustaleniach kontroli. Ich efektem były liczne wnioski o kary dyscyplinarne, sprawy prokuratorskie, sądowe wyroki skazujące, odnoszące się także do ludzi wysoko postawionych w strukturach władzy.

Wszakże nie samymi tylko kontrolami żyła załoga Delegatury. Był też czas na odprężenie, spotkania towarzyskie, wycieczki krajowe, z zagranicznych tylko do N.R.D. Bywało niekiedy ponad miarę wesoło, nazbyt alkoholowo z przykrymi konsekwencjami w tle dla niektórych.

Nie byliśmy bierni wobec narastającego wrzenia społecznego.

Na naradach pracowniczych, zebraniach partyjnych, było to w latach 80-tych, prowadziliśmy zawzięte dyskusje na tematy zawodowe, polityczne, ideologiczne. Nie szczędziliśmy słów krytyki pod adresem kierownictwa, wytykając jego zachowawczą, zdaniem wielu, asekuracyjną postawę.

Bliskie nam były problemy, jakimi żył Koszalin. Niejedną wolną sobotę i niedzielę przepracowaliśmy w tzw. czynach społecznych. W latach wczesnych było to odgruzowywanie miasta. W późniejszych pracowaliśmy przy porządkowaniu parków miejskich, naprawie ciągów komunikacyjnych, zagospodarowywaniu Góry Chełmskiej.

Przeżywaliśmy też wydarzenia smutne. Odprowadzaliśmy kolejnych naszych przyjaciół na miejsce wiecznego spoczynku. W roku 1982 pożegnaliśmy na słupskim cmentarzu mgr L. Łosia, w jedenaście lat później wieloletniego zastępcę szefa inż. Zbigniewa Stronikowskiego, po nim Józefa Kobrynia. A Delegatura żyła dalej i wypełniała swe ustawowe zadania, nieświadoma, że i jej kres jest bliski.

Wybiegając nieco poza ramy czasowe zakresłe dla tych wspomnień, dodam, że po likwidacji na mocy ustawy sejmowej z lipca 1998 r. województwa śródkowo-pomorskiego – właściwie los Delegatury został przesądzony. Przechodząc kilka przeobrażeń organizacyjnych przetrwała do roku 2004, aż przejęta przez delegaturę szczecińską znikła z mapy Koszalina. Po J. Kobryniu kierowali nią Andrzej Donigiewicz, Stanisław Falski, Ryszard Pelczar, Andrzej Janicki. Taki był koniec 54-letniej historii koszalińskiej Delegatury NIK. W jej byłej siedzibie mieści się dziś oddział Państwowej Inspekcji Pracy.

Moje związki z NIK nawiązane w czerwcu 1950 r. (Falenty) skończyły się z chwilą przejścia na emeryturę z końcem maja 1990 r. czyli równo po 40 latach. W tym czasie wielokrotnie przemierzyłem wzdłuż i wszerz rozległy teren działania Delegatury. Przeprowadziłem setki kontroli o różnym ciężarze gatun-



kowym. Specjalizowałem się w kontrolach tematów rolnych. Dzięki sprzyjającym warunkom uzupełniłem wykształcenie średnie, ukończyłem studia wyższe. Awansowałem z poziomu referenta inspekcyjnego poprzez szczeble pośrednie do stanowiska doradcy ekonomicznego. Będąc doradcą, zajmowałem się głównie koordynacją przeprowadzonych kontroli. Przysposobiłem do zawodu kontrolerskiego dziesiątki młodych pracowników. Zdobytym doświadczeniem dzieliłem się w publikacjach na łamach wydawanej przez NIK „Kontroli Państwowej”. Byłem nagradzany i odznaczany.

W 1954 roku założyłem rodzinę. Wychowaliśmy z żoną Jadwigą dwóch synów, doczekaliśmy się trojga wnucząt.

Dziś, z perspektywy lat z uczuciem wdzięczności mogę stwierdzić, że mój pracodawca Najwyższa Izba Kontroli i jej koszalińska Delegatura byli mi przyjaźni, a współpracownicy życzliwi.





